

A romantic close-up of a man and a woman about to kiss. The woman has long, wavy blonde hair and is wearing a black lace top. The man has a short beard and is looking up at her. The lighting is soft and intimate.

Niebezpieczne piękno #1

# NIEBEZPIECZNE *piękno*

Ma ochraniać żonę mafiosa, która uciekła do Meksyku.  
Jednak nie powinien podchodzić do niej zbyt blisko.



**J. T. GEISSINGER**

**J. T. GEISSINGER**

# **NIEBEZPIECZNE PIĘKNO**

**NIEBEZPIECZNE PIĘKNO #1**

**TŁUMACZENIE  
MATEUSZ GRZYWA**

**OŚWIĘCIM 2022**

*Jayowi*

**Życie z kobietą, jest jak podróż szosą. Im więcej zakrętów, tym bardziej niebezpiecznie.**

*Mae West*



# ROZDZIAŁ 1

## Eva

Śledzono mnie, odkąd pamiętam, dlatego wykształciłam coś, co określam jako szósty zmysł.

Czuję ukłucie iskry na skórze. Kilka włosków na ręce staje dęba. Pojawia się zwierzęcy instynkt, dzięki któremu czas zwalnia, a wszystko staje się niezwykle wyraźne, jak wtedy, gdy kochanek delikatnie przygryza mi skórę na szyi, a sutki natychmiast twardnieją.

Ktoś mnie obserwuje.

Ktoś się zbliża.

Staram się nie pokazać, jak bardzo się denerwuję, lecz moje tętno wzlatuje pod niebiosa i z trudem łapię oddech. Jak gdyby nigdy nic oglądam kolejne brzoskwinie na drewnianym straganie, aż w końcu trafiam na tę idealnie dojrzałą, o nieskazitelnej skórze. Biorę ją do ręki, po czym chowam do płóciennej torby, która wisi na moim ramieniu, płacę handlarzowi, i ruszam dalej, krocząc przez ozdobiony cienistymi cętkami targ.

Zmuszam się, by nie przyspieszać kroku. Czuję na biodrze zimny, pokrzepiający ciężar niewielkiego pistoletu, ukrytego w kieszeni spódnicy.

Wiedziałam, że ten dzień nadejdzie. Dmitrij nigdy nie pozwalał, bym cieszyła się spokojem tak długo. Ale tym razem nie wracam.

Tym razem może mnie odzyskać tylko w worku na zwłoki.

Pomarańcze. Mango. Lokwaty i czerymoje, lekko poobijane po podróży ze stałego ładu, ale jadalne. Trochę warzyw, do tego kawałek świeżego tuńczyka ze stoiska rybnego, i zakupy gotowe.

Na targu jest spory tłok, jak to w soboty, gdy do portu zawijają wycieczkowce. Roześmiane dzieci gonią się po wyjeżdżonym bruku. Turyści podziwiają zbyt kosztowne świecidełka na straganie z biżuterią. Gdzieniedzie w kolejce przybyszy powiewają poruszane oceaniczną bryzą wielobarwne niczym egzotyczne ptaki chusty.

Kiwam głową w stronę kilku znajomych twarzy, ale nie przystaję, by z nimi porozmawiać. Muszę szybko zgubić ogon. Zresztą, mój głos zdradziłby, że się boję. W takich chwilach zawsze robi się wysoki i napięty, to jedyna rzecz, której nigdy nie nauczyłam się kontrolować.

Na szczęście głos nie będzie mi potrzebny, by uporać się z człowiekiem, który mnie tropi. Wystarczą mi dłonie – jak zawsze opanowane – odludna uliczka i ukryta w fałdach spódnicy broń.

Cozumel, podobnie jak reszta Meksyku, cierpi z powodu wysokiej przestępczości. Martwy człowiek w ciasnej uliczce wywoła co najwyżej wzruszenie ramion.

Tyle że jeszcze nie jest martwy. Mój prześladowca działa ostrożnie. Gdy kluczę w labiryncie stoisk z owocami, kwiatami i tanimi T-shirtami w promieniach gorącego słońca, z łomoczącym pulsem, on trzyma się na bezpieczny dystans.

Mijając stojące wzdłuż przytargowego chodnika półciężarówky wyładowane arbuзами i *pepino amarillo*, przyspieszam kroku. Moje mieszkanie znajduje się bezpośrednio nad oceanem, ale ja kieruję się w przeciwną stronę, w głąb miasteczka. Zmierzam ku ulicy słynącej z obrotu narkotykami, gdzie turyści mogą kupić od bandziorów o kamiennych twarzach co tylko zapragną, a potem zostać obrabowani przez tychże samych handlarzy.

Spocona od wilgoci i adrenaliny, skręcam, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. Czuję za plecami nieniknącą obecność prześladowcy. Zimną i ulotną, niczym mgła.

Wychudzony bepański pies rozgrzebuje pyskiem zalegające w rynsztoku śmieci. Starzec ukrywający się w cieniu palmy pali papierosa mrużąc wodniste oczy, żeby mi się przyjrzeć. Gdy skręcam w kolejny róg i przystaję, by z trudem złapać oddech, stado spłoszonych gołębi zrywa się do lotu.

*Spokojnie. Załatw sprawę, biegnij po torbę i zniknij. Szkoliłaś się do tego. Jesteś przygotowana!*

Ale jeszcze nigdy nikogo nie zabiłam. Nie łudzę się, że strzelanie do drzew w lesie przygotowało

mnie do tego, co poczuję, gdy już kogoś zabiję. No i *kw*...

Klnę pod nosem i odpycham tę myśl, zanim na dobre wybrzmiała. To nie czas na sentymenty. Kimkolwiek jest śledzący mnie człowiek, jedno jest pewne: to najemnik. Dmitrij zatrudnia wyłącznie zaprawionych, bezlitosnych mężczyzn i ten nie będzie wyjątkiem.

On albo ja. Niech Bóg zważy mój grzech później.

Akurat Stwórca wie, co mną kieruje.

Wchodzę w wąską uliczkę pomiędzy dwoma opuszczonymi budynkami. Powietrze jest przesycone smrodem szczyń i gnijących śmieci. Przyciskam plecy do ceglanego muru, kładę płócienną torbę na ziemi i wyciągam pistolet.

I czekam, wstrzymując oddech.

*Jeśli chcesz, to chodź po mnie. Mam dla ciebie niespodziankę, przyjacielu.*

Po mojej skroni spływa strużka potu. Każde uderzenie mojego serca brzmi w nieruchomym powietrzu popołudnia niczym armatni wystrzał. Słyszę ciche szuranie stóp, więc unoszę broń.

Prawie rozwaliłam łeb staruszkowi, którego wcześniej mijałam.

– *Dinero?* – rzezi, wyciągając wykręconą reumatyzmem dłoń.

– Boże! – krzyczę, chwiejąc się z przestachu. – Prawie cię zabiłam!

Znowu mruży oczy i mi się przygląda, broń chyba nie robi na nim wrażenia.

– *Dinero?*

– Spadaj! *Vete!* – syczę, machając pistoletem, żeby na pewno zrozumiał, o co mi chodzi.

Wciąga powietrze przez pożółkłe zęby, przez chwilę lustruje mnie wzrokiem i w końcu odchodzi.

Opieram się ciężko o mur, mam wilgotne ręce, kolana mi drżą, ale czekam dalej.

I czekam.

I wciąż czekam.

Gdy słońce osuwa się niżej, a cienie wydłużają się i smukleją, dochodzę do wniosku, że mój prześladowca mógł nie pojawić się wyłącznie z dwóch powodów. Albo udało mi się go zgubić – co wydaje się mało prawdopodobne, bo szłam wolno i nie próbowałam uciekać – albo ma dość oleju w głowie, by nie wchodzić za mną w taką uliczkę. A to oznacza, że domyślił się, co planuję.

Możliwe, że wciąż gdzieś tam jest...

Nie mogę ryzykować, że pójdzie za mną do kryjówki, w której trzymam awaryjną forszę i nowe papiery, nie chcę też wracać do mieszkania, bo przecież na pewno już wie, gdzie mieszkam. Więc, zaciskając zęby, wybieram trzecią opcję.

Świetna taktyka: wyprowadzę w tego sukinsyna uderzenie wyprzedzające.

Wracam na szerszą ulicę.

Nie napotykam jednak człowieka Dmitrija.

Gdy tylko wyłamiam się z cienia budynków, w moją stronę obraca się głowa pokrytego od nadgarstka po bark tatuażami gangu diler. Mężczyzna mierzy mnie bezdennie nieprzytomnymi, czarnymi oczami. Tarasuje przejście wraz z czterema innymi facetami, którzy ucinają rozmowę i podążają za jego wzrokiem.

Czarnooki szczyrzy się od ucha do ucha, ukazując spróchniałe zęby.

– *Zabłądziłaś, chica bonita?*

Stawia krok w moją stronę, emanując niewypowiedzianą groźbą. Pozostali idą w jego ślady.

Krew odpływa mi z twarzy, bo dociera do mnie z uderzającą klarownością, w jakie wpadłam tarapaty.

Mam w pistolecie pięć naboí.

Mogę chybić tylko raz.

## ROZDZIAŁ 2

### Naz

„Bułka z masłem”, mówili. „Po prostu obserwuj i raportuj”, powtarzali. Naz, twoja pierwsza operacja będzie jak przechadzka przez park. Przy okazji trochę się opalisz. Napijesz się piwka. I zarobisz łatwą kasę, szpiegując zepsutą żonkę, która uciekła jakiemuś ruskiemu oligarsze.

Łatwizna. Pewnie, że tak. Tyle że najwidoczniej wszyscy, włącznie z mężulkiem, w chuj zlekceważyli tę cizję.

Nagle wyłania się z cienia z zadartym podbródkiem i trzydziestką ósemką w ręce, jak u Tarantino. Piękna kobieta o szalonych, hipnotyzujących oczach, wychodzi na krwawe łowy. Niemalże słyszę gorączkowe, gitarowe flamenco w tle.

Powinienem zostać w ochronie celebrytów, bo niańczenie Evaliny Ivanovej zapowiada się równie przyjemnie jak wrzód na dupie.

– Nie chcę żadnych kłopotów.

Biorąc pod uwagę, jak pewnie trzyma broń, jej głos jest zaskakująco nerwowy. W jej oczach widać furię i żądzę mordy.

*Hmm, a może tylko pozuje na twardzielkę.*

Diego Diler, od niedawna mój najlepszy ziomek, jest tego samego zdania.

Ocenia ją przelotnym, byстрыm spojrzeniem faceta przywykłego do spoglądania w lufę wymierzonej weń broni przynajmniej dwa razy dziennie i to jeszcze przed obiadem. Drobną szydera na wejście, żeby pokazać, jaka tu panuje hierarchia. Jego paskudny uśmiech robi się jeszcze szerszy, bo właśnie uznał, że owa kobieta nie stanowi zagrożenia.

Stawia kolejny krok naprzód. Gnój po mojej lewej też obleśnie się szczerzy. Bydlak po prawej mruczy coś pod nosem.

Wzdycham ciężko. *No to jedziemy.*

– Jeszcze krok i będziesz śpiewał falsetem, *amigo* – grozi Evalina, obniżając nieco lufę, tak, by celowała w krocze Diega.

– Zamknij się, głupia dziwko.

Diego się nie zatrzymuje. Zakładam, że przywykł do gróźb wysuwanych pod adresem jego klejnotów rodowych. Tak to jest, gdy człowiek ma niesamowicie nieodparty urok.

– Mówię poważnie – rzuca dziewczyna, a jej głos jest coraz wyższy. – Nie zmuszaj mnie, bym strzeliła!

– Stary, dobijamy targu czy nie?

Diego zatrzymuje się na środku ulicy. Patrzy na mnie przez ramię, jakby nie potrafił zdecydować, kogo najpierw zabić – ją czy mnie.

– Z całym szacunkiem, ale mamy interes do zrobienia. – Wzdycha wkurwiony. – Nową zabawką będziesz się mógł zająć, gdy dostanę to, po co tu przyszedłem.

Wyciągam z kieszeni szortów gruby plik banknotów i macham nim jak przynętą.

Evalina gapi się, jakbym postradał zmysły. Ma wielkie, brązowe oczy. Całkiem ładne. Z bliska są jeszcze bardziej uderzające niż w obiektywie mojego aparatu. Nie dziwię się, że mężulek tak bardzo pragnie ją odzyskać.

Natomiast byłoby fajnie, gdyby zdjęła palec ze spustu, bo mam wrażenie, że jak tylko usłyszy jakiś hałas, to się wystraszy i nas wszystkich pozabija.

– Dobrze, przyjacielu. Najpierw interesy.

Diego zaszczyca mnie kolejnym parszywym uśmiechem. Jak na gościa z mordą pełną spróchniałych zębów, lubi się śmiać.

Zerka na kolegę, który stoi po mojej lewej, i wskazuje szybkim ruchem podbródka na Evalinę.

Jakby chciał powiedzieć „zajmij się nią”. Następnie Diego powolnym krokiem rusza w moją stronę, a pozostali idą do niej.

A potem wszystko dzieje się już szybko. Bardzo szybko.

Gdy tylko Diego znajduje się wystarczająco blisko, moja pięść zawiera bliską znajomość z jego nosem, miażdżąc go jak krakersa. Krew tryska na wszystkie strony. Nieborak wyje z bólu i pada na kolana. Tymczasem jego kumple obracają się, żeby sprawdzić, co to za nagłe poruszenie. W tym czasie ja wyrywam spluwę zza paska dżinsów Diega, kopię go w klatę, żeby upadł na plecy, i celuję w trzech ludzi, gapiących się na mnie z szeroko rozdziawionym gębami.

Wyjaśniam im po hiszpańsku, żeby spierdalali, bo jak tego nie zrobią, to będą żreć ołów.

Rozsądnie postanawiają spierdalać.

Wycofują się ostrożnie z rękoma w górze.

– Jesteś trupem – stwierdza jeden z nich spokojnie, przewiercając mnie wzrokiem.

– Wysłuchuję tego na okrągło – odpowiadam i kopię Diega w żebra, żeby też się zmywał.

Diego stęka i przeklina, po czym z trudem zwleka się z gleby, trzymając się przy tym za nos jak mała dzidzia.

– Złamałeś mi nos, stary! Kurwa, mój nos!

– No wielkie mi halo. Jak się nie pośpieszysz, złamię ci resztę gęby. Leć do kolegów. Czas się już pożegnać, więc papatki.

Posyła mi mroczne, groźne spojrzenie.

– Zapamiętam twoją twarz, jebany cudzoziemco – obiecuje, idąc tyłem.

– Zapamiętaj, Diego. A ja zapamiętam twoją. Trudno nie będzie, bo paskudniejszego ryja jeszcze nie widziałem. Idź do dentysty, jebany degeneracie, bo rzygać się chce na twój widok.

Odsuwa dłonie z twarzy i obnaża zęby jak dzikie zwierzę. Jego nos zamienił się w krwawą pulpę, a czarne oczy przypominają mordercze szparki. Krew pobrudziła mu górę białej żonobijki.

Naprawdę, widywałem ludzi w lepszym stanie po czołówce z ciężarówką.

Diego i jego kompania znikają za najbliższym rogiem, a potem uciekają biegiem.

Podnoszę mój hajs z chodnika, chowam półautomatyczną spluwę Diega za pasek i zakrywam ją koszulą. Spoglądam na Evalinę, która nadal stoi na środku ulicy z wpół uniesioną bronią. Wygląda, jakby właśnie poraził ją prąd.

– Wrócą za kilka minut. Tym razem uzbrojeni – ostrzegam, wzruszając ramionami.

Daję jej chwilę na zajarzenie sytuacji, po czym ruszam ulicą, w kierunku przeciwnym do tego, w którym zniknęli Diego z kumplami.

Nie obracam się za siebie, choć przychodzi mi to z najwyższym trudem. Nie może pomyśleć, że znalazłem się w tym miejscu z jej powodu. Jestem zwykłym facetem, który chciał kupić trochę zioła i akurat tak się złożyło, że ma wprawę w radzeniu sobie z szumowinami. Absolutnie nie jestem kolesiem wynajętym przez jej mężulka. Ostatnie, na czym mi zależy, to żeby Evalina znowu gdzieś zniknęła, i to na mojej warcie.

Byłby to wybitny debiut w nowej robocie.

Dogania mnie dwie przecznice dalej.

– Hej, hej! – krzyczy, sapiąc.

Podbiega do mnie zarumieniona i zdyszana. Spoglądam w dół i ukazuje mi się spektakularny widok opalonego dekoltu, wyzierającego spod kwiecistej sukienki. Ma pełne, jędrne piersi. Jasna cholera, szczęściarz z tego mężulka.

*Nie gap się, debilu.*

Idę dalej. Musi przyspieszyć kroku, żeby za mną nadążyć.

– Co tam się stało? – pyta, nie dając za wygraną.

*Tam? Nic, jedynie uratowałem ci dupsko, kochana. Ale fajnie, jakbym więcej nie musiał tego robić.*

– Ja próbowałem skołować trochę zioła, a ty odgrywałaś rewolwerowca, i bardzo kiepsko ci to szło. – Mrugam do niej, nie zwalniając kroku. – Przyjacielska rada: nie celuj do takich zbirów, jeśli nie chcesz nacisnąć spustu. Z zasady ich to wkurza – mówię i odwracam od niej wzrok, ponownie skupiając



się na drodze.

– Skąd wiesz?

Postanawiam powiedzieć prawdę, bo: po pierwsze jestem miernym kłamcą, po drugie w tym przypadku prawda pozwoli wygodnie wyjaśnić całe zajście.

– Byłem gliną.

– Gliną – powtarza, spoglądając sceptycznie na tatuaże po wewnętrznych stronach moich odsłoniętych przedramion.

– Mhm – potwierdzam, mając nadzieję, że nie będzie o nic wypytywać. Jednak to tylko głupie życzenie, bo panna już po chwili kontynuuje swoje przesłuchanie.

– Byłeś? – pyta, ledwo za mną nadążając. – Już nie pracujesz? Czyli to nie była ustawka, żeby ich zamknąć?

– Nie była.

– Zrobiłeś sobie wagary w akademii akurat tego dnia, gdy uczyli, żeby nie ćpać, co? – Dyszy, starając się iść jeszcze szybciej, aby nie zostawać w tyle.

– Gdy już skończysz mnie krytykować, mądralo, możesz podziękować, że uratowałem ci życie.

– Prycham. – Coś ty w ogóle robiła w tym zaułku, do cholery? – Kolejne spojrzenie w dekollet. – Och, czekałaś na alfonsa?

Staje jak wryta i wrzeszczy:

– Słucham?!

– Nie oceniam cię, kochana – rzucam przez ramię. – Trzeba jakoś zarabiać. Miłego życia! – Unoszę dłoń, macham jak na pożegnanie i idę dalej.

Tym razem dogania mnie błyskawicznie.

– Nie jestem prostytutką! – warczy.

– Pewnie. – Śmieję się pobłaźliwie. – Kręcisz się po ciemnych zaułkach tej głównianej dzielnicy dla frajdy.

– To nie twoja sprawa, ale myślałam, że ktoś mnie śledzi – wyjaśnia, a w jej głosie słyszę smutek.

Cała determinacja zniknęła i zastąpiło ją zrezygnowanie. – Próbowałam go zgubić.

*Chryste. I dlatego zawędrowała w tę okolicę? Muszę odświeżyć zdolności skradankowe.*

– Okej, niech będzie, to nie moja sprawa. – Wzruszam ramionami.

– Nie twoja? – pyta z niedowierzaniem, wbijając rozpalony wzrok w mój profil. – Właśnie naraziłeś się czterem dilerom!

– Narzekasz z tego powodu? – pytam, posyłając jej cierpkie spojrzenie.

Kiedy się rumieni, wygląda na młodszą i mniej pewną siebie.

– Nie narzekam. Dziękuję ci. Doceniam twoją postawę. Gdyby nie ty... – Spogląda w dal i przygryza dolną wargę.

– Gdyby nie ja, to Diego i jego kumple leżeliby podziurawieni jak sita. – Rechoczę. – Nic by ci się nie stało.

– Masz rację co do pierwszego, mylisz się w drugim. Nienawidzę przemocy – przyznaje nieśmiało.

Zaciekawiło mnie coś w jej tonie. Z jej teczki wynikało, że jest bogata, wymuskana i rozpieszczona. Od dziecka. Czy taka kobieta mogła mieć częsty kontakt z przemocą?

– Interesująca filozofia jak na kogoś, kto chodzi z bronią.

– Uciśniony musi poznać język ciemnych, jeśli chce przetrwać – wypowiada jakąś mantrę. –

Niektórzy ludzie znają wyłącznie język broni.

Zdumiony elokwencją tego zaskakującego stwierdzenia, zwalniam nieco i uważnie się jej przyglądam.

– Kogo cytujesz?

– Siebie – odpowiada, jakby oburzona, że urągam jej inteligencji.

Ciekawe. Piękna i do tego kumata? Oby przynajmniej nie miała poczucia humoru, bo będę musiał znienawidzić mężulka, a to byłoby niefortunne, bo nieźle płaci za tę fuchę.

Zerkam za plecy, skąd rozlega się nagle pisk samochodowych opon. Na ulicę wpada starszy



model czarnego cadillaca z wielkimi oponami i błyszczącymi kołpakami i przyśpiesza w kłębach pyłu. W otwartym oknie po stronie pasażera siedzi facet w okularach przeciwsłonecznych.

Rozpoznaję go, to jeden z wafli Diega. Do tego trzyma w rękach kałasznikowa.

I celuje nim w nas.

– Cholera.

Gdy pierwsze kule świstają nam wokół uszu, łapię Evaline za rękę i ciągnę z chodnika w stronę małego kościółka z wypalanej cegły. Boczne drzwi ze starego drewna są zamknięte, więc muszę je wykopać. Pękają z hukiem. Wbiegamy do chłodnego, posępnego wnętrza i pędzimy do ołtarza, tymczasem przed budynkiem rozlega się pisk hamującego samochodu, który niesie się echem po całej nawie.

Evalina nagle staje, tuż przed prostym ołtarzem. Klęka na jedno kolano, pochyla głowę i robi znak krzyża.

– Kochana, później się pomodlisz.

Łapię ją za łokieć, tymczasem grad kul dziurawi drewnianego Jezusa na krzyżu, wiszącego na ścianie.

Evalina krzyczy wystraszona, zrywa się na nogi i biegnie za mną, gdy przebijam się przez kolejne drzwi i jeszcze jedno. W końcu wypadamy na ulicę po drugiej stronie, znajdujemy się w jakiejś dzielnicy mieszkalnej. Dobiegają nas krzyki, ale nie odwracamy się.

– Tutaj! – woła, skręcając w jedną z bocznych uliczek.

Musi znać trasę, bo biegnie z pełną prędkością, jej sukienka faluje wokół nóg, a włosy powiewają na wietrze. Zanim rzucam się za nią sprintem, pozwalam sobie, by przez chwilę popodziwiać widok.

Wykonuje serię ostrych zwrotów przez podwórka, biegnie wzdłuż gęstego żywopłotu szkarłatnych kwiatów, a potem przemyka przez otwarte tylne drzwi malutkiej knajpki. Wpadamy do ciasnej, parnej kuchni.

Evalina wykrzykuje kilka słów przeprosin do zdumionych kucharzy, a zanim przebiega, przez kolejne drzwi, do sali jadalnej, dodaje, że policja depcze nam po piętach.

Na te słowa dwóch kucharzy natychmiast zatrzaskuje drzwi, zamyka na nich kłódkę i jeszcze blokuje je metalową, poprzeczną sztabą.

Wychodzi na to, że korupcyjna sława tutejszej policji ma pokrycie w rzeczywistości.

W lokalu roi się od swobodnie rozmawiających nad piwkiem turystów i miejscowych. Zwalniamy tempo, meandrujemy spokojnie między stolikami i zaledwie kilka osób zaszczycą nas spojrzeniem. Gdy wychodzimy na ulicę, rozpoznaję, gdzie jesteśmy. Przy pełnym ludzi miejskim placu, gdzie szybko wtapiamy się w tłum.

– Nieźle – rzucam do niej, gdy kierujemy się w stronę targu, na którym pierwszy raz ją wypatrzyłem. – Przypomnij, żebym do ciebie przedzwonił, gdy następnym razem będę musiał się skądś szybko ulotnić.

– Przestań się bratać z dilerami, to nie będziesz musiał się ulatniać.

Posyła mi spojrzenie swych brązowych, roziskrzonych oczu, a ja nie potrafię opanować uśmiechu.

– Nie bratam się. Po prostu sporadycznie korzystam z ich usług.

Kłamstwo. Nienawidzę prochów. Ale prawdy powiedzieć nie mogę.

Evalina zaczyna mnie oceniać swoim bystrym spojrzeniem. Spogląda na moje nogi i zauważa, że lekko kuśtykam.

– Starasz się w ten sposób stłumić ból?

To wygodna wymówka, więc przytakuję, ale muszę przyznać, że uraziła moją dumę, dostrzegając, że kuleję.

– Próbowaleś akupunktury?

Prycham.

– Wyglądam ci na faceta, który dobrowolnie zgodziłby się, żeby jakiś dziwak faszzerował go igłami?

Unosi kąciki ust, nasze spojrzenia się spotykają i w jej oczach widać uśmiech.

– Nigdy nie wiadomo, pozory bywają mylące. – Wzrusza ramionami. – Może jesteś uzależnionym od zioła byłem gliną z fetyszem do igieł, a do tego hodowcą jamników i miłośnikiem ponadczasowego stylu muzycznego Justina Biebera.

– Jasne – odpowiadam z kamienną miną. – Szaleję za Biebsem.

– A poza tym, masz tatuaże. Czyli dałeś się faszerować igłami.

– Jedną igłą. – Mrugam do niej. – I gwarantuję, że artysta, który wykonał moje tatuaże, byłby urażony porównaniem do akupunkturzysty.

– Och, najmocniej przepraszam. Twój tatuażysta jest artystą, tak?

Drażni się ze mną. Dopiero co zwaliśmy bandzie zapluty z wściekłości, uzbrojonych po zęby dilerów, a ją bierze na żarty.

*Co to za kobieta?*

Ach, już pamiętam. To żona jakiegoś dzianego Ruska, w której nie powinienem się zabujać.

– Dziękuję za interesujący poranek – mówię, zwalnając przy fontannie otoczonej pstrykającymi fotki turystami. – Ale muszę już lecieć. Uważaj na siebie, słyszysz?

Na jej twarzy odbija się szczere zaskoczenie. Widać po tej minie, że będę pierwszym mężczyzną, który kiedykolwiek opuścił ją z własnej woli.

– Słyszę. Ty też. I jeszcze raz dzięki... – Przez ułamek sekundy się waha. – Jak masz na imię?

Promienie słońca tańczą w jej włosach, nadając im bogatej, złoto-brązowej barwy. Końcówki jej długich rzęs są blond, natomiast jej opalona słońcem, połyskująca skóra ma kolor gałki muszkatołowej.

– Nasir – odpowiadam z lekką chrypą. – Dla przyjaciół Naz.

– Uratowałaś mi życie, więc tak będę cię nazywała. Eva. – Wyciąga rękę.

Nasz uścisk dłoni ma w sobie coś uroczystego, jakbyśmy zawierali jakiś pakt.

– Na razie, Naz. Trzymaj się z daleka od kłopotów. – Patrzy mi w oczy nieco dłużej, niż wymaga międzyludzka uprzejmość, a następnie obraca się i znika w tłumie.

Stoję w miejscu, dopóki słońce nie zaczyna parzyć mnie w kark. Ta fucha bynajmniej nie będzie łatwa.

Mam paskudne przeczucie, że trzymanie się na dystans od Evaliny Ivanovej okaże się najtrudniejszym wyzwaniem w moim życiu.

## ROZDZIAŁ 3

### Eva

Popołudnie mija, a wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, zniknęło. Mimo to nie wracam do mieszkania i nie zbliżam się do plecaka ewakuacyjnego, ukrytego w dzwonnicy opuszczonego kościoła w pobliżu doków. Błąkam się bez celu po miasteczku, czekając na zmrok, i myślę o przystojnym, lekko kulejącym facecie o barach futbolisty.

Przyjaciele mówią mi Naz, powiedział, przesywając mnie mrocznym, pełnym zagadek spojrzeniem.

Sądząc po odcieniu jego skóry i charakterystycznych cechach twarzy, wygląda mi na Libańczyka albo Marokańczyka, choć nie ma wyraźnego akcentu. Tatuaze wijące się po jego umięśnionych przedramionach z całą pewnością są arabskie, ale był ubrany jak amerykański turysta. Gdybym nie widziała, jak składa uzbrojonego szefa gangu jednym ciosem i unika gradu kul, założyłabym, że to zwykły koleś, który zabrał rodzinę do słynącego z niezwykłych plaż i warunków do nurkowania Cozumel na wczasy.

Bez wątpienia nie jest zwykłym kolesiem.

Jest zagadką.

Lubię zagadki, więc dobrze, że nigdy więcej się nie spotkamy. Tego rodzaju komplikacje to ostatnie, czego mi teraz trzeba.

Nawet jeśli mają ciemną karnację, są wysokie, przystojne i nie roniąc kropli potu, uratowały mi życie.

Wstępuję do mojej ulubionej kawiarenki na plaży na piwo i rybne tacos. Dzięki apce w komórce sprawdzam kamery w mieszkaniu. Nie dzieje się nic podejrzanego. Jakikolwiek ruch w pewnym promieniu od mieszkania uruchomiłby systemy bezpieczeństwa, ale nikt nie próbował się włamać, ani nie podszedł niebezpiecznie blisko.

Przynajmniej na razie.

Obserwuję z zadumą, jak fale rozbijają się o piasek, zostawiając na nim morską pianę. Zastanawiam się, czy mogłam się pomylić. Byłam przekonana, że ktoś mnie śledził, ale muszę przyznać, że moja paranoja mogła wyrwać się spod kontroli. Realia są takie, że żyję na tej wyspie od trzech miesięcy i nic nie wskazuje, by Dmitrij mnie zlokalizował.

Wyjeżdżając, byłam skrajnie ostrożna. Zatarłam wszystkie ślady. Chciałam, by była to moja ostatnia ucieczka, więc nie szczędziłam wysiłków. Zamieniłam się w ducha.

Zachowałam się bezmyślnie, zdradzając Nazowi, jak mam na imię. Zrobiłam to pod wpływem impulsu, bez zastanowienia, co zupełnie do mnie nie pasuje. No ale te cholernie boskie, ciemne oczy...

Nieważne. Kimkolwiek jest, za kilka dni stąd zniknie, porwie go odpływ własnego życia. Znaczna część populacji wyspy przebywa tu czasowo, co bardzo mi odpowiada. Każdego tygodnia przewija się tu z tysiąc nowych twarzy, a w stale zmieniającym się, płynnym tłumie o wiele łatwiej się ukryć, łatwiej się weni wtopić – jak to lubię powtarzać.

Nawykowo dotykam schowanego w kieszeni pistoletu, samoistnie nachodzi mnie wniosek, że wolność jest warta każdej sekundy hiperczuyność, jaką muszę się wykazywać.

Nawet jeżeli jest znacznie bardziej samotnicza, niż sądziłam.

\*\*\*

Pięć następnych nocy spędziłam w tanim motelu, obserwując mój lokal przez kamerę i wyczekując, czy coś się nie wydarzy. Wstrzymuję oddech. Ludzie Dmitrija to tępe narzędzia wyszkolone do rozwalania i grabienia, a nie do cierpliwego czyhania w ukryciu. Więc po niemalże tygodniu nabieram pewności, że moje mieszkanie jest nadal bezpieczne. Gdyby poznali adres, już by

tam byli i na mnie czekali.

Jedno wiem o Dmitriju na pewno – jest przewidywalny.

Nauczyłam się tego, dzięki siedmiu latom życia pod jego butem.

Wróciłam do mieszkania, ale nie mogę spać. Jestem pobudzona i niespokojna, nakręcona, jakbym przesadziła z kofeiną. Miotam się jak zwierzę w klatce, usidlone starymi wspomnieniami.

Złymi wspomnieniami.

Postanawiam, że wybiorę się do lokalnej knajpy na plaży, w której zawsze pełno turystów. Jest otwarta do późna i można w niej poobserwować ludzi. Mam nadzieję, że to zajęcie pozwoli mi na chwilę zapomnieć o niepokoju wywołanym tamtym przekonaniem, że ktoś mnie śledzi, a także o osobliwie nieodpartych rozmyślaniach na temat tajemniczego Nasira.

Od wieków żaden facet nie pociągał mnie seksualnie, ale w tych jego oczach było coś...

– Daj już spokój – burczę pod nosem, wciągając na tyłek parę spranych dżinsów. – Już nigdy go nie zobaczysz.

To zabawne, jak życie kocha udowodniać, że jesteśmy w błędzie.

Wchodzę pod kryty strzechą daszek Baru i Grilla u Javiera i rozglądam się. Spoglądam na tłum wczasowiczów na plaży. Niemal natychmiast dostrzegam jego twarz i kawałek ciała za drewnianym filarkiem. Wyciąga się na leżaku przy ognisku, które płonie w wykopanym w piasku dołku. Jego nagie stopy są skrzyżowane w kostkach. Ręce zwisają swobodnie z leżaka. W luźno opuszczonej dłoni trzyma niedbale szklankę bursztynowego płynu, chyba whisky.

Po jego muskularnych rękach, od nadgarstków po bicepsy, wiją się arabskie tatuaże.

Staję jak wryta, a w moim brzuchu eksploduje dziwna ekscytacja.

– Możesz usiąść, gdzie chcesz, skarbie – woła do mnie właścicielka, krzątająca się kilka stolików dalej. – Ale na zewnątrz jest trochę luźniej.

Więc usiądę na zewnątrz.

Nieśpiesznie mijam tanie, drewniane stoliki, czując pod podszwami drobny piasek. Z szafy grającej dochodzi głos Jimmy'ego Buffetta. Grupka amerykańskich studentów obala przy barze szoty tequili. Gdy docieram do schodków prowadzących na plażę, przystaję na moment i pozwalam, by ciepłe, słone powietrze zatańczyło w moich włosach.

Naz siedzi na leżaku z zamkniętymi oczyma i delikatnym uśmiechem. Ma na sobie stare dżinsy, jak ja, i zwykły T-shirt, pod którym efektownie odznacza się każdy mięsień jego brzucha. Jego masywna sylwetka jest całkowicie zrelaksowana, jakby śnił o czymś przyjemnym.

Ciekawe, czy właśnie tak wygląda, gdy budzi się po nocy pełnej miłości. Jeszcze nigdy nie widziałam człowieka z takim zadowoleniem na twarzy.

Siadam na leżaku obok niego, wytrzepuję klapki, zakopuję palce stóp w piasku i spoglądam na łagodnie kołyszące się w świetle księżycy palmy, na których lśniących liściach osadza się pomarańczowa poświata ogniska.

– Proszę, proszę, czy to nie nasz mały rewolwerowiec? – rzuca Naz, uśmiechając się jeszcze szerzej, choć nawet nie otworzył oczu. – Zastrześliś kogoś, odkąd ostatnio się widzieliśmy?

– Nie, a ty złamałeś komuś nos, odkąd ostatnio się widzieliśmy?

Rechocze pod nosem. To łagodny, senny dźwięk, zaskakująco zmysłowy, wchodzący lekko w koci pomruk.

– Noc jeszcze młoda, a skoro się pojawiłaś, to szanse na barową zadymę gwałtownie rosną.

Otwiera oczy, obraca głowę i patrzy na mnie.

Czuję to spojrzenie na całym ciele.

– Skąd wiedziałeś, że to ja?

– Pajęczy zmysł – odpowiada, stukając się leniwie w skroń. – Byłem gliną, pamiętasz?

Nie komentuję tych bzdur, więc ponownie rechocze i dodaje:

– Perfumy. Nie znam drugiej kobiety, która pachnie, jakby przyszła na świat na łące kwitnącego jaśminu.

– Jaśmin to popularny składnik perfum – stwierdzam, unosząc brew.

– Tak, ale na nikim innym nie pachnie tak dobrze – mówi, patrząc mi w oczy, wciąż się

uśmiechając.

Rumienię się. Wkurza mnie to, bo nie należę do kobiet, które lecą na takie haselka. Odwracam wzrok, patrzę na kelnerkę i pokazuję jej, że chcę drinka. Mam przecucie, że przyda mi się coś mocnego.

Kelnerka znika, odbierając ode mnie zamówienie na rum z limonką, bez lodu, więc zadzieram głowę i ponownie spoglądam w gwiazdy. Mrugają zimnym blaskiem na szafirowym niebie, ostrzegając, żebym trzymała się z daleka od rozciągniętego obok mężczyzny. Wiedzą, że mam kiepskie oko do facetów.

– Myślałam, że już cię tu nie będzie.

– Błąd, jednak tu jestem.

– Przedłużony urlop? – dopytuję, starając się podtrzymać rozmowę.

Przed odpowiedzią, upija łyk ze szklanki. Chyba robi to celowo.

– Bardziej przerwa między jedną karierą a drugą – stwierdza wymijająco.

Nie rozwija tematu, więc mówię:

– Nie możesz na tym poprzestać. Prawie razem zginęliśmy z rąk popieprzonych dilerów.

Zasługuję na lepszą odpowiedź.

Zaciska wargi, widzę, że próbuje się nie roześmiać. Bawię go.

– Skoro musisz wiedzieć, wścibska dziewczynko – wzdycha – to niedawno opuściłem bardzo stresującą posadę osobistego ochroniarza pewnego celebryty. A teraz... spokojnie rozważam przyszłość – tłumaczy.

– Ochroniarza? W sensie bodyguarda? – dopytuję, marszcząc brwi.

Zauważam kelnerkę, która idzie w moją stronę. Odbieram od niej kieliszek, po czym dziękuję i wracam do mojego rozmówcy, a barmanka odchodzi.

– Tak, w sensie bodyguarda – rzuca obojętnie.

Siadam prosto, zaintrygowana.

– Co to za celebryta?

– O, nie... – stęka. – Tylko nie mów, że należysz do ludzi z obsesją na punkcie Kardashianów, którzy traktują magazyn „Star” jak słowo objawione.

– Unikasz odpowiedzi. Gadaj, bo ci prysnę w oko z limonki.

Cały aż się trzęsie od tłumionego śmiechu. Groźby porażenia cytrusami chyba wielce go radują.

– No dobra. Nico Nyx z zespołu Bad Habit. Zadowolona? – pyta, nawet na mnie nie patrząc.

– Serio?! – Wybałuszam oczy. – Wow. Przecież on jest cholernie sławny.

– Tylko nie prosz o żadne pikantne historyjki, bo i tak nie opowiem. – Wzdycha.

– Nie musisz być taki defensywny, Naz – rzucam zalotnie. – Nie zamierzałam prosić o nic takiego. Poza tym widzę, że jesteś z tych, co to potrafią trzymać gębę na kłódkę – wyznaję, popijając drinka.

W jego spojrzeniu pojawia się ostrzejszy błysk.

– Tak? A po czym? – pyta, wbijając we mnie wzrok.

– Po tych tajemniczych oczach – rzucam szybko, żeby sprawdzić, czy zaprzeczy. – Potrafię poznać oczy człowieka, który widział zbyt wiele.

Strzela między nami iskra, gwałtowna, jak prąd, niebezpieczna jak ostrze brzytwy. Przez chwilę obawiam się, że nie odpowie, a jednak to robi. Niezwykle niskim głosem, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

– Byłem w wojsku. W siłach specjalnych. Byłem w policji. Pracowałem w ochronie pewnych wysoko postawionych koleś – relacjonuje. – Więc tak, swoje widziałem. Jednego nauczyłem się na pewno, gadanie o gównie nie sprawia, że staje się piękniejsze. Zazwyczaj sprowadza się do sypania soli na rany.

Podoba mi się ta odpowiedź. Podoba mi się, że nie sili się na żarty, zmiany tematu czy kłamstwa. Zwłaszcza dlatego, że wiem, że wcale nie miał ochoty tego mówić, ale zrobił to dla mnie. Bo dostrzegł, że czegoś w nim szukam. Na przykład szczerości, choć może oczekiwanie jej pomiędzy dwojgiem nieznajomych to zbyt wiele.

– Czyli jesteś... obrońcą?

Mruga zdziwiony, tego się nie spodziewał.

– Słucham?

– Wszystkie twoje zawody polegały na obronie innych. Wojsko, policja, prywatna ochrona. – Nie komentuje, więc dodaje swobodnie: – No chyba, że po prostu lubisz się bawić spluwami.

– I kto to mówi, rewolwerowcu – odparowuje, a jego lekki uśmiezek powraca na swoje miejsce.

Na mniej osobistym gruncie czuje się pewniej. Nie mogę go za to winić. Kimże ja w ogóle jestem, żeby go przesłuchiwać? Też nie mam szczególnej ochoty na grę w szczerłość i zagłębianie się w moje życie.

Więc, Evo, dlaczego chodzisz z ukrytą bronią? Och, to tylko na wszelki wypadek, gdybym musiała zabić jednego z bandziorów mojego eks, Naz. A widziałeś ostatnio jakiś dobry film?

Wygląda na to, że oboje dźwigamy na barkach setki kamieni, pod które lepiej nie zaglądać.

– Więc co tam sobie sączysz, kowboju?

Parska śmiechem i okazuje się, że i to mi się podoba.

– Płynna wolta. Czystą whisky, proszę pani. Prosty trunek, pasuje do mnie. – Wzrusza ramionami.

Tak, bo w to uwierzę. Jesteś równie prosty jak zaawansowane kalkulatory kosmiczne.

– Nigdy nie odkryłam w sobie talentu do picia whisky. Ani tequili, skoro już przy tym jesteśmy. Ani ginu. – Przypomina mi się kac po pewnej nocy spędzonej w towarzystwie ginu z tonikiem i aż przechodzi mnie dreszcz. Powrót do siebie zajął mi kilka dni.

– Ale lubisz rum – stwierdza, zerkając przelotnie na alkohol, który trzymam w ręce.

– Kocham. Kiedy go piję, czuję się jak Johnny Depp w tych filmach o piratach.

– Jak Jack Sparrow?

– O, właśnie! – wykrzykuję podekscytowana.

– Próbowалаś rumu Mount Gay?

– Nie, dobry?

– Dobry? – pyta urażonym tonem. – Nie, on nie jest dobry. To najlepszy rum na świecie. Pędzą go na Barbadosie od 1703 roku. To pierwszy wybór każdego marynarza z krwi i kości.

Przyglądam mu się lekko zaskoczona.

– Widzę, że masz stanowcze zdanie w tej sprawie.

– Jak dopijesz, to zamówię ci Dark and Stormy.

– Dark and Stormy? Brzmi, jak mój ostatni związek – wyznaję, krzywiąc się.

– Przykro mi to słyszeć... – mówi po krótkiej pauzie.

Świetnie, przeze mnie zrobiło się niezręcznie. Zmień temat, zanim, całkiem się skompromitujesz.

– Co jest w tym drinku poza twoim prześwietynym rumem? Bo nie chcę niczego z parasolką.

– Z parasolką? – powtarza ze zgrozą. – Za kogo ty mnie uważasz?

Jego mina jest bezcenna. Wybucham śmiechem, nie potrafię się powstrzymać. Śmieję się tak mocno, że aż zginam się w pół i trzymam za brzuch, a moje oczy tryskają łzami.

– To nie było aż tak śmieszne.

Ponownie próbuje tłumić swój wyszczerz, zerkając na mnie z ukosa rozbawionymi oczyma. Widać, że cieszy się, że mnie rozbawił, ale dostrzegam w nim również jakąś sprzeczność. Jakby toczył ze sobą konflikt. Nieustannie spogląda na moje usta, a potem odwraca wzrok.

Gdy w końcu się uspokajam i wycieram oczy, mówię:

– Powiedziałbyś mi, gdybym miała szpinak między zębami, prawda?

Podnosi na mnie rozbawione spojrzenie.

– Wiesz, że koszmarnie ci idą zmiany tematów? Zero finezji. Nie nadawałabyś się na gospodynię talk show – oznajmia.

– No nie wiem, ja sędzę, że byłabym w tym niezła. Jak widzisz, uwielbiam gawędzić z nieznanymi. Marina musiałaby na mnie uważać!

– Nie mam pojęcia, kto to jest. Leci w amerykańskiej telewizji?

Zamieram, serce zaczyna walić mi w piersi. Spanikowana wbijam wzrok w szklanekę, którą trzymam w dłoni.

– Mmm, nie jestem pewna. Oglądam przez satelitę wiele różnych kanałów...

Dopijam rum, łajając się w myślach za tę nieostrożność. Wszystko przez to, że poczułam się przy nim tak komfortowo. Ma w sobie coś, przez co spuszcza gardę. Niemniej napomknięcie o gwieździe rosyjskiej telewizji było kretyńskie.

Kretyńskie i niebezpieczne. Zwłaszcza że zdradziłam mu już prawdziwe imię.

– Hej...

Oblizuję nerwowo usta i zerkam na niego. Ma poważną minę, świdruje mnie wzrokiem.

– Nie przejmuj się – mówi niskim głosem. – Też oglądam wiele przypadkowych programów w telewizji. – Puszczą mi oczko.

Patrzemy sobie głęboko w oczy, to może być jeszcze groźniejsze niż moja gafa sprzed chwili. Czuję się obnażona, wrażliwa, jakbym miała serce na zewnątrz.

Bo on wcale nie mówi o programach telewizyjnych. Mówi o tajemnicach... i na swój subtelny sposób daje mi do zrozumienia, że jakiegokolwiek mam sekrety, są z nim bezpieczne.

Że ja jestem przy nim bezpieczna.

– Jeszcze drinka, skarbie?

Kelnerka... dzięki Bogu.

– Poprosimy dwa razy Dark and Stormy – odpowiada za mnie Naz i na jego poważnej przed chwilą twarzy pojawia się olśniewający uśmiech. Ja nadal dochodzę do siebie, więc nie jestem w stanie zaoferować nic poza milczeniem.

– Robi się! Coś na ząb? Jakaś przekąska? Robimy zabójcze krewetki w panierce.

Naz spoziera na mnie zawiadaczająco i uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Zabójcze krewetki? To chyba coś dla nas.

Chowam twarz w dłoniach i ponownie wybucham śmiechem, tym razem z niedowierzania.

– Już się robi! – Kelnerka odchodzi, zostawiając nas samych.

– Nie wiem, czy szkodzisz mojemu ego, czy robisz mu dobrze – mówi w zamyśleniu Naz. – Śmiejesz się ze mną czy ze mnie? Nie ma pojęcia.

– Och, bez dwóch zdań z ciebie. – Podnoszę głowę i uśmiecham się do niego serdecznie. – Jesteś porypany.

– Proszę cię. – Prycha. – Jestem uroczy. Jeżeli nie potrafisz docenić obfitości mojego niecodziennego uroku, to już twój problem, kochana.

Trzepocze do mnie rzęsami, po czym teatralnym haustem dopija whisky.

– Obfitości? – pytam wciąż rozbawiona. – Czyżby mój nowy kumpel Naz lubił popisywać się słownictwem?

– Niemal tak bardzo jak muskułami. Czym wolałabyś zostać uraczona, bliskimi oględzinami moich naprężonych bicepsów czy może definicją słowa przedpotopowy?

– Lepiej zacznij się naprężyć, kowboju, bo już wiem, co to znaczy przedpotopowy.

– Czyżby? – rzuca z niedowierzaniem. – To udowodnij.

– Nie wierzysz mi?

– Grasz na czas... – mówi z cwaniackim uśmieszkiem.

– No dobrze, zagram w twoją durną gierkę. Przedpotopowym nazwiemy coś sprzed biblijnego potopu. – Zarzucam włosy za ramię i prychem na niego z wyższością.

– A... ubóstwo? – pyta, mrużąc oczy.

– Naprawdę? – Przewracam oczami. – Będziemy toczyli słownikową wojnę?

– Stawiam za punkt honoru, żeby nigdy nie walczyć z bezbronnym przeciwnikiem, więc... – Krzyżuje ramiona na piersi, prostuje długie nogi i gapi się na mnie z wyzywającym uśmieszkiem.

– Chwileczkę, czy ty właśnie nazwałeś mnie głupią?

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, wydyma wargi i stwierdza:

– Na mądrą jesteś za ładna.

Wiem, że robi mnie w chuja, bo znowu z trudem hamuje śmiech, ale takie zachowanie jest nie do przyjęcia. Jestem wykształconą kobietą. Znam cztery języki. Skończyłam uniwersytet w czółowce rocznika.



Innymi słowy, do boju.

– Ubóstwo. – Dla lepszego efektu literuję. – Niemożność zapłacenia za podstawowe potrzeby życiowe.

Udaje, że nie robi to na nim wrażenia i przeciągle ziewa.

– No dobrze, wielkoludzie, a co powiesz na to: infantylny – mówię, starając się go sprawdzić.

– Dziecinnie niedorzeczny – odpowiada ostro. – A przy okazji, wycieczki osobiste są zbędne.

Uśmiecham się promiennie.

– Powiesz mi teraz, że jestem niesforna, urągliwa czy może obelżywa?

Zaczyna wyglądać na zaniepokojonego.

– Chryste panie. Nie mów tylko, że jesteś jedną z tych przemądrzałych erudytek. Zaraz mi powiesz, ile mam włosów na głowie albo z jaką prędkością latają nieobciążone jaskółki?

– Afrykańskie czy europejskie? – rzucam natychmiast.

Naz jest kompletnie zbity z tropu, pierwszy raz odkąd się poznaliśmy. Gapi się na mnie wytrzeszczonymi gałkami, z rozdziawioną gębą, totalnie skołowany.

– Lubisz Monty Pythona?

– Jestem pełna niespodzianek, co? – Posyłam mu mój najbardziej niszczycielski uśmiech i rozpieram się na leżaku, zachwycona jego osłupieniem.

– No... – przyznaje jakby z lękiem. – Jesteś...

Nie rozumiem dlaczego, ale ewidentnie go zaniepokoiłam. Może naprawdę myślał, że wszystkie ładne dziewczyny są głupie. W tym momencie przypominam sobie, że nazwał mnie ładną i na moje policzki wypływa żenujący rumieniec.

– Idę do łazienki – ogłaszam, pośpiesznie wstając. – Zaraz wracam.

Oddalam się, zanim zdążył coś powiedzieć. Biorę głęboki wdech i, przemierzywszy piaszczystą plażę, wracam do lokalu, a tam kieruję się do umieszczonych w głębi toalet. Po drodze muszę minąć bar. Gdy zauważam, że zezuje na mnie dwóch grzmocących tequile studencików, skręca mnie w żołądku z niepokoju.

Jeden z nich gwizdże. Drugi szczyrzy zęby i mówi coś pod nosem.

Przechodzę, nie zaszczyciwszy ich spojrzeniem, ale aż zaciskam zęby na myśl, jacy gówniani musieli być rodzice tych buraków. Gdyby mój syn okazywał kobietom taki brak szacunku, skutecznie wbiłabym mu do łba trochę ogłady.

Przed skorzystaniem z toalety upewniam się, że porządnie zamknęłam drzwi. Po wszystkim myję i wycieram ręce, poprawiam fryzurę i wychodzę z łazienki. W tym momencie orientuję się, że wąski korytarzyk blokują dwa męskie ciała.

Jak widać, studenciki uznały, że chcą się zabawić.

– Hej, piękna – zaczyna blondasek, prezentując słodziutkie dołeczki w policzkach.

Nie oszuka mnie tym. Dmitrij ma buzińkę jak cherubinek, a potrafi bez mrugnięcia okiem oderżnąć człowiekowi język i rzucić go psom na pożarcie.

– Przepraszam uprzejmie – mówię, próbując obok nich przejść.

Ale blondas podchodzi bliżej i zmusza mnie, żebym cofnęła się ku drzwiom łazienki. Ma zaczerwienione oczy, a jego oddech cuchnie tequilą.

– A dokąd się tak śpieszysz? Chcemy tylko pogadać.

Jego kumpel, chudy, przysmażony słońcem na różowo rudzielec o uśmiechu debila, dodaje:

– No, tylko pogadać.

Wyciąga łapę i ściska mnie za ramię.

Zamieram.

Ale nie ze strachu, lecz z wściekłości. To nie są uzbrojeni członkowie gangu, ale grają dwóch na jednego, czyli nie fair, do tego naprawdę nienawidzę tego typu palantów, którzy są mocni przeciwko słabszym.

Wbijam wzrok w oczy rudzielca i cedzę:

– Marchewa, zabieraj tę rękę albo ją stracisz.

Koleś mruga i parska nerwowym śmiechem.

– Łoo, ktoś tu jest opryskliwy, masz ciotę czy co?

Dołączki blondaska gdzieś zniknęły. Jego usta wykrzywiły się w paskudny uśmiešek, a w jego oczach pojawiło się spojrzenie, które znam aż za dobrze. Tak wygląda mężczyzna, któremu zaraz puszcza nerwy.

Zbliża się o kolejny krok. Sięgam za plecy, do spódnicy i zaciskam dłoń na kolbie pistoletu. Powietrze robi się naelektryzowane. W tym momencie zza pleców studencików dobiega spokojny głos.

– Chyba nie omija mnie imprezka, prawda?

Rudy odrywa ode mnie rękę i gwałtownie się odwraca. Blondyn odskakuje na bok, jakby ktoś poraził go pastuchem. Ze spowijającego korytarz cienia wyłania się masywna postać Naza.

Jest wyższy o głowę od obu studencików i przynajmniej z dwadzieścia kilo cięższy. Uśmiecha się, lecz jego spojrzenie jest bardzo niepokojące. Oczy Naza lśnią jak obnażone w mrocznej jaskini klingi mieczy.

Patrzy na rudego. Patrzy na blondynka. Patrzy na mnie.

– Który kark mam skrócić najpierw? – warczy.

## ROZDZIAŁ 4

### Naz

Pizdeczki z uniwerku prawie zwały się w gacie. Chyba nigdy nie widziałem szybszej rejterady, do tego uświetnionej wybełkotanymi niewyraźnie przeprosinami i zapewnieniami, że doszło do nieporozumienia i po prostu zblądzili w poszukiwaniach męskiej toalety, biedaczki.

Odgłos pośpiesznych kroków milknie i po chwili zostajemy z Evą sami pod drzwiami toalety.

Wygląda na morderczo rozjuszoną.

– Wszystko okej?

– Tak, dziękuję. – Bierze kilka wdechów przez rozdęte nozdrza, a tętnica pulsuje jej na szyi. –

Prawie podziurawiłam tego rudego.

– Rozsądne wyjście. Przecież te piegi są uwłaczające.

Uśmiecha się, ale to uśmiech groźnej zjawy. Widzę, że próbuje odzyskać opanowanie. Nie bała się tych jełopów. Z jakiegoś dziwnego powodu napawa mnie to dumą.

Twardzielka.

Eva to niewiarygodnie seksowna, szalenie inteligentna, zabawna i obezwładniająco fascynująca twardzielka, która lubi Monty Pythona, ma niebiański dekolt i patrzy na mnie tymi wielkimi, brązowymi, sarnimi oczami, aż człowiek zapomina, jak się oddycha.

A do tego jest żoną rosyjskiego miliardera, który oczekuje ode mnie raportu z samego rana.

Ja pierdolę.

Odchrząkuję i skupiam się.

– Drinki przyszły. – Wskazuję kciukiem w stronę naszego miejsca przy ognisku. – Zaraz rozwałą ci mózg, gotowa?

Patrzy na mnie. Ale tak naprawdę patrzy, z życzliwością i czymś na wzór podziwu, jakbyśmy byli ostatnimi ludźmi na Ziemi i spotkali się pierwszy raz.

– Już mam rozwalony, Naz – odpowiada cicho i mija mnie bez dalszych wyjaśnień, a za nią ciągnie się przyprawiający o zawroty głowy aromat jaśminu.

Przymykam powieki i głęboko się nim zaciągam. Ja pierdolę i jeszcze raz ja pierdolę.

Od jutra nie ma mowy, żebym się do niej zbliżał. Muszę zachować profesjonalny dystans.

Poświęcam chwilę na wewnętrzny sprzeciw, bo przecież to nie moja wina, że tu dziś przyszła. Siedziałem sobie spokojnie, raczyłem się alkoholem i kojącą aurą, gdy się do mnie przyplątała. Niestety skazą na tej wygodnej argumentacji jest fakt, że doskonale wiedziałem, że często tu bywa i przez pięć ostatnich dni przyłąziłem tu codziennie, licząc, że dojdzie do spotkania, które ona uzna za zbieg okoliczności.

Próbuję tłumaczyć się sam przed sobą. Zły znak. Dowodzi, że stanąłem po złej stronie własnego sumienia. Mam na tyle oleju w głowie, by nie mieszać spraw prywatnych z interesami.

Ale ta kobieta. Cholera jasna! Jest jak jednorożec. Jak całe enchiladas tylko dla mnie. Myślałem, że takie jak ona żyją tylko w filmach.

Zbyt długo jesteś samotny, to dlatego. Ogarnij łeb, wyrzuć z niego wszystko, oprócz interesów.

Przeczesałem włosy palcami, potrząsam głową, żeby oczyścić myśli i wracam do ogniska. Z pewną dozą satysfakcji zauważam, że cała zgraja studentów opuściła knajpę.

Gdy siadam obok Ewy, studiuje podejrzliwie Dark and Stormy, które kelnerka zostawiła na podłokietniku jej leżaka.

– Smakuje lepiej, niż wygląda. Obiecuję.

– Chodzi mi o to, że szklanka stała tu sama... nikt jej nie pilnował...

Zerka na mnie i w lot łapie, o co jej chodzi. Nachodzi mnie krótka, nieprzyjemna myśl, jak to jest być kobietą, którą doświadczenie zmusiło do nieustannego pilnowania się przed poławą ludzkości, tą

wyposażoną w kutasy.

– To zamówmy sobie nowe. – Wylewam oba drinki na piasek. Eva idzie ze mną do baru. Zamawiam drugą kolejkę i wracamy z drinkami do ogniska. Gdy rozsiadamy się na stojących w piasku leżakach, zauważam, że Eva lekko się uśmiecha.

Upija łyk i oblizuje wargi.

– Mmm. Imbir?

– Piwo imbirowe – przytakuje.

– Jeszcze lepiej. – Bierze drugi łyk, po czym wzdycha i spogląda w dal na morze.

Ta kobieta wygląda cudownie z profilu.

Tu już nie chodzi o to, że jest ładna. Jest kwitnąca i naturalna w niewymuszony sposób. Nie ma makijażu na twarzy, jej długie, pofalowane włosy są rozpuszczone, a ich końcówki w nieokiełznany sposób podkręcają się od wilgoci. Założyła najwyczajniejsze możliwe ubranie – stare džinsy i wypuszczoną zza paska męską białą koszulę z podwiniętymi rękawami, założoną na jasnoróżową koszulkę na ramiączkach – a i tak emanuje kobiecością i seksapilem.

Nie próbuje przyciągać uwagi wyglądem, a i tak wszyscy się za nią oglądają.

Bo prawdziwego piękna nie da się przeoczyć.

Zauważył ją każdy gość baru. Co chwilę ukradkiem zerkają w jej stronę. Nawet kobiety wyglądają, jakby miały ochotę wylizać ją od palców stóp po czubek głowy.

Jak mogła pomyśleć, że zdoła się ukryć?

Zerka na mnie i zauważa, że się gapię.

– Co?

– Właśnie sobie myślałem, jaka jesteś obrzydliwa – stwierdzam poważnie. – Na serio, tragicznie brzydka. Łażenie z taką gębą i ciągle straszenie dzieci musi być dla ciebie koszmarem. Żal mi cię. Czy któraś organizacja charytatywna zbiera na ciebie kasę? Bo chętnie zrobię przelew. Może Stowarzyszenie Quasimodo? Albo Fundacja Ratujmy Przed Straszeniem? Naprawdę czuję potrzebę, żeby pomóc.

Mruga, zupełnie niewinnie.

– Ale dziwne! Myślałam dokładnie to samo o tobie!

– Przepraszam bardzo, ale ja jestem nadzwyczajnie przystojny. Zapytaj, to chętnie ci o tym opowiem.

Ponownie się śmieje, a jej śmiech staje się moim ulubionym dźwiękiem.

– Jesteś zdrowo trzepnięty.

– Chyba czarujący.

– Chyba szpetny. Jesteś niepokojąco masywny. Cierpisz na gigantyzm?

Na mojej twarzy rozkwita uśmiech od ucha do ucha.

– Tylko gdzieniegdzie, kochana.

Kładę szklankę na kroczu, posyłam jej wymowne spojrzenie, a następnie przenoszę wzrok na gwiazdy.

Eva śmieje się długo, w beznadziejnym zapamiętaniu. Mam dziwną ochotę zerwać się na równe nogi, walić pięściami w klatę i wyć jak Tarzan.

Kelnerka przynosi nasze krewetki.

– Proszę bardzo, to dla was – mówi, wręczając Evie plastikowy koszyk, z którego aż wysypują się smażone w panierce owoce morza. Mnie podaje dwa małe talerzyki i serwetki, po czym znowu skupia uwagę na niej.

– I jak ci smakuje Dark and Stormy, Thelma? Dobre, co nie?

Eva na ułamek sekundy zamiera, ale zmusza się do uśmiechu i odpowiada:

– Tak, bardzo dobre. Dziękuję, Maria.

– Super! Dajcie znać, gdy będziecie gotowi na następną kolejkę – mówi kelnerka i odchodzi.

Następuje chwila ciszy, bo szafa grająca zmienia płyty. Eva wpatruje się intensywnie w koszyk krewetek, jakby chciała się w nim schować i zniknąć.

– Wtrąnolisz całe, czy dostanę chociaż kilka? – pytam, podając jej talerzyk, ale tak naprawdę rzucam jej koło ratunkowe, które ma wyrwać ją z tej chwili. Oczywiście wiedziałem, że posługuje się

falszywym nazwiskiem, ale nadal nie mogę rozgryźć, dlaczego zdradziła mi prawdziwe.

Obraca głowę, patrzy na mnie i na jej twarzy nie ma cienia radości, która wybuchała tam jeszcze przed chwilą. Tańczący na jej policzkach blask płomieni uwidacznia, jak blada się zrobiła.

– Eva to moje drugie imię...

– Nie musisz mi się z niczego tłumaczyć – wtrącam, patrząc jej w oczy, a potem się uśmiecham. – Ja tak naprawdę mam na imię Wilbur.

– Wilbur? Wcale nie, kłamiesz.

– Tak, masz rację – wzdycham ciężko. – Tak naprawdę, naprawdę to Dudley. Ale nie mów nikomu... bo się tego wstydzę... – Łapię za koszyczek, przerzucam na talerzyk kilka krewetek i podaję go jej wraz z serwetkami. – Zabieraj się za nie, póki ciepłe. Nie ma nic gorszego od zimnych zabójczych krewetek. No dobra, może odgrzewane frytki, ale to wszystko.

Gdy Eva przyjmuje ode mnie talerzyk, jej dłoń nieznacznie drży. Drugi talerzyk odrzucam na piasek i zaczynam jeść rękami prosto z koszyka, rozpierając się wygodnie na leżaku.

– Mmm, mniam. Chyba więcej ci nie dam. Musisz dbać o figurę, bo jeszcze dwa, trzy kilo i wezmą cię do cyrku.

Na kilka chwil zapad cisza, którą Eva przerywa wymruczanym cicho wyznaniem.

– Bardzo miły z ciebie facet.

– Miły?! – oburzam się. – Chryste, to może już lepiej wbij mi nóż w serce. – Dostrzegam kątem oka jej nieśmiały uśmiech. – Chciałaś powiedzieć piekielnie męski, naturalnie. I, oczywiście, czarujący. Do tego seksowny aż zapiera dech, ale to akurat oczywiste.

– Zapiera dech? Znowu naczytałeś się romansidel?

– Najbardziej lubię *Zmierzch* – mówię bez cienia ironii. – Edward jest taki boski, prawda?

– Och, jasne. Ta cała połyskująca blada skóra i niepowstrzymany apetyt na krew. Jak można go nie kochać?

– A różnica wieku wcale nie jest niesmaczna – kontynuuję z naciskiem, wrzucając do ust kolejną krewetkę. – Bo on ma, ile, ze stówkę? A ona jest za młoda, żeby głosować. Ale przecież miłość wszystko zwycięży!

– Jak najbardziej, wystarczy zapytać Romea i Julię.

– Być może ułożyłoby się im inaczej, gdyby Romeo był stuletnim wampirem.

– No, Szekspir totalnie to spartolił. Szkoda, że umarł, bo wysłalibyśmy mu list, w którym wyjaśnilibyśmy, nie przebierając w słowach, jakim jest jelopem.

Patrzymy na siebie z szerokimi uśmiechami.

– A jak! – rzucam na koniec i podsuwam jej koszyk z krewetkami.

– Podobno jestem na diecie... – mówi zadziornie.

– W sumie, wielkie tyłki są teraz modne, więc...

– Po wszystkim, co razem przeszliśmy, mówisz mi, że mam wielki tyłek?! – woła z udawanym oburzeniem.

– Kochana, twój tyłek jest tak wielki, że powinni mu przydzielić odrębny kod pocztowy. Zajadaj.

Bierze ode mnie koszyk, z trudem hamując śmiech, a ja znów mam ochotę zerwać się na nogi i walić pięściami w klatę. Rozśmieszanie Ewy jest uzależniające. Dostaję od tego haju, jakbym się nawciągał koksu.

Prawie zapomniałem, jakie to uczucie. Tylko raz w życiu czułem...

Spadaj od niej. Natychmiast.

Opływa mnie lodowate zimno, jakby ktoś mnie uderzył w twarz. To, co robię, nie jest po prostu głupie. To, co czuję, siedząc obok niej, nasiąkając jej blaskiem...

To niebezpieczne.

To złe.

– Wszystko w porządku?

Patrzy na mnie, przygląda się mojej minie tymi pięknymi oczami. Widocznie zauważyła, że cały się napiąłem. To również niebezpieczne, bo oznacza, że jest do mnie dostrojona, tak jak ja do niej... a wzajemność tego uczucia to ostatnie, czego teraz potrzebujemy, oboje.

– Właśnie sobie przypomniałem, że jestem już spóźniony. Muszę lecieć. – Wstaję gwałtownie, porywam leżące obok leżaka buty i wytrzępuję z nich piasek.

– Iść? Teraz? Dokąd? – Eva rozgląda się zbита z tropu, a potem patrzy na mnie, stojącego niemal na baczność, z butami w łapie, gotowego uciec jak jakiś wariat.

– Mam spotkanie – odsuwam się niepewnie. – Zapłacę po drodze. Do zobaczenia.

Obracam się i odchodzę, zanim coś powie. Płacę przy barze, a potem ulatniam się najszybciej, jak umiem.

Minąwszy dwie przecznice, zawracam.

Znajduję ciemne miejsce pomiędzy dwoma, zaparkowanymi przy drodze kamperami i czekam w mroku, aż, jakieś dwadzieścia minut później pojawia się Eva. Później śledzę ją z bezpiecznej odległości, pilnuję, by na pewno wróciła bezpiecznie do mieszkania.

Gdy znika w środku, zamyka drzwi na klucz i zaciąga zasłony, oddycham swobodniej. Lecz dziwny ucisk nie opuszcza mojej piersi. Czuję go, nawet gdy gasi światło.

Nawet gdy nad horyzontem pojawia się pierwsza smuga szarości brzasku.

Nawet gdy wracam do własnego łóżka i witam nowy dzień, gapiąc się w sufit.

\*\*\*

– Jaki ma pan tam zasięg? Słyszysz mnie pan?

– Głośno i wyraźnie – mówię, patrząc w ekran laptopa.

Spogląda na mnie mężczyzna, siedzący za zdobnym mahoniowym biurkiem, który ma na sobie garnitur za pięć kawałków. Jego czarny, aksamitny krawat idealnie przylega do kołnierza czarnej koszuli. Choć ubrał się jak właściciel zakładu pogrzebowego, w jego obliczu jest coś chłopięcego i uroczonego. Niewinności dodają mu jasnobłond włosy i lekko wydęte usta. Przypomina jednego z tych aniołków ze starych obrazów.

Natomiast jego oczy... Od początku coś mi w nich nie grało. Są lodowato błękitne i puste jak arktyczne niebo.

– Doskonale. Proszę, procedować – stwierdza.

Naciskam klawisz i ładuję zdjęcia, które zrobiłem Evie od czasu poprzedniego raportu, sprzed tygodnia. Zalewają ekran. Przegląda wszystkie po kolei, każde przez kilka sekund analizuje bez słowa komentarza. Gdy kończy, wygładza dłonią krawat i wykonuje wystudiowany, głęboki wdech.

– Ma pracę – zauważa, krzywiąc się nieznacznie.

Wnioskuje z jego tonu i wyrazu twarzy, że nie jest zachwycony tym rozwojem wypadków.

– Tak. Na niepełny etat, cztery dni w tygodniu.

Dmitrij wraca do zdjęć, na których Eva w bikini i kamizelce ratunkowej prowadzi do wody grupę dzieci z deskami pływackimi.

– Co ona tu robi?

– Pływanie z delfinami, taka atrakcja dla turystów – wyjaśniam spokojnie.

W głębi jego błękitnych oczu zamigotało coś niedobrego.

– Jakże stosownie do sytuacji... – mówi pustym głosem.

Oczywiście nie pozwalałam sobie, by na mojej twarzy pojawił się choć cień emocji, natomiast to całkiem zabawne, bo ona od niego nie tyle uciekła, co właśnie odpłynęła. W środku nocy wyskoczyła z ich mega jachtu i dopłynęła do brzegu, dzięki czemu wyprowadziła w pole patrolujących pokład wartowników. Dopiero rano, gdy mężulek się obudził i poczuł obok w łóżku zimne prześcieradło, zorientowali się, że zniknęła.

Musiła przepłynąć kilka kilometrów w lodowatej wodzie. Zapewne dobrze się przygotowała. Nie tylko wzmacniając ciało, ale także pieczołowicie obliczając, jak długo przetrwa w takich warunkach, zanim dopadnie ją hipotermia.

Naprawdę zależało jej na ucieczce.

Jak dotąd nie pozwalałam sobie na rozmyślania o powodach jej decyzji. Bo to nie była moja sprawa. Nie wiązało się to z moim zadaniem. Jednakże spędziwszy trochę czasu z żywołem, jakim jest zbiegła małżonka tego człowieka, pilnie zapragnąłem poznać szczegóły.

Dosłownie muszę gryźć się w język, żeby nie wypalić z jakimś pytaniem. Gdy w moim gardle pojawia się metaliczny posmak, dociera do mnie, że przygryzłem się do krwi.

– To bez znaczenia – stwierdza Dmitrij, składając dłonie na kolanach. – Nieważne, ile jej płacą, na pewno za mało. Przywykła do życia w luksusie. Ten kaprysik, ta cała praca, szybko się jej znudzą.

Milczę, bo mój komentarz jest zbędny.

Dmitrij od samego początku twierdził, że Eva wróci do niego, gdy tylko skończy się jej forsa. To nie pierwsza jej ucieczka, ale doszedł do wniosku, że jeżeli da jej nieco luzu i nie zmusi jej siłą do natychmiastowego powrotu, to znudzi się koniecznością samodzielnego prania ciuchów, gotowania i wynoszenia śmieci.

Nie jestem co do tego przekonany. Eva wygląda na jak najbardziej zadowoloną ze swoich zwyczajnych ubrań i zwyczajnego życia na zwyczajnej wyspie.

Tak sobie myślę, że być może poprzednie ucieczki wyostrzyły jej apetyt na wolność.

Tym razem chyba chce zniknąć na dobre.

– A co z mężczyznami? – pyta nagle Dmitrij, stukając palcami w blat biurka.

Nie muszę dopytywać o znaczenie pytania.

– Brak. Brak również bliskich przyjaciół. Stroni od towarzystwa. Wchodzi w interakcje jedynie z ludźmi z pracy czy ze sprzedawcami na targu albo obsługą, gdy jada poza domem. W jej wykazie połączeń komórkowych nie ma niczego niezwykłego. Podobnie jeżeli chodzi o aktywność w internecie.

Nie wspominam o smakowitym kąsku, na który wpadłem dziś rano, sprawdzając jej historię wyszukiwania, bo nie mogę. Jestem przekonany, że gdyby Dmitrij usłyszał, że jego żona wpisała w okienko wyszukiwarki: znaczenie imienia Nasir, to miałby do mnie kilka niewygodnych pytań.

Szczerze mówiąc, sam jestem tym wstrząśnięty.

– Otlaczno – rzuca, kiwając głową, co znaczy chyba „świetnie” albo coś w tym stylu. Następnie przygląda mi tak dziwnie intensywnym spojrzeniem, że czuję jego siłę przez monitor, choć dzieli nas tysiące kilometrów.

– Panie Mansouri, nie muszę panu mówić, że powierzyłem panu moje najcenniejsze mienie. Doceniam pańską skrupulatność. Przekażę panu Hughesowi, że jestem zadowolony.

– Dziękuję panu – odpowiadam sztywno.

Jakim trzeba być facetem, żeby nazywać żonę „mieniem”? Nie twoja, kurwa jego pierdolona mać, sprawa. Takim, jak ten pajac, którego widzę w ekranie!

– Oczekuję kolejnego raportu za tydzień, o tej samej porze, chyba że w międzyczasie wydarzy się coś szczególnego. Aha, panie Mansouri?

– Słucham, proszę pana.

Błękitne oczy Dmitrija stają nagle w ogniu, jakby był jakimś filmowym cyborgiem.

– Proszę nie spuszczać jej z oka.

Rozłącza się, nie czekając na odpowiedź, bo przecież królowi nie zależy na wyrazach uprzejmości ze strony wieśniaka.

Przez chwilę siedzę i gapię w ścianę pustego mieszkania. W końcu przykładam dłoń do twarzy i mruczę pod nosem:

– Ale gównno...

To słowo perfekcyjnie podsumowuje mój nastrój, sytuację, w jakiej się znalazłem, a także moje opinie na temat charakteru pewnego rosyjskiego miliardera o anielskiej buźce i morderczo lodowatych oczach.



## ROZDZIAŁ 5

### Eva

Dni zlewają się ze sobą.

W porównaniu do rytmu życia gdzie indziej, na wyspie czas ledwie pełźnie naprzód. Nieśpieszne poranki przechodzą w długie, leniwe popołudnia, a te w duszne, tropikalne noce. Tylko obowiązki w pracy uwalniają mnie od natrętnych myśli o tamtym wieczorze sprzed tygodnia, gdy wpadłam na Naza w knajpie u Javiera. Wspominam, jak było cudownie. Jak swobodnie czułam się w jego towarzystwie. Jak, znowu, ocalił mnie przed niebezpieczeństwem.

Jak nagle sobie poszedł.

Myślałam, że gdy chwila grozy, kiedy kelnerka wypowiedziała moje przybrane imię, minie, Naz przejdzie nad tym do porządku dziennego, jak robił w kilku innych przypadkach, lecz on nagle zerwał się i zmył, bąkając jakieś niezręczne przeprosiny i unikając mojego spojrzenia. Wydaje mi się, że uciekł właśnie z powodu tego imienia... Tej niejasności.

Czy można go winić? Kiedy ujrzał mnie pierwszy raz, wyłaniałam się z mrocznego zaułka z pistoletem w ręce. A potem to fałszywe imię... pewnie wrócił do swojego pierwotnego zdania, że jestem prostytutką.

O ile w ogóle od niego odszedł.

Cała ta sytuacja wprawia mnie w przygnębienie, choć to bez sensu. Przecież spotkaliśmy się tylko dwukrotnie, choć był pierwszym człowiekiem, przy którym poczułam się swobodnie, odkąd uciekłam na wyspę i pierwszym mężczyzną w moim życiu, przy którym poczułam się bezpiecznie.

Próbuję nie zachodzić w głowę, czy jest żonaty, ale nieskutecznie.

Nie nosi obrączki, ale nie wszyscy żonaci faceci noszą. Nie wspominał o żonie, no ale ja nie pytałam. Pomyślałam, że coś między nami kliknęło, ale może on po prostu tylko niezobowiązująco flirtował. Może wymyślałam sobie, że złapaliśmy świetny, naturalny kontakt.

Może on w ogóle o mnie nie myśli.

Może powinnam podnieść tyłek z tej ławki, bo kolana mi zaraz odpadną.

Z ciężkim westchnięciem wstaję z kościelnej ławy, w której modliłam się niemal godzinę, robię znak krzyża na piersi, po czym przenoszę wzrok na ścianę za ołtarzem.

Pomiędzy dwoma skromnymi witrażami, mieniącymi się feerią barw w świetle poranka, wisi prosty, drewniany krzyż. W tym pobożnym kraju jest wiele kościołów, ale ja najbardziej lubię te skromne. Te małe, ciche, gdzie nikt nie jest specjalnie traktowany ze względu na hojne ofiary, bo wszyscy parafianie są równie biedni.

Muszę zacisnąć powieki, żeby odpędzić wizję ojca Gurjewa, który nisko kłaniał się Dmitrijowi, gdy przybywaliśmy na niedzielną mszę. Kłaniał się. Oczywiście wszystkie dary mojego męża pochodziły z brudnych pieniędzy, ale kapłan i tak doceniał gest.

Ewangelia świętego Mateusza uczy, że prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż bogacz wstąpi do Królestwa Niebieskiego, ale Dmitrij znalazł lukę w tej prawdzie.

On zawsze odnajduje luki. Nieważne, czy ma do czynienia z człowiekiem, czy z Bogiem. Na Ziemi i w niebie nie istnieje prawo, którego nie zdołałby obejść i między innymi właśnie dlatego był taki niebezpieczny.

Jest, poprawiam się w myślach. W czasie teraźniejszym. On i jego charakter nadal gdzieś tam są i bez wątpienia przetrzysają każdy zakamarek naszej planety, żeby mnie znaleźć.

Na samą myśl przechodzi mnie dreszcz, zrywam ostatnie słowa niemej modlitwy o ochronę, wychodzę z ławki i przyklękam na jedno kolano w przejściu. Wychodzę na pobliski targ, mrużąc osłepione nagłym blaskiem oczy, rozkoszując się padającym na moje ramiona ciepłem i pachnącym plumeriami powietrzem. Nie muszę dziś pracować i zamierzam zrobić sobie ceviche na obiad.

Dyskutuję ze sprzedawcą ryb o świeżości tilapii i właśnie wtedy go dostrzegam.

Po drugiej stronie targu, przy straganie z owocami, który zawsze omijam, bo jest zbyt drogi. Naz stoi odwrócony do mnie plecami. Przegląda mango, bierze do ręki jeden z owoców, bacznie mu się przygląda, a potem odkłada i wraca do poszukiwań. Ma na sobie beżowe, krótkie spodnie cargo i biały T-shirt. Wygląda jak każdy, zwykły facet.

Nie licząc tych szerokich barów. Nie licząc tych gęstych, czarnych włosów. Nie licząc tych tatuaży po wewnętrznej stronie przedramion, pokrytych czarnym atramentem ścięgien, które napinają się, gdy rusza rękami.

Jestem tak zaskoczona jego widokiem, że po prostu stoję i się gapię. Napawam się widokiem.

Jego tyłek to czyste piękno.

Z zasady męskie, jędrne bułeczki zasługują na większe uznanie. Dupka Naza wygląda tak sprężyste i apetycznie, że Michał Anioł powinien wziąć ją na warsztat i... Odwraca się!

Naz zdążył się odwrócić, zanim oderwałam od niego wzrok. Odnajduje mnie spojrzeniem natychmiast, jakby wiedział, w którym miejscu stoję. Patrzy mi prosto w oczy.

Napina mięśnie szczęki, a pomiędzy jego ciemnymi brwiami pojawia się wąska szczelina.

Nie ciesz się na mój widok.

Odwracam wzrok spłoszona i wskazuję palcem rybę, którą chcę kupić. Płacę, zabieram zapakowany w szary papier zakup i przechodzę do ulubionego straganu z warzywami po resztę składników na ceviche. Śpieszę się, serce zaczyna bić zbyt szybko, a żołądek skręca się w supeł.

Uspokój się. Głębokie wdechy. Nie oglądaj się przez ramię.

Szukam w torebce odliczonej kwoty, gdy zatrzymuje się obok mnie para stóp w sandałach.

– Widzę, że nie schudłaś ani grama, odkąd ostatnio się widzieliśmy – mówi swobodnie, biorąc do ręki pomidora.

Zerkam na niego i gdy dostrzegam, że się uśmiecha, a po jego poważnym spojrzeniu nie ma śladu, oddecham z ulgą.

– Dzwonili z cyrku. Zrobią ze mnie gwiazdę. Eva, Zdumiewająca Kobieta Słoń. A, przy okazji, na tobie też im zależy. Mówili chyba coś o... wielkiej bestii bez grama manier. I wspominali, że przygotują ci specjalną, prywatną klatkę.

– O wielkiej, uroczej bestii. – Obraca głowę i patrzy na mnie z olśniewającym uśmiechem.

Moje serce fika pod mostkiem urocze salto. Odwracam wzrok, bo znowu robię się przy nim zdenerwowana.

– Proszę cię, masz mniej więcej tyle uroku, co kosz na śmieci.

Naz odchyła głowę i wybucha śmiechem, na tyle głośnym, że kobieta sprzedająca warzywa, aż się wystraszyła.

Boże, jaki on przystojny. Staram się nie gapić na masywną kolumnę jego gardła, ignorować pięknie opaloną skórę, ale moje wysiłki są daremne. Kapituluje i po prostu spijam jego piękno.

Może już więcej go nie zobaczę. Lepiej zapamiętać wszystkie szczególiki, na później, gdy będę leżała sama w łóżku.

Po chwili uśmiecha się do mnie, jego oczy aż promienieją radością.

– Cześć.

– Cześć.

– Jak się miewasz? – pyta, a jego głos jest jak balsam na moje uszy.

– Dobrze, a ty?

– Też nieźle – odpowiada, kiwając głową.

– Nie jestem prostytutką.

Sprzedawczyni, która czekała, by obsłużyć Naza, wykorzystuję chwilę naszej nieuwagi i ulatnia się w inną część stoiska.

Naz unosi brwi, zastanawia się przez moment.

– Naprawdę ci zależy, żeby nie było co do tego wątpliwości, prawda?

– Jesteś żonaty?

Znowu wybucha śmiechem.

– Boże drogi, koszmarne ci to idzie. Kochana, musimy cię podszkolić w wysublimowanej sztuce luźnych pogawędek. Jakie to smutne.

– Tak czy nie?

Gdy ponownie spogląda mi w oczy, przestaje się śmiać.

– Nie – odpowiada, już z zupełnie inną miną. – Czy to oświadczyły?

– Również „nie” – mówię uśmiechnięta. – Ale cieszę się, że cię wystraszyłam. Nie sądziłam, że to możliwe.

Zrobiło mi się znacznie lepiej, więc wracam do przeglądania pomidorów.

– Więc, Thelmo – mówi na tyle głośno, żeby straganiarka na pewno nas usłyszała – polecasz pomidory rzymskie czy heirloomy? Nie potrafię zdecydować, które lepsze... – po czym dodaje ciszej, już wyłącznie dla mnie: – A przy okazji, chybiony wybór. Taka z ciebie Thelma, jak ze mnie Dudley.

Zdumiona podnoszę na niego wzrok.

Naz puszcza mi oczko.

Ten facet właśnie puścił mi oczko.

– Gratuluję – mówię, odzyskawszy rezon. – Jesteś pierwszym człowiekiem, który zdołał mnie tak zszokować, że aż odebrało mi mowę.

– Fajnie, jest za to jakaś nagroda? Błękitna wstęga? Nie, nie, wolałbym statuetkę. Jak Oskar. No, wyglądałaby super nad moim kominkiem. A nie, chwileczkę, nie mam kominka. – Stuka się palcem w brodę, po czym dodaje: – No to jednak wolę wstęgę.

Pokazuje sprzedawczyni żółtego heirlooma.

– Chciałbym takie trzy. Mogłaby pani je dla mnie wybrać?

Kobieta kiwa głową i z radością pomaga. Gdy Naz ponownie się do mnie obraca, przyglądam mu się w skupieniu.

– Łooo, ale spojrzenie. Co się dzieje w tym twoim wielkim łbie, Thelmo? – Pstryka palcami. – Czekaj, sam zgadnę. Rozmyślasz o deserze, mam rację? Większe dziewczynki myślą wyłącznie o deserach. – Rozgląda się nad moją głową, omiata wzrokiem cały targ. – Chyba widziałem gdzieś stoisko z pączkami...

– Gdy widzieliśmy się ostatnio, chciałam powiedzieć życzliwy.

Naz patrzy na mnie i kręci głową zrezygowany.

– Chryste, przecież to jak z jajkiem niespodzianką. Nigdy nie wiadomo, jakie losowe zdanie nagle wyskoczy ci z ust.

– Powiedziałam, że jesteś miły, a chodziło mi o życzliwy. To dwie różne rzeczy.

Przygląda mi się dłuższą chwilę, napinając mięśnie żuchwy. A potem bierze głęboki wdech i odwraca spojrzenie.

– No, typowy ze mnie świętoszek.

Wypowiedział to gorzkim tonem. Powiedziałam coś nie tak, zasmuciłam go, ale nie wiem, czym.

– Przepraszam – dukam przez ściśnięte z zażenowania gardło. – Nie chciałam cię urazić.

Kładę kilka banknotów na skrzynce z pomidorami i odwracam się, ale po zaledwie trzech krokach wielka sylwetka Naza zastępuje mi drogę.

– Czekaj, nie uciekaj tak szybko – rzuca.

Stoję przybita własną postawą i gapię się w stopy. Dlaczego strzeliło mi do głowy, że mogę zdobyć przyjaciela? Ma rację... jestem w tym koszmarne. Sprawiam, że każde spotkanie staje się niezręczne.

– Hej... – Wsuwa dłoń pod moją brodę i unosi lekko moją twarz. Na widok mojej miny, jego wzrok łagodnieje. – Ech, kurwa mać. Przepraszam cię. Nie zwracaj na mnie uwagi, jestem idiotą.

– Wcale nie. Jesteś życzliwym, zabawnym, wspaniałym facetem, a ja nie przywykłam do... – Oblizuję wargi i odwracam głowę, nie jestem w stanie mówić dalej.

– I przystojnym, zapomniało ci się – wtrąca cicho.

Przełykam ślinę.

– Racja, przepraszam. Zapierającym dech, co? – Śmieję się.

– Otóż to. Jak na ogrzycę masz całkiem niezłą pamięć.

Patrzę na niego i dziwne drżenie w okolicach serca powraca.

– Można by powiedzieć, że... mam pamięć jak słoń.

Zaciska usta, a jego oczy błyszczą. Kiwa głową, ledwie wstrzymując śmiech.

– Eva, Kobieta Słoń, kontratakuje.

– Zamknij się już, Bestyjko. Wracaj do klatki.

– Proszę pana! Pańskie pomidory!

Odwracamy się i widzimy, że straganiarka macha do nas papierową torbą.

– Czekaj tu – rzuca Naz i wraca po zakupy.

Przestań się gapić na jego tyłeczek, zboczucho. Zamiast tego mrużę oczy i spoglądam na słońce.

– Wpadłem na pewien pomysł – oświadczam, wróciwszy.

– Naprawdę? To trzeba powiadomić media.

– Mądrała... – Prycha z uśmiechem. Mowa całego jego ciała, łącznie z oczami i ustami, jest spójna. Jest taki ciepły, otwarty. Tyle słodkiego uroku, zamkniętego w tak masywnym, męskim ciele, działa na mnie totalnie rozbrajająco.

Nachodzi mnie tęsknota. Tęsknota i pożądanie, tak mocne, że ledwie mogę oddychać.

– Czy ten twój pomysł przewiduje może więcej wspólnego czasu? Bo chyba naprawdę cię lubię.

Mruga powoli. Wygląda komicznie. A jeszcze śmieszniejsze są jego próby zachowania pełnego opanowania.

Cóż, nie możemy dopuścić, żeby był opanowany.

Patrzę mu prosto w oczy i mówię stanowczo:

– W gruncie rzeczy to na pewno bardzo cię lubię. Bardzo mi się podobasz. A ty co o mnie myślisz?

Prawie upuszcza torbę z pomidorami.

– Jezus Maria... – wzdycha pod nosem.

– Naz, życie jest krótkie i bolesne. Nie chcę niczego żałować po śmierci. A gdybym ci nie powiedziała, że bardzo cię lubię, to na pewno bym żałowała.

Rytm jego oddechu ulega zmianie. Zaciska zęby. Przez chwilę patrzy na moje usta, potem przenosi spojrzenie na oczy.

– Zapytałaś, czy jestem żonaty, ja nie zapytałem, czy jesteś mężatką.

Nieprzyjemny zgrzyt.

– Gdybym była, to nie opowiadałabym ci takich rzeczy. Związek małżeński jest święty – wyjaśniam.

– Czyli nie?

Coś w jego wyrazie twarzy podpowiada, że mi nie wierzy. Uważa, że kłamię.

To tak bolesne, że mam ochotę kopnąć go w goleń.

– Jednoznaczne „nie”. Nie jestem mężatką. Nigdy nie byłam. A gdybym się z kimś pobrała, to już na całe życie.

Odchyła lekko głowę i mierzy mnie spojrzeniem przymrużonych oczu.

– Dlaczego mi nie wierzysz?

– Bo jesteś zbyt piękna na singielkę – odpowiada niskim, chropowatym głosem, a jego oczy stają nagle w ogniu. – Zbyt piękna, zbyt mądra, zbyt... kurwa... idealna.

Czuję się, jak kot pogłaskany po grzbiecie.

– Czyli też mnie lubisz... – szepczę z sercem w gardle, nie odrywając od niego wzroku.

Naz przymyka oczy i bierze głęboki wdech, jakby szukał w sobie sił.

– Ja... ja...

– Co ty? – pytam, zbliżając się do niego, jakby mnie przyciągał, niczym magnes.

Otwiera oczy, a kiedy dostrzeża, że się zbliżyłam, błędnie i się cofa.

– Żyję w celibacie! – wypala.

Moja żuchwa wisi rozwarta bardzo długo.

– No tego to się nie spodziewałam... – wykrztuszam w końcu.

– Nie ty jedyna – stęka, masując sobie czoło.

– Nie wstydz się tego, proszę. Szanuję twój wybór. Nie powiem, że nie jestem rozczarowana, ale naprawdę go szanuję. To, eee... – Waham się, ale w końcu pytam: – Ze względów religijnych?

Naz się śmieje, ale bynajmniej nie radośnie. Wygląda na przerażonego, ciągle kręci głową, jakby z niedowierzaniem.

– Och, tak. Złożyłem śluby czystości ze względów religijnych. I teraz żyję w celibacie. Nie uprawiam seksu.

Nie rozumiem, dlaczego wypowiedział to tak sarkastycznie. Jestem kompletnie zdezorientowana. Ale zakładam, że po prostu nie chce wyjawiać przed nieznaną najbardziej intymnych szczegółów życia.

Tak, na pewno o to chodzi. Rzuciłam się w ostry flirt z tym facetem, prawie zaśliniłam go publicznie, zmusiłam do niechcianego wyznania i teraz musi się wstydzić za nas oboje.

To mogło przydarzyć się wyłącznie mnie. Jedyne dorosłe mężczyzna w promieniu tysiąca kilometrów, który mi się podoba, nie uprawia seksu. Z własnego wyboru.

Typowe, pech to moje drugie imię.

Postanawiam rozładować sytuację, choć trochę go rozluźnić.

– Szczerze mówiąc, to ogromna ulga. Nie muszę się już martwić, że pierwszy pocałunek wypadnie niezręcznie. Możemy być jak najlepsze psiapsioly!

Naz znowu zamyka oczy i jęczy płaczliwie.

– Posłuchaj – kontynuuję poważnym tonem. – Naprawdę szanuję twój wybór. Tak się składa, że też jestem głęboko wierząca. Gdyby nie wiara, nie przetrwałabym bezdenne piekła, jakim było siedem ostatnich lat mojego życia.

Naz unosi powieki i wbija we mnie wzrok. Nie mruga. Robię się przez to nerwowa i zaczynam bełkotać bez ładu i składu.

– Obiecuję, że już nie wrócę do tego tematu, bo widzę, że zależy ci na prywatności, ale naprawdę bym chciała, żebyśmy się zaprzyjaźnili, jeśli to możliwe. Nie mam zbyt wielu przyjaciół. Jeśli mam być szczerą, to ani jednego. – Odchrząkuję, zażenowana tym, jak żałośnie muszę brzmieć. – Po prostu byłoby miło móc z kimś pogadać raz na jakiś czas.

Naz się nie odzywa. Patrzy na mnie w tym dziwnym, napiętym milczeniu, wodząc wzrokiem po całej mojej twarzy. Moja pewność siebie mocno podupała.

– To znaczy... gdybyś chciał...

Myśli tak intensywnie, że aż boli patrzeć. Teraz to ja czuję się upokorzona.

– Dobra, posłuchaj, dam ci mój numer... – Wyciągam długopis z torebki, obrywam kawałek papieru, w który zawinięta jest moja ryba, i bazgrzę numer. – Jeśli będziesz chciał posiedzieć, pogadać, zadzwoń. Jeśli nie, zrozumieć.

Patrzy na strzępek papieru, jakbym chciała mu wręczyć granat. Po długiej, przerażającej chwili, w której już myślałam, że nie przyjmie nawet mojego numeru, bierze go. Składa paperek na pół i ostrożnym ruchem chowa do bocznej kieszeni spodenek.

Odwracam się i odchodzę, zanim dostrzeże ulgę na mojej twarzy.

Już dość się skompromitowałam jak na jeden dzień.

## ROZDZIAŁ 6

### Naz

Bywałem w tarapatach. Oberwałem kulkę. Dostałem nożem. Jeden wariat, który chciał mnie załatwić, z pełną prędkością staranował moje auto. Nie dalej jak miesiąc temu gonił mnie gang uzbrojonych po zęby dilerów.

Wychodzi na to, że powstrzymanie się od wybrania numeru Evy, to jedno z najtrudniejszych wyzwania, z jakimi musiałem się mierzyć.

Przybiłem strzępek szarego papieru, który mi dała, do ściany nad łóżkiem, zupełnie jak jakiś więzień zdjęcie bliskich, przebywających na wolności. Przypomina mi to, czego nie mam. Czego nigdy nie dostanę. O czym powinienem zapomnieć.

Byłoby w cholere łatwiej, gdyby moje zadanie nie polegało na śledzeniu i odnotowywaniu jej każdego kroku.

Dzień po dniu obserwuję, jak chodzi, jak pracuje, jak je, jak robi zakupy, jak zakłada za ucho niesforny kosmyk włosów. Jak jej ciało porusza się pod ubraniem. Jak wszyscy faceci na jej widok przystają i obracają głowy.

W tym momencie pobyt w więzieniu przyniósłby mi ulgę. Oddzieliłbym się od niej kratami i strażnikami. Nie musiałbym polegać wyłącznie na sile woli.

Niepewnej, słabnącej, jebanej sile woli.

*I ty nazywasz się żołnierzem?! Jesteś śmieciem, chłopcze! Chce mi się rzygać na twój widok!*

Prawie żałuję, że sierżant McCall nie wyrzaskuje mi właśnie w twarz obelg. Z jakiegoś powodu całe gówno, które wylał mi na głowę na podstawowym szkoleniu, motywowało mnie do cięższej pracy. Chciałem mu udowodnić, że się myli.

W wojsku wiedzą, jak zamieniać chłopców w mężczyzn. Jak wykorzeniać słabości. Niestety, w głębi mojej duszy musiało zachować się jakieś jej ziarenko, bo nie mogę wytrzymać.

Przestań.

O.

Niej.

Myśleć.

Jest gorzej z każdym dniem.

Po trzech tygodniach w końcu pękam.

– Halo?

Zamykam oczy i przez kilka sekund nasłuchuję, jak wali mi serce. Dopiero wtedy udaje mi się opanować na tyle, by cokolwiek z siebie wydusić.

– Cześć, Eva. Tu...

– Naz, zadzwoniłeś!

Kurwa mać. Brzmi na zadowoloną. Nawet więcej, na podekscytowaną. W jej głosie nie ma cienia pretensji. Wszystko, co czuje i o czym myśli, zawsze jest wypisane na jej twarzy. Albo wybrzmiewa w jej głosie. Ona niczego nie ukrywa. Nawet nie próbuje.

To tak pociągające, że mam ochotę rzucić telefonem, wdrapać się po ciernistym krzewie do jej mieszkania na drugim piętrze, wywarzyć drzwi od strony tarasu i zmiażdżyć jej usta swoimi.

Jest fatalnie.

– No... – burczę, gapiąc się w podłogę.

Siedzę na krawędzi łóżka. Jest późne popołudnie. Promienie słońca sączą się przez okno, upał aż dusi. Przynajmniej mogę jakoś wyjaśnić, dlaczego pływam we własnym pocie.

– Miałam nadzieję, że zadzwonisz – mówi łagodnym głosem.

Rozłącz się. Przecież to niemożliwe. Co ja wyprawiam, do cholery?! Postradałem rozum?!

Przez długi czas żadne z nas się nie odzywa, w końcu ona odchrząkuje. Pamiętam, że robi tak, gdy próbuje zebrać myśli. Świadomość, że znam ten drobny, intymny szczegół jej osobowości, sprawia, że aż pali mnie w piersi, by dowiedzieć się więcej.

By dowiedzieć się wszystkiego.

*ROZŁĄCZ SIĘ!*

– Bo w Cinépolis Centro puszczają dziś Żywot Briana. Ale zbieg okoliczności, nie? W każdym razie, przez to myślałam ostatnio o tobie. Liczyłam, że może moglibyśmy pójść do kina razem.

O, Boże. Nie mów tego. Nie, ona to zaraz powie.

– No daj spokój. Nie każ mi tyle czekać – mówi, gdy nie odpowiadam.

Słyszę w jej głosie tę radość, której nie potrafię stawić oporu.

– Jaskółka afrykańska czy europejska?

– Nie, głuptasie. To Kutasus Wilegus!

Sterczę na krawędzi łóżka jak oszołomiony, w końcu nie wytrzymuję i wybucham śmiechem.

– Chyba sobie, kurwa, jaja ze mnie robisz – wyduszam.

Kompletnie zapomniałem o tej scenie. Sepleniący Poncjusz Piłat wprawia swoich gwardzistów w śmiech do łez, opowiadając im o swoim „wyjątkowym przyjacielu, Kutasusie Wilegusie” z Rzymu. To dla mnie jeden z topowych skeczów Pythonów. Żywot Briana to hit!

– Ej, sam sugerowałeś, że cierpisz na gigantyzm genitaliów. A przy okazji, jak na tak religijnego mężczyznę, lubisz pobluźnić – stwierdza, śmiejąc się.

– A ty, jak na tak pobożną kobietę, podejrzanie lubisz świętokradcze filmy – odgryzam się.

– To żadne świętokradztwo, po prostu satyra. Poza tym Bóg chce, byśmy się śmiali.

– Nie jestem przekonany, czy mogę się z tym zgodzić – odpieram.

– No mówię ci! – wykrzykuje. – Dlatego stworzył jamniki i happy hours na alkohol. Oraz... – jej głos robi się cierpki – ...dorosłych facetów w krótkich bojówkach.

Śmieję się, aż brakuje mi tchu. Kręci mi się w głowie od jakiegoś niemożliwego do zdefiniowania uczucia. Jakby szczęścia, tyle że znacznie intensywniejszego.

– Krótkie bojówki są bardzo praktyczne! I są męskie!

– Och, bynajmniej, całkowicie się mylisz, Dudley. To jedna z najohydniejszych pozostałości po modzie lat dziewięćdziesiątych. Każdy pełnoletni facet, który je zakłada, zamienia się w chodzące poniżenie.

– Są jak torebka dla kobiety! Potrzebujemy kieszeni na nasze rzeczy! I są fajowe!

– Nikt nie potrzebuje aż tylu kieszeni – informuje. – Poza tym posiadam absolutny, niepodważalny dowód, że wcale nie są „fajowe”. Gotowy?

– Gotowy... – wyduszam przez śmiech. – Dajesz.

– James Bond nie założyłby bojówek.

Padam na plecy na łóżku i rżę w sufit.

– Okej, kochana. Masz mnie.

– Ha! – rzuca triumfalnie. – Wygrałam! Teraz musisz iść ze mną do kina, skoro tak łatwo unicestwiłam cię mým nieprzeciętnym intelektem.

– Moment! Chwileczkę, rewolwerowcu, nikt nic nie mówił o żadnej „nieprzeciętności”. Jestem nieprzeciętny na wielu płaszczyznach. Weźmy moje supermoce. Superman, do usług. Potrafię przeskakiwać drapacze chmur. A przynajmniej jednopiętrową zabudowę. No dobra, potrafię przeskoczyć kubeł na śmieci – deklaruję. – Natomiast nie chodzę, kurwa, w obcisłych geterkach, to nieprzekraczalna granica.

Po drugiej stronie rozlega się poważniejszy, cichy głos:

– Tęskniłam za tobą, Dudley. Naprawdę... ja... – Bierze głęboki wdech. – Dziękuję, że zadzwoniłeś. Świetnie usłyszeć twój głos.

Zamykam oczy. Wyobrażam sobie, że ona robi to samo, choć pewności nie mam. Przez chwilę nie robimy nic innego, tylko słuchamy swoich oddechów.

Na zewnątrz szczeka pies. Melancholijne zawrodoenie mewy, przecinającej powietrze nad spienionymi falami, porusza coś w mojej piersi. Dociera do miejsca, w którym złożyłem moje



najgłębsze, sekretne pragnienia.

Ta chwila wydaje się ważna... Rozpaczliwie pragnę zrozumieć dlaczego.

Prawie nie znam tej kobiety. Spotkaliśmy się tylko trzy razy, a jednak wskazówka kompasu mojego serca powoli przesuwana się w jej stronę, koryguje kurs, ku prawdziwej północy.

– Możemy być tylko przyjaciółmi, nic ponadto – rzucam nagle i zdecydowanie zbyt głośno.

– Jeejku, spokojnie, Romeo – odpowiada po krótkiej pauzie. – A kto powiedział, że chciałabym czegoś ponadto? Nawet nie chcę, żeby widywano nas razem publicznie, zwłaszcza przez tę twoją zenującą garderobę. Dlatego zaprosiłam cię do milutkiego, ciemnego kina.

– Przepraszam. Kurwa. To znaczy... ja nie chciałem...

– Wiem. Celibat. Przerabialiśmy to już – mówi lekko zadziornym tonem. – Obiecuję, że nie będę robiła niczego uwodzicielskiego.

– Tak, jasne. To najlepiej załóż burkę.

– Czy to był komplement?

Cholera, powiedziałem to na głos.

– Chodziło mi o to, że jesteś taka brzydka – ironizuję. – Nie chcemy, żeby wywalili cię z kina za straszenie obsługi.

Śmieje się delikatnie.

– Nie, nie chcemy. Masz dziś czas? Jest seans na dziewiętnastą – proponuje.

Nie rób tego. Wycofaj się. Jeszcze nie jest za późno. Lecz zamiast głosu logiki, słyszę własne, niezgrabne, ciężkie słowa:

– Tak. Nie mogę się doczekać.

– Okej, ale płacisz za popcorn – informuje mnie.

– Niby dlaczego? Bo jestem mężczyzną? Trochę to seksistowskie, jak na tak nowoczesną kobietę.

– Nie chodzi o płeć, tylko o rozmiary. Jak na moje oko choćby powierzchowne zaspokojenie twojego apetytu musi wiązać się z poważną inwestycją, a ja po prostu nie dysponuję takimi zasobami gotówki. Widzimy się pod kinem, Dudley. Nie spóźnij się.

Eva się rozłącza, a ja śmieję się do sufitu jak kretyn.

Jestem jakoś nedorzecznie wesoły, biorąc pod uwagę, że podjąłem właśnie tak fatalną decyzję.

\*\*\*

Miotam się nerwowo przed wejściem do kina od ponad dwudziestu minut, ale w końcu się pojawia, w lekkiej, jedwabnej żółtej sukience w stokrotki. Wygląda jak nadzieja, jak słońce, jak wszystko, co dobre i czyste na tym świecie.

– No proszę państwa bardzo... – mówi, taksując z zadowoleniem moje jasnobrażowe lniane spodnie i białą lnianą koszulę z krótkimi rękawami. – Wyglądasz prawie jak dorosły. Ani śladu po krótkich bojówkach.

– Spaliłem wszystkie. A gdzie masz burkę? Oczy mi krwawią.

Szczerzymy się do siebie.

– Długo czekasz? Myślałam, że to ja przyjdę za wcześniej.

– Nie – kłamię. – Przyszedłem przed chwilą. Może nie uwierzysz, ale jest kolejka do kasy. – Wskazuję głową na ogonek czekających na zakup biletu ludzi.

– Nie szkodzi, mam już bilety – oświadcza, poklepując torebkę. – Podskoczyłam po nie zaraz po naszej rozmowie.

Unoszę pytająco brew, a na jej policzkach pojawia się lekki rumieniec, ale nie próbuje się tłumaczyć. Nie stara się udawać, że nie cieszyła się na nasze spotkanie, że nie pobiegła kilka godzin wcześniej po bilety. Po prostu rzuca krótkie:

– Weź się zamknij... – I bierze mnie pod rękę.

Gdy mijamy kolejkę, kilka głów obraca się w jej stronę. Czuję ukłucie zaborczości i muszę wziąć głęboki wdech, żeby je stłumić.

Nie należy do ciebie. I nigdy nie będzie należała. Poza tym, jesteś w CELIBACIE, pamiętasz?

Pieprzony kretynie.

Nie wierzę, że wymyśliłem tę niewydarzoną wymówkę. Ale wtedy przepaliła mi wszystkie obwody w mózgu. Otworzyłem oczy i nagle stała tak blisko, patrzyła na mnie... tym złaknionym, pełnym nadziei wzrokiem... musiałem coś powiedzieć, żeby się z tego wykaraskać.

Idź na całość albo wracaj do domciu, jak to mawiają.

Tak czy owak, mam ochotę skopać sobie tyłek za wymyślenie tej bzdury.

W kinowym sklepiku kupuję nam popcorn i napoje, a grubawy sprzedawca gapi się na Evę, jak pozbawiony rozumu z miłości nastolatek. Przestaje, gdy posyłam mu złowrogie spojrzenie. Następnie wchodzimy do przyciemnionej sali i odnajdujemy nasze miejsca.

Dopiero gdy wygodnie siedzimy i rażno zajadamy popcorn, przychodzi mi do głowy, że jeżeli będzie chciała to powtórzyć, być może zabraknie mi siły woli, żeby odmówić.

Odmówić ponownemu wyjściu do kina albo czemuś innemu, niebezpiecznie przypominającemu randkę.

Kiedy szykowałem się do wyjścia, prawie sobie wmówiłem, że na tym jednym wyskoku koniec. Że dziś wieczorem sobie pofolguję, ale od jutra zbieram się do kupy. Powiem jej, że wracam do Stanów i przestanie mnie kusić, żeby się z nią widywać.

Ale teraz, gdy dzielę z nią podłokietnik, gdy dzielę z nią przestrzeń, gdy czuję słodki, ciepły aromat jej skóry, nie mogę się dłużej oszukiwać.

Znalazłem się w poważnym niebezpieczeństwie, że ulegnę jej dalszym prośbom, nie bacząc na konsekwencje.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam w kinie – mówi, wrzucając do ust garstkę popcornu. Kilka sztuk nie trafia do buzi i wpada jej w dekolt.

– Ups... – mówi, próbując się ich pozbyć. Niestety, ma palce upačkane płynnym masełkiem, więc oto mam przed oczami górę jej jędrnych piersi usmarowaną tłuszczem, i mógłbym zabić za możliwość ich wylizania.

Boże drogi, ja pierdole, jaja sobie ze mnie robisz, prawda?

Na szczęście w półmroku wypieki na mojej twarzy nie rzucają się w oczy, ale na wszelki wypadek odwracam wzrok i podaję jej serwetkę.

– Thelmo, jesz jak pięciolatka.

Parska śmiechem i bierze ode mnie serwetkę.

– Dobrze, że nie wzięłaś nachosów, bo pewnie miałabym już we włosach roztopiony ser.

– Wstyd cię gdzieś zabierać... – burczę, naprężając całą siłę woli, by nie patrzeć, jak wyciera dekolt.

Jędrny, zroszony masełkiem, dekolt.

Na szczęście nadchodzi ulga i wybawienie, bo światła całkiem gasną i zaczynają się trailery. Tyle że pojawia się nowa tortura – nieustanna chęć zerkania na nią kątem oka. Srebrny blask bijący od ekranu rozświetla jej twarz, gdy ogląda film z uwagą, machinalnie konsumując popcorn i od czasu do czasu oblizując palce albo pociągając napój przez słomkę. Nie ma pojęcia, jak seksowne są te drobne, nieświadome gesty. Gdy nachyla się bliżej, żeby skomentować jakiś zabawny dialog, nie zdaje sobie sprawy, że muszę z całych sił zaciskać zęby. Gdy przerzuca nogę na nogę, nie ma pojęcia, że mam ochotę westchnąć na cały głos.

Kiedy seans się kończy, jestem tak napięty, że w każdej chwili mogę pęknąć.

Gdy wychodzimy z budynku kina na chodnik, biorę potężny, głęboki wdech, przeczesuję włosy palcami i zasysam ciepłe, wieczorne powietrze, by pozbyć się z nozdrzy jej aromatu, a z piersi szczypania pożądania.

– Wszystko dobrze? – pyta, ściągając brwi. Zanim zdążyłem wymyślić jakąś sensowną odpowiedź, sama przyszła mi z odsieczą: – Och, boli, gdy tak długo posiedzisz w bezruchu?

Patrzy na moje nogi ze szczerą troską.

Wiem, że to nie litość, lecz ludzka empatia, ale, kurwa mać, i tak jej za to nie znoszę.

– Czasami lekko sztywnieję... – burczę.

– Mogę cię rozmasować. Mam naprawdę silne dłonie.

Matko. Boska.

Powiedziała to bez cienia seksualnej aluzji, ale oczywiście mój fiut uznał to za jednoznaczne zaproszenie. Łaskawie się zbudził i z zainteresowaniem rozejrzał po okolicy.

– Nie, dzięki, nie trzeba.

Mój ton jest zbyt szorstki, obcesowy. Widzę to po jej minie, gdy odwraca wzrok i przełyka ślinę.

– Okej. To jak, film jest tak dobry, jak zapamiętałeś?

Cholera, zraniłeś ją, idioto. Popatrz, jak próbuje zmienić temat, żeby nie zrobiło się niekomfortowo, choć to ty zachowałeś się jak kutas.

– Eva... – mówię łagodnie.

Patrzy na mnie niepewnie i teraz już naprawdę czuję się źle.

– Przepraszam – kontynuuję, pilnując niskiego, spokojnego tonu. – Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Po prostu jestem zawstydzony. Wiem, że chciałaś być miła.

Po chwili bacznej obserwacji wyrazu mojej twarzy, najwyraźniej uznawszy, że mówię szczerze, zadziera podbródek i rzuca prowokacyjnie:

– Miła? To może jeszcze wbijesz mi nóż w serce?

Kocham to. Kocham, jak mi się odgryza, jak parafrazuje moje własne odzywki. Kocham to, że ma serce na dłoni i nie udaje twardzielki.

Bo nie jest twarda. Jest silna, ale nie twarda. Ewidentnie jest zdolna, samodzielna i niebywale inteligentna, ale także wrażliwa. Urocza. Słodka.

To w chuj zabójcza mikstura.

Przymykam na moment oczy, a potem skaczę w zionącą przede mną przepaść.

– Chcesz iść na lody?

Gdy unoszę powieki, patrzy na mnie, promieniejąc jak słońce w zenicie.

– Pewnie, że chcę. Nie widzisz, jakie mam wielkie dupsko?

– No to chodź, Thelmo – mówię, podając jej zgiętą w łokciu rękę. – Kupimy ci lody.

## ROZDZIAŁ 7

### Eva

Spacerujemy nastrojowo oświetloną ulicą, rozmawiamy, śmiejemy się, rozkoszujemy swoim towarzystwem i kojącym, wieczornym powietrzem. Pod dłonią czuję nieustępliwy kształt twardego jak sztaba stali bicepsa.

Mam ochotę go ścisnąć. Mam ochotę zatopić w nim zęby. Mam ochotę gryźć, całować i trącać nosem to cudownie jędrne ciało. Jest takie... krzepkie.

Lecz zamiast tego pozwalam spoczywać na nim końcówkom moich palców i udaję obojętność, jakbym wcale nie nabawiała się porąbanej obsesji na punkcie mięśnia, który w przypadku innych facetów, w ogóle nie wzbudza we mnie zainteresowania.

– O, popatrz! – wołam, wskazując na kobietę, która zbliża się ku nam z drugiej strony ulicy.

Prowadzi na smyczy jamnika. Psinka nie mogłaby być bardziej dziarska. Maszeruje żwawo z ozorkiem wywieszonym po jednej stronie pyszczka. Ten psiak wygląda, jakby się uśmiechał.

– Masz fioła na punkcie jamników – rechocze Naz.

– To prawda, są przeurocze. No popatrz na tę buźkę! I pulchne ciało, jak dobry hot-dog! – zachwycam się, ale po chwili podnoszę na niego wzrok i pytam: – Chwileczkę, skąd o tym wiesz?

– Bo ciągle o nich mówisz – odpowiada, posyłając mi życzliwe spojrzenie.

– Naprawdę? – Marszczę czoło, próbując sobie przypomnieć, kiedy mówiłam o jamnikach.

– Tak. Raz, gdy drażniłaś mnie awersją do akupunkturzystów i dziś, przez telefon. Przytoczyłaś jamniki jako dowód, że Bóg chce, byśmy się śmiali. A teraz, na widok jamnika, cieszysz się jak dziecko w Boże Narodzenie.

– Wow, myślałam, że to ja mam pamięć jak słońca – odpowiadam zadziornie, ale w duchu skaczę z radości, że zapamiętał tyle szczegółów z naszych rozmów.

Próbuję nie wyciągać z tego zbyt daleko idących wniosków. Przecież był gliną. Służył w wojsku. Ma ostrzejszy umysł od większości ludzi, był szkolony, by wyłapywać rzeczy, które innym umykają.

Co jeszcze zauważył? Co jeszcze zapamiętał? Myśli o mnie, gdy jest sam? Tak jak ja o nim...

– Idziemy go pogłaskać? – proponuje.

– Myślisz, że właścicielka nam pozwoli?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. – Schodzi z krawężnika i prowadzi mnie przez jezdnię. Uśmiecha się i wyciąga dłoń, do zbliżającej się kobiety.

– *Buenas noches*<sup>1</sup> – zagaja i pyta po hiszpańsku, czy możemy pogłaskać jej psa.

Kobieta zatrzymuje się i odpowiada z uśmiechem:

– *Si! El es muy amigable*<sup>2</sup>.

Klękam na jedno kolano i tarmoszę aksamitną głowę psiaka, który radośnie dyszy i strzela iskrami szczęścia z oczu. Pytam właścicielkę, jak jamnik ma na imię i gdy odpowiada, że „Senior Kielbasa”, tracę nad sobą panowanie. Wybucham nieokiełznanym śmiechem, przez co psina robi się tak rozradowana, że próbuje na mnie wskoczyć, młócąc krótkimi nóżkami w moją sukienkę.

– Ale z ciebie słodziak – oświadczam Seniorowi Kielbasie, drapiąc go za uszami. – Grzeczny chłopak. Chciałabym takiego miłego chłopaka.

Przez kilka minut rozmawiamy uprzejmie z kobietą, ale w końcu, niechętnie, staję na równych nogach. Nie chcę być niegrzeczna, ale najchętniej klęczałabym na chodniku i bawiła się z nowym kolegą do białego rana.

Gdy właścicielka Seniora Kielbasy stwierdza, że Naz powinien kupić żonie jamnika, zalewam się rumieńcem jak burak.

– Nie mogę mieć zwierząt – wypalam spanikowana.

Kobieta patrzy na Naza.

Naz patrzy na mnie.

– Nie mogę trzymać zwierząt w moim mieszkaniu – mówię szeptem, choć oczywiście nie to miałam na myśli.

Na moment zapada niezręczna cisza. W końcu kobieta żegna się z nami serdecznie i prowadzi Seniora Kielbasę w ciepłą noc.

Gdy znikają nam z oczu, nie wiem, gdzie podziąć wzrok.

– Chodź, Thelma – mówi spokojnie Naz. – Nie przejmuj się tym.

Prowadzi mnie dalej chodnikiem, a ja zaczynam się zastanawiać, jak wyglądałoby życie z takim człowiekiem. Z takim, który pozwala milczeć i zachowywać swoje tajemnice. Który nie popycha i nie zastrasza. Który nie uważa czułości za słabość.

Który nie karze błędów pięściami.

\*\*\*

Zamawiamy lody przy długiej ladzie z lodówkami, a potem siadamy przy wysokim, podłużnym stoliku z widokiem na ulicę. Jemy w ciszy i gapimy się na przechodniów. Po jakimś czasie Naz z namaszczeniem odkłada łyżeczkę do kubeczka z dwiema gałkami czekoladowych.

– Teraz coś powiem. Nie musisz odpowiadać. Nie jesteś mi winna żadnych wyjaśnień. To nie moja sprawa i więcej tego nie poruszę. Ale gryzie mnie to.

Biorę głęboki wdech. Zauważam, że dłoń, w której trzymam rożek z lodami, lekko drży. Kiedy w końcu odważam się, by spojrzeć na Naza, ma dziwną minę. Trochę zaciekawioną, trochę zatroskaną, jest w niej także coś podejrzanego podobnego do gniewu.

– Co on ci zrobił? – pyta niemal szeptem, lecz z ogromną intensywnością.

Mój lód spada na stół.

– Cholera... – dyszę z trudem i zaczynam się trząść.

– Nic się nie stało, kupię ci drugiego. Zaraz wracam. A tymczasem... – Podnoszę na niego wzrok, a on mruży cicho: – Wiedz, że jesteś ze mną bezpieczna. W każdym znaczeniu tego słowa. Okej?

Czuję w oczach rozżarzone szpileczki łez. Odebrało mi mowę, więc tylko kiwam głową, przygryzając od środka policzek i oddychając nosem, żeby się nie rozpłakać.

Obraca się bez słowa i wraca do lady z lodami, zostawiając mnie w stanie emocjonalnego rozpadu. Podpieram się na łokciach, przykładam zamknięte oczy do dłoni i po prostu oddycham. Moje serce wali tak mocno, że aż boli.

Po kilku minutach Naz wraca z nowym rożkiem. Wręcza mi go bez słowa, po czym sprząta bałagan, który narobiłam. Celowo się z tym nie śpieszy, dając mi przestrzeń, żebym wzięła się w garść.

W końcu siada obok, ponownie bierze swój kubek i wraca do jedzenia, spoglądając na ulicę.

– Straszne, że to takie oczywiste... – szepczę, patrząc na nowego loda.

– Nikt inny by nie zauważył.

Nie dodaje nic więcej, ale wiem, że chce powiedzieć, że widywał już takie przypadki. Prawdopodobnie w policji. Przemoc domowa to chleb powszedni na służbie. Możliwe, że codziennie widywał zastraszonych, pokrytych siniakami kobiety.

Oblizuję wargi i zbieram się na odwagę.

– Dobrze. Skoro zapytałeś, to ci powiem. Ale nie użalaj się nade mną. Nie chcę litości. Przetrwalam. Żyję. Nie każda kobieta ma tyle szczęścia.

Zauważam kątem oka, że zaciska zęby.

– Wszystko – mówię po prostu.

Naz obraca głowę i patrzy na mnie.

– Zrobił mi wszystko. Co tylko możesz sobie wyobrazić. Robił mi straszne rzeczy, sadystyczne, na co nachodziła go ochota. Bo mógł. Bo miał władzę i nikt nie ośmieliłby się go powstrzymać, ale także dlatego, że miał atut w postaci mojej chorej matki. Płacił za leczenie, za lekarzy, za prochy, które uśmierzały jej ból. – Wzdycham. – Gdybym mu się sprzeciwiła, moja matka by cierpiała. Jednym z jego ulubionych narzędzi wymierzania kar był elektryczny pastuch na bydło. Stosował go wobec nas obu, ale nie będę opowiadała w jaki sposób.

Głos mi się łamie, potrzebuję chwili, żeby wrócić do opowieści, a gdy kontynuuję, mój ton jest pełen goryczy.

– Człowiek może znieść niemal wszystko dla najbliższych. Zdecydowanie więcej niż dla siebie samego.

Naz patrzy na mnie z nieskrywaną trwogą.

Nie potrafię tego znieść, więc odwracam wzrok i jem lody, wdając się w upiorny taniec z koszmarami wskrzeszonymi tą rozmową.

Dmitrij. Mój mroczny pan. Nadal nie mogę uwierzyć, że w końcu uciekłam.

Nauczyłam się odczytywać jego nastroje jak pogodę. Poznałam mapę wynaturzonych korytarzy labiryntu jego umysłu. Nauczyłam się biegle nawigować pośród pól minowych jego humorów, ekspercko przewidywać, jakim słowem zasłużę sobie na jego uśmiech, a jakim na cios.

Zrobiłam doktorat z ugłaskiwania i obłaskawiania, jak każda ofiara kaprysów brutalni.

Schlebiałam mu, oczarowywałam go uśmiechem, i nienawidziłam się za to. W końcu pogarda dla samej siebie tak mnie wypełniła, że nie mogłam oddychać. Ale opór nie wchodził w grę, chyba że chciałam mieć połamane kości. Ucieczka również, choć, zanim zaczął wykorzystywać przeciwko mnie matkę, podjęłam kilka prób. Zanim zaczął ją karać za moje grzechy. Później znalazłam się w potrzasku.

Gdy matka zmarła, obie uwolniłyśmy się z naszych więzień.

– Chciałbym go zabić – cedzi Naz przez zęby, tak cicho, że ledwie go słyszę.

Parskam smutnym śmiechem.

– Nie ty jeden. Niestety, karaluchy słyną z tego, że trudno je ubić.

Czuję, że wodzi wzrokiem po mojej twarzy, ale boję się, że jeśli na niego spojrzę, mogę się rozplakać, więc skupiam się na ulicy przed lokalem. Na tych wszystkich szczęśliwych ludziach, którzy przechadzają się pod swoimi prawdziwymi nazwiskami.

Musiało minąć dobre pięć minut, zanim Naz ponownie się odezwał. I ponownie zszokował mnie swoimi słowami.

– Moja żona zmarła na raka piersi.

Patrzę na niego, kompletnie zdruzgotana. Teraz to on wbija wzrok w ulicę, przygląda się spacerowi normalnych ludzi.

– Jeden mały punkcik, tak mówili lekarze. Wydawało się, że bez problemu się wyleczy. Przecież nikt nie umiera z powodu jednego, małego punkciku. Operacja, chemia, napromienianie, rok wyjęty z życia. Ale włosy w końcu odrastają. Możesz spojrzeć w przeszłość i powiedzieć: „Spójrz, pokonaliśmy ten syf, wcale nie było tak źle. Mamy przed sobą resztę życia”. – Milknie na chwilę. W jego oczach widać ból. – Tyle że nie możesz, bo mały punkcik, który wydawał się wcale niegroźny, okazał się naprawdę podstępny gnojem. Kolejny, w płucach, pojawił się jeszcze przed końcem chemii. A potem jeszcze jeden, na węzłach chłonnych. I następny, w kręgosłupie, który zaczął zżerać cały kręg. Więc kolejne operacje, więcej napromieniania, aż pewnego dnia przychodzi doktor i wypowiada słowo, którego bałeś się przez cały ten czas. Słowo, które wszystko zmienia. Słowo, które niszczy twój świat. Terminalny.

Naz zamyka oczy.

Zakrywam usta dłonią. W pomieszczeniu robi się za gorąco, za ciasno. Chcę dotknąć jego ręki, położyć dłoń na jego dłoni, ale nie ośmielam się.

Naz przetyka ślinę i kontynuuje:

– Najbardziej wbiło mi się w pamięć, jaki byłem przerażony. Kurwa, jak ja się bałem, przez cały czas. Leżałem przy niej w ciemności i nasłuchiwałem, czy oddycha. Strach tak mnie paraliżował, że nie mogłem się poruszyć. Bo nic nie mogłem zrobić. Nie mogłem tego naprawić. Nie mogłem tego powstrzymać. Musiałem patrzeć, jak osoba, którą kocham ponad wszystko, cierpi i marnieje, aż w końcu staje się mała i lekka jak dziecko. Błagałem... – Jego głos pierwszy raz drży. – Błagałem Boga, żeby zabrał mnie zamiast jej, ale, jak widzisz, wciąż tu jestem.

– Naz... – wzdycham ze łzami w oczach. – Tak mi przykro.

Bierze ciężki wdech i przesuwa dłonią po twarzy.

– To było bardzo dawno. Młodo się ożeniłem. Ale odkąd wtedy na targu powiedziałaś, że

małżeństwo jest święte, sporo o niej myślę. Bo masz rację. Miłość, którą dzieliliśmy z Shevan, to jedyna czysta i święta rzecz, jaką odnalazłem na tym świecie.

Patrzę na niego przez chwilę i w końcu zalewam się łzami.

– Noż, cholera jasna... – stęka. – Narobiłem.

– Nie szkodzi, nie szkodzi... – bąkam, choć po moich policzkach spływają strumienie łez i obracają się ku mnie zaniepokojeni ludzie.

Naz przyciąga mnie za rękę i wpadam wprost na niego. Zanurzam twarz w jego torsie, wypłakując się w jego lnianą koszulę, a on trzyma mnie cierpliwie, co kilka chwil ciężko wzdychając.

– To chyba był przykład sytuacji, w której człowiek ujawnia zbyt wiele i zbyt szybko – mamrocze pod nosem.

– Wcale nie. To było piękne. Przepraszam, jestem mazgajem.

– Nie jesteś mazgajem.

Podnoszę głowę i patrzę na niego zażawionymi oczyma.

Uśmiecha się do mnie i delikatnie wyciera mój policzek kciukiem.

– Ale rozbeczana jesteś jeszcze brzydsza. Kurczę, ta pomarszczona skóra, jak na starym pomidorze. Nie nadajesz się na aktorkę, kochana. – Krzywi się.

Drży mi dolna warga, biorę od niego grubą kupkę serwetek i wycieram oczy, pociągając nosem.

– Myślałam, że nie nadaję się na gospodynię talk-show.

– To też. Kariera w przemyśle rozrywkowym ewidentnie nie jest ci pisana. No, chyba że w radiu, bo będziesz mogła schować się za mikrofonem i nikt nie zobaczy tej brzydkiej gęby.

– Wcale nie myślisz, że jestem brzydka – szepczę.

Jego nastrój do żartów się ulatnia. Patrzy na mnie, na moje włosy, usta, mokrą twarz. W końcu powoli kręci głową.

– Nie, nie myślę tak.

Tym razem jego głos jest cichy i smutny. Jego oczy również są smutne, ale chyba tak już jest, gdy dwoje ludzi dzieli się najmroczniejszymi przeżyciami.

Oddycham głęboko, prostuję plecy i próbuję się uśmiechnąć. Uśmiech wychodzi blade, ale jest szczery.

– Dudley, randka z lodami, na którą postanowiłeś mnie zaprosić, wypadła koszmarnie. Boję się, że po tej traumie, już nigdy nie sięgnę po lody.

Do jego oczu powraca cień dobrego humoru.

– I dobrze, bo jeśli przybierzesz jeszcze choć dziesięć gramów, to będą musieli zdjąć dach i wyciągać cię stąd dźwigiem, wielorybie.

Uśmiechamy się do siebie, ta chwila się przeciąga. W końcu uśmiechy bledną, lecz wciąż patrzymy sobie w oczy. Naz rozchyła usta i przez ułamek sekundy wydaje mi się, że zaraz się pochyli i mnie pocałuje, ale on odwraca wzrok i wzdycha.

– Odprowadzę cię do domu – mówi, wstając.

Jego głos jest już opanowany, powieki lekko opuszczone, lecz dłoń, którą do mnie wyciąga, drży.



## ROZDZIAŁ 8

### Naz

Odprowadzam Evę do domu. Nie wchodzę schodkami pod same drzwi, bo jej usta stanowią zbyt dużą pokusę. Macham jej, stojąc na chodniku i patrząc, jak wchodzi do środka.

Do siebie wracam truchtem i gdy tylko wpadam do mieszkania, sięgam po telefon.

Jest późno, ale Connor, mój szef, odbiera po pierwszym sygnale.

– Hej, brachu. Jak tam?

– Mam problem.

– A ja rozwiązanie – odpowiada bez chwili wahania, dokładnie tym samym swobodnym tonem. –

Dawaj.

– Evalina i Dmitrij Ivanov nie są małżeństwem.

Tym razem nie odpowiada od razu. Wyobrażam sobie, jak po drugiej stronie linii mruży swoje ciemne oczy, przez co zawsze staje się cholernie straszny, nawet dla mnie.

– Dwie sprawy.

– No?

– Po pierwsze, status prawny ich związku to nie nasz pierdolony interes. Facet zatrudnił nas do załatwienia swojej sprawy, a nie do grzebania w papierach.

Cholera.

– Po drugie, skąd wiesz?

– Powiedziała mi.

Connor przeklina, po czym stwierdza:

– Obawiałem się, że to powiesz.

Nie jestem w stanie wysiedzieć, więc łażę nerwowo przed kuchenką w kuchni.

– Wolałbyś, żebym skłamał?

– Oczywiście, że nie! – odpowiada podniesionym głosem.

– No to okej, znasz prawdę.

– Dupczysz się z nią?

– Nie – cedzę z zaciśniętymi zębami.

– Bo jeśli tak, to przy okazji wydupczyłeś też mnie i całą firmę. Ale przede wszystkim siebie samego.

To jednoznaczna groźba. Nie lubię wysłuchiwać gróźb, ale sam się w to wpakowałem. Staram się panować nad nerwami i odpowiadam w miarę spokojnie:

– Nie dupczę się z nią – wyznaję szczerze. – W toku standardowej obserwacji zauważyłem, że chce ją napaść banda paskudnych pojebów. Wkroczyłem i rozładowałem sytuację. Gdybym tego nie zrobił, już by nie żyła. A na pewno padłaby ofiarą zbiorowego gwałtu.

Connor przez chwilę przetwarza to w milczeniu.

– Mów dalej – komunikuje.

Wykonuję zwrot i maszeruję w drugą stronę.

– Nie wie, kim jestem. Powiedziałem jej, że przebywam na wakacjach, bo akurat zmieniam ścieżkę kariery. Ale to mała miejscina. Ciągłe na nią wpadam.

– Wpadasz na nią... – powtarza cierpko.

– Spotkałem ją na targu. Przypadkiem. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie za bardzo mogłem zgrywać głupa i udawać, że jej nie znam.

Nie chcę zginać, więc przemilczam spotkanie w barze na plaży, kino i lody. Connor Hughes to rozsądny człowiek, ale także śmiertelnie groźny sukinsyn. Jeżeli choć przemknie mu przez myśl, że naraziłem bezpieczeństwo jego firmy lub ludzi, to równie dobrze mogę sam palnąć sobie w łeb, bo jego

kula na pewno mnie dosięgnie.

– Więc wpadliście na siebie na targu i podczas przelotnej wymiany uprzejmości wspomniała, że nie ma męża. Bardzo ciekawe.

– No cóż... spytała mnie, czy mam żonę.

– Czyli wpadłeś jej w oko.

Przymykam powieki i przypominam sobie jej minę, gdy przyznała, że ją pociągam. Muszę przełknąć ślinę, nim ponownie się odezwę.

– Tak – wyznaję.

– Nie dziwota. Moja żona też mówi, że jesteś sexy.

Mrugam zaskoczony, po czym stwierdzam ostrożnie:

– Na to chyba nie mam bezpiecznego komentarza...

– Mądrze – rechochze Connor.

Oddycham z ulgą, bo Connor jest ewidentnie rozbawiony. Widziałem jego żonę raz w życiu, na trzeciej, finalnej rozmowie o pracę w Metrix Security Services, ale nigdy jej nie zapomnę. Ma na imię Tabby. Spektakularna rudowłosa kobieta, cała w tatuażach, przysłała w spódnicy tak krótkiej, że równie dobrze mogłaby służyć za pasek, a do tego w wyjątkowo kusej koszulce z Hello Kitty, która po rozciągnięciu z trudem zasłaniała jej cycki. Cała rozmowa polegała na tym, że weszła do pokoju, w którym czekałem, bacznie mi się przyjrzała, po czym stwierdziła: „Powiedz mi, czego najbardziej się w życiu wstydzisz”.

Wiedziałem, że to test, więc powiedziałem prawdę, choć nigdy nikomu o tym nie opowiadałem, nawet żonie.

Kiedy skończyłem, świece stały jej w oczach. Wyszła, nie zamykając za sobą drzwi. Na zewnątrz czekał Connor. Powiedziała do niego: „Zapłać mu dwa razy więcej, niż chce”.

I na tym stanęło.

Z tego, co wiem, jego żona to jakiś geniusz od komputerów i odczytywania ludzi. Connor – największy, najtwardszy skurczybyk, na jakiego trafiłem – jest w nią wpatrzony, jakby zstąpiła z niebios w złotym rydwanie, więc gdy tylko o niej wspomina, zawsze pilnuję, by przypadkiem czymś nie podpaść.

Bo gdybym podpadł, to też mógłbym sam palnąć sobie w łeb.

– Muszę przyznać, brachu, że nie czaję, z czym masz problem. Nie skaczę z radości, że nawiązałeś z nią kontakt, ale wygląda na to, że nie spaliłeś przykrywki i nie stało się nic, co mogłoby pokrzyżować ci robotę... – Zawiesza głos i jest to bardzo ciężka pauza. – No chyba że nie wiem wszystkiego.

– Nie wiesz.

– Tej odpowiedzi również się obawiałem – wzdycha.

– Eva nie zostawiła Dmitrija, bo jest jakąś znudzoną, bujającą w obłokach dziunią, której strzeliło do głowy, że sobie zwieje. Uciekła, bo ją maltretował.

Kolejna, pełna napięcia pauza, po której Connor pyta:

– Eva?

Kurwa mać. Dociera do mnie, że popełniłem błąd.

– Evalina – poprawiam się, choć już wiem, że to na nic.

– Odsuwam cię od tej roboty – mówi głosem twardym jak granit. – Ewakuacja o osiemnastej zero...

– Nigdzie nie jadę – rzucam głośno.

Przez dłuższy czas wsłuchuję się w ciszę.

– Brachu, ty chyba nie rozumiesz powagi sytuacji – mówi Connor niskim, w pełni kontrolowanym głosem. – Więc pozwól, że ci ją rozjaśnię. Mężczyzna, którego żonę obserwujesz...

– Dziewczyne. Była.

– Zamknij się, kurwa! – ryczy jak grom, po czym wraca do poprzedniego tonu. – Mężczyzna, którego żonę obserwujesz, to syn mojego wieloletniego klienta. Wieloletniego – podkreśla. – Jest nie tylko bogaty, ma też wielką władzę. Układów od chuja i jeszcze trochę. Jest również nieskazitelnie

czysty, ale jego syn już niekoniecznie. Czy przychodzi ci do głowy, co to może oznaczać?

Zamykam oczy i wzdycham ciężko.

– Mafia.

– Bingo. Zaslubiłeś na nagrodę. Mafia, właśnie. Miałeś kiedyś do czynienia z ruskim mafiosem, brachu?

– Widziałem Viggo Mortensena w Eastern Promises, liczy się?

– To nie czas na żarty – mówi bez złości. – Ci ludzie zabijają swoich wrogów metodami, których nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, a to dlatego, że nie jesteś psychopatą – komunikuje. – Czasami zabijają, bo ktoś leciutko ich rozczarował. Przyjąłem to zlecenie ze względu na znajomość z ojcem Dmitrija, ale również dlatego, że nie wymagało kontaktu z celem. Miało być skrajnie bezpieczne, jak na naszą branżę. – Wzdycha, po czym kontynuuje: – Obserwujesz i raportujesz, a po kilku miesiącach, gdy Dmitrij w końcu się znudzi i wyśle swoich ludzi, żeby zawinęli dziewczynę, spokojnie sobie spierdasz. Natomiast, jak wnioskuje z naszej rozmowy, nie dość, że nawiązałeś kontakt, to jeszcze poczułeś coś do tej panny. Może i jej nie dupczysz, jeszcze, ale się zabujałeś. Mocno. Powiedz mi, że się myłę.

Mam rozpaloną twarz. Jestem taki wściekły, że ledwie oddycham. Odpowiadam zdecydowanie zbyt podniesionym głosem, ale nic na to nie poradzę.

– A z tego, co ja wnioskuje, chcesz mi powiedzieć, że dostarczysz zmalretowaną dziewczynę prosto w łapy oprawcy, bo nie chcesz go wkurzyć. Ty mi powiedz, że się myłę, Connor – żądam.

Spodziewam się, że usłyszę kliknięcie. Kliknięcie, a potem martwą ciszę. I niedługo później sam też będę martwy, mój mokry mózg rozpaćka się na ścianie... oho, ten odgłos też już niemal słyszę. A jednak się myłę, bo w rzeczywistości słyszę pełne niezadowolenia stęknięcie i słowa:

– Noż Chryste Nazareński, udało mi się zatrudnić jebaną Matkę Teresę! – krzyczy, ale w jego tonie nie wyczuwam złości.

Nachodzi mnie szalony pomysł. Jak strzał na bramkę zza połowy, ale mam przeczucie, że może się udać.

– Zapytaj żonę, co powinniśmy zrobić. Opowiedz Tabby o naszej rozmowie, niech wyrazi opinię na temat dalszych kroków. Dostosuję się do wszystkiego, co postanowi.

Reakcją na moje słowa jest tak głośny ryk gniewu, że muszę odsunąć słuchawkę od ucha, bo pękną mi bębenki. Po nim nadchodzi wiązanka tak zajadłych przekleństw, że prawie zdziera farbę ze ścian w moim pokoju.

W tym momencie wpadam na genialny pomysł, że najlepiej się rozłączyć. I tak też robię.

Rano muszę złożyć raport Dmitrijowi, więc mam pewność, że Connor da mi pożyczkę przynajmniej do jutra.

No, dziewięćdziesięcioprocentową pewność.

Telefon dzwoni niemal dokładnie godzinę później. Na wyświetlaczu ukazuje się numer Connora. Odbieram i rzucam krótkim: – No i? – Bo chcę brzmieć na znacznie bardziej wyluzowanego, niż w rzeczywistości jestem.

– Cześć, Nasir, tu Tabby.

– O, och, hej, cześć, Tabby. Spodziewałem się Connora.

– Nie chciałbyś z nim teraz gadać – odpowiada beztrąsko. – Mówi, że cię zabije.

Stałem akurat przy oknie w salonie wynajętego domku na plaży, ale moje nogi uznały, że czas usiąść. Opadam więc na kanapę i czekam, co powie Tabby.

– Nie martw się, namówiłam go, żeby jednak tego nie robił – rzuca uspokajająco.

– Miło z twojej strony.

Oddycham nieco lżej.

– Żadne miło, to kwestia strategii. Teraz masz u mnie dług. Kiedyś się po niego zgłoszę, ale póki co skupmy się na twoich sprawach.

– Connor ci nie opowiedział, co się dzieje?

– Oczywiście, że opowiedział – informuje. – Ale muszę usłyszeć to od ciebie. Musisz mi to opowiedzieć własnymi słowami. Aha, Nasir?

– Tak?

– Tym razem już niczego nie pomijaj – ostrzega cichszym głosem. – Wyłapię każde przemilczenie. I zaufaj mi, jeżeli myślisz, że kiepsko jest podpaść Connorowi, to nie masz pojęcia, z czym wiąże się figurowanie na mojej liście.

Jakim cudem o dwie głowy niższa i pięć dych lżejsza ode mnie kobieta może być tak przerażająca?

– Zrozumiałem.

Mój ton musiał ją usatysfakcjonować, bo rzuca wręcz radośnie:

– No, to dawaj.

Biorę głęboki wdech, rozważam pomysł pominięcia części spotkań z Evą, ale szybko go odrzucam. Opowiadam Tabby wszystko, od a do z. Mówię jej o każdym spotkaniu, o każdej rozmowie, o każdej myśli, która przemknęła mi przez rozum. Traktuję ją jak spowiedniczkę, którą w pewnym sensie jest.

Opowieść zajmuje mi pół godziny. Gdy kończę, na chwilę zapada cisza.

– Wiedziałam, że będziesz cennym nabytkiem – stwierdza w końcu enigmatycznie.

– Eee... dzięki?

– Dostrzegam w tym wszystkim tylko dwa problemy, ale za to istotne.

– Brzmisz tak, że już się boję.

– Pierwszy polega na tym, że nie wiemy, czy Evalina mówi ci prawdę. I nie chodzi mi o małżeństwo, bo to mogę od ręki zweryfikować, tylko o przemoc – stwierdza.

– Mówi prawdę – rzucam bez namysłu.

– Co prowadzi nas do drugiego problemu – mówi Tabby i słyszę, że się uśmiecha.

– Czyli?

– Ciebie.

Milczę, mając nadzieję, że powie mi coś więcej, ale nie wyjaśnia, co ma na myśli.

– Przepraszam, ale się zgubiłem.

– Nasir, kiedy ostatni raz byłeś z kobietą? – pyta, a ja czuję narastające na karku ciepło.

– Nie sypiam z nią.

– Wiem o tym. Odpowiedz na pytanie.

– Wolałbym nie – bełkoczę.

– To nie była prośba.

– Boisz się, że myślę kutasem, prawda? – burczę.

– Mózg by ci się ugotował, gdybyś chciał zgadnąć, o czym myślę – rechocze. – Ale nie. Wiem, że nie myślisz kutasem, jak raczyłeś to ująć. Mamy tu do czynienia z narządem zdecydowanie bardziej lojalnym i problematycznym od tego drugiego, między nogami.

Wstaję i wracam do nerwowego łażenia. Czuję się jak szczur w klatce.

Tabby mówi dalej, zwawszym tonem:

– Więc, w zaistniałej sytuacji najpierw musimy ustalić, czy mówi prawdę. Nie byłbyś pierwszym facetem na ziemi, który dał się nabrać na numer z damą w opresji.

– Mówi. Prawdę.

Tabby wzdycha.

– Zluzuj troszkę, dzielny książę – informuje tonem, jakim matka zwraca się do ulubionego, choć nieco krnąbrnego brzdąca. – I okiełznaj białego rumaka, skoro już przy tym jesteśmy. Jeżeli w końcu się przymkniesz, powiem coś, co chcesz usłyszeć.

Zamykam gębę na kłódkę, wbijam wzrok w podłogę i czekam.

– Jeżeli odkryjemy, że kłamie, to po sprawie, bo twoje uczucia automatycznie znikną. Nie należysz do facetów, którzy mogliby kochać kłamcę.

Wybałuszam oczy. Kochać?!

Ta rozmowa całkowicie zeszała z właściwych torów, ale nie zamierzam ponownie wchodzić jej w słowo. Nie mogę się doczekać, kiedy ten cyrk w końcu się skończy.

– Ale jeżeli odkryjemy, że naprawdę ją maltretował. – Jej głos robi się śmiertelnie aksamitny. – To kończymy z tym zleceniem, a Dmitrij Ivanov pożałuje, że nie mierzył się z kimś, kto startuje w jego

wadze.

W jej głosie jest coś tak przerażającego, że zamurowało mnie na kilka dobrych chwil.

– A co z Evą? – pytam w końcu.

Ton Tabby w ułamku sekundy przechodzi od morderczego do zirytowanego.

– Fuj! Wtedy odjedziecie sobie ku zachodzącemu słońcu, baranie! Boże, czy tylko ja tutaj myślę i muszę wszystko wszystkim tłumaczyć?!

Uśmiecham się od ucha do ucha, w jednej chwili odzyskuję dobre samopoczucie.

– Popieram ten plan na tysiąc procent – rzucam radośnie. – Więc co robimy?

– Następnym meldunek składasz Dmitrijowi jutro rano, tak?

– Tak.

– No to się zamelduj. – Słyszę śmiech w jej głosie.

– Co mu mam powiedzieć?

– Że nie ma nic nadzwyczajnego do zaraportowania. Wyślij mu jakieś nowe zdjęcia.

Przypadkiem nie wzbudź niczym podejrzeń. Od strony formalnej ja się tym zajmę, wkrótce się odezwę.

– Zrozumiałem.

– To dobrze. I, Nasir?

– Tak?

– Jak tylko skończymy rozmawiać, przeczysz mieszkanie, sprawdź, czy nie masz jakiejś pluskwy.

I spał ten telefon.

Przechodzi mnie zimny dreszcz.

– Myślisz, że mogłem zostać zdemaskowany? – dopytuję, z uwagą rozglądając się po pokoju.

Tabby odpowiada dopiero po chwili i czuję, że dobiera słowa bardzo ostrożnie.

– Mam pewne doświadczenie z potężnymi, agresywnymi mężczyznami. Łączy ich jedna rzecz: paranoja. Jest szansa, że nie my jedni pilnujemy Ewy.

Kurwa mać. Zaczynam panikować i wyobrażać sobie następstwa takiego scenariusza.

– Jeżeli tak, to Dmitrij już by wiedział, że nawiązałem z nią kontakt. Wiedziałyby, że w raportach zatajałem sporo informacji. Więc dlaczego jeszcze by mnie nie zabił?

– A dlaczego niektórzy chłopcy lubią wyrywać skrzydełka muszkom? – pyta cicho.

– Nie wiem. Dlaczego?

– Zastanów się. I uważaj na siebie. Do usłyszenia wkrótce.

Telefon milknie.

Odpowiedź na jej pytanie dociera do mnie dopiero po kilku godzinach.

Bo czerpią z tego frajdę.

## ROZDZIAŁ 9

Eva

Nie mogę dziś spać.

Leżę w łóżku, gapię się w sufit i słucham rytmu fal, dopóki brzask nie zaczyna malować ścian na jasnoszaro. Przez cały ten czas w moim ciele trwa ogólny bunt emocji – szybkie tętno, żołądek w supeł, spoczone dłonie – ale mój umysł jest osobliwie przejrzysty. Istnieje w nim tylko jedna, samotna myśl.

Chcę Naza.

Bardziej niż czegokolwiek kiedykolwiek, nie licząc rozpaczliwego pragnienia ucieczki przed Dmitrijem.

A może nawet Naza chce bardziej. Bo gdyby ktoś zaproponował mi noc z Nazem w zamian za powrót do piekła poprzedniego życia, chyba bym się zdecydowała.

Nie znam jego nazwiska. Nie wiem, skąd jest. Nie znam nawet jego numeru, bo gdy do mnie dzwoni, wyświetla się „numer nieznany”. Wiem tylko, że czuję się przy nim bezpiecznie, jak nigdy wcześniej.

Mam wrażenie, że potrafi spojrzeć w głąb mojej duszy... i podoba mu się to, co tam widzi.

To upajające uczucie. I skomplikowane, bo przecież wiem, że jego pobyt na wyspie to tylko życiowa przerwa. Wyspa nie jest jego celem ostatecznym, a moim jest. On odleci stąd za kilka dni albo tygodni.

No i jeszcze ten celibat.

Wiem, że mu się podobam, to nie podlega już dyskusji. Wiem też, że nie chcę wkraczać pomiędzy mężczyznę, a jego przekonania religijne, zwłaszcza gdy mowa o tak honorowym mężczyźnie. Nie chcę być klinem wbitym między niego i jego przysięgę. To byłoby niewłaściwe i sprawiłoby, że znienawidziłabym siebie.

Ale, Boże, jak on na mnie patrzy. Jak patrzy na moje usta.

Wyobrażam sobie, że tak samo Adam patrzył na jabłko w wyciągniętej ręce Ewy. Tyle pożądania, a jednocześnie tyle strachu.

Wszyscy święci i wszyscy grzesznicy wiedzą, że zakazany owoc kusi najbardziej.

Gdy o siódmej rano dzwoni telefon, nadal leżę w łóżku i gapię się w sufit.

„Numer nieznany”.

Siadam gwałtownie i naciskam „odbierz”.

– Naz.

– Eva. – Jego głos jest aż gęsty, ale może to tylko dlatego, że niedawno wstał. – Skąd wiedziałś, że to ja?

– Bo tylko ty dzwonisz do mnie z zastrzeżonego numeru – śmieje się, choć z nerwów nieco kręci mi się w głowie. – Poprawka, tylko ty do mnie dzwonisz. Kropka.

– Obudziłem cię?

– Nie. Nie mogłam spać. Leżałam całą noc. Myślałam.

Po co to powiedziałam? Zabrzmiałam głupio. Pewnie myśli, że mi odbiło...

– Ja też – mówi ciszej.

Musisz oddychać. Płuca, pamiętasz? No, raz i dwa.

– Też nie mogłeś spać czy też myślałeś?

– To i to – odpowiada natychmiast, a potem dorzuca ciche: – Kurwa mać...

Zamykam oczy i wsłuchuję się w jego oddech. Trzymam komórkę tak mocno, że dziwne, że jeszcze jej nie zmiażdżyłam. W końcu, gdy nie mogę już wytrzymać, mówię:

– Tęsknię za tobą. Kiedy się zobaczymy?

– Kobieto. – Wzdycha. – Dlaczego choć raz nie możesz zachować się nieśmiało? Dobijasz mnie.

– Przykro mi. Nie, wróć. Wcale nie jest mi przykro. Ale żałuję, że cię dobijam. Bo nie chcę... to znaczy, chcę... – Wzdycham drżąc. – Chyba zapomniałam, jak formułować zdania.

– Witam w klubie – rzuca głosem chrzęszczącym niczym żwir – Zmagam się z tym, odkąd się poznaliśmy.

Och, och! Serce, co ty wyprawiasz? Mam wrażenie, że chce wyrwać się z piersi.

Uderza mnie ekscytacja tak gwałtowna, że niemal przechodzi w panikę. Wstaję i zaczynam chodzić po pokoju, żeby pozbyć się tej całej nerwowej energii, ale zamiast tego zataczam kręgi jak jakaś wariatka.

– Kiedy wylatujesz z Cozumel? Ile czasu nam zostało? Chcę spędzić go z tobą, jak najwięcej, zanim wrócisz do siebie – wylewam na niego potok słów.

Kolejne zbolale jęknięcie w słuchawce, tym razem cichsze.

Spoglądam we własne odbicie w małym, pękniętym lustrze, które wisi na ścianie. Mam rozbiegane spojrzenie i rumieńce. Wyglądam jak kobieta na krawędzi załamania nerwowego.

– Obiecuję, że tym razem założę burkę.

– Kurwa, to bez znaczenia – odpowiada, brzmi, jakby przegrał walkę z samym sobą. – Nawet w habicie wyglądałabyś, jakbyś zesła z planu pornola... – Na moment zawiesza głos. – O, cholera.

– Co się stało?

– Właśnie wyobraziłem sobie ciebie w habicie. Muszę iść do spowiedzi.

Zaczynam się śmiać i chyba redukuje to całe napięcie, bo on również wybucha śmiechem. A potem zmienia ton, na mój ulubiony, lekko prowokujący.

– Okej, Thelma. Mniemam, że mogę wykroić kilka minut w moim ekstremalnie zapchanym harmonogramie superczłowieka z supermocami i spędzić je w towarzystwie pospolitej kobiety ze skrzywieniem na punkcie jamników. Powiedzmy, od dziesiątej do dziesiątej piętnaście, może być? – proponuje.

– Znakomicie – odpowiadam z szerokim uśmiechem. – O ile mówimy o dziesiątej rano i dziesiątej piętnaście wieczorem.

– Ha! Znudziłabyś się mną po godzinie – odiera. – Jestem znośny wyłącznie w drobnych dawkach.

– Nigdy bym się tobą nie znudziła. Mogłabym spędzić resztę życia na wpatrywaniu się w twoją twarz – wyznaję głosem przepelnionym emocjami.

W ciszy, która nieuchronnie zapadła, z lodowatą grozą dotarło do mnie, co właśnie wyznałam na głos. Co gorsze, rozmarzonym tonem zabujanej w pierwszej miłostce uczennicy.

Co ja narobiłam?

Po chwili Naz mówi spokojnym tonem:

– Nie wariuj.

Siadam na łóżku i zasłaniam usta wolną dłonią.

– Nie wariuję.

– Ale też nie kłam. – Teraz moja kolej, żeby westchnąć, tyle że wychodzi bardziej skamlenie. – Oczywiście muszę słuchać takich wyznań na okrągło – kontynuuje. – Nie uwierzysz, jak to potrafi chłopa zmęczyć, te wszystkie napotykanie na każdym kroku kobiety, padające mi do stóp... – Wzdycha teatralnie. – Spektakularna uroda i charyzma mają swoje minusy, wiem, co mówię. Rzucają się na mnie, ledwie przekroczę próg domu. Możesz mi nie wierzyć, ale najgorsze są siwe staruszki. Nie dalej jak wczoraj dostałem dwuznaczną propozycję od kobiety, która wyglądała jak moja babcia!

– Koszmar – odpowiadam i uśmiecham się z ulgą. – Choć słyszałam, że lodzik od bezzębnej kobiety może być wyjątkowo satysfakcjonujący.

Naz milczy zszokowany, a potem wybucha gromkim śmiechem.

– Na serio? Wyczytałaś to w najnowszym numerze „Geriatrycznej erotyki”?

– Nie. Mój eks tak mówił, gdy groził, że powybija mi zęby.

Jego śmiech gaśnie i przechodzi we wściekły ryk.

– Skurwiel!

Jego krzyk jest tak nienawistny, że aż odrzuca mnie od słuchawki. A potem złoścę się na siebie,

że palnęłam coś takiego. Chyba nie potrafię odnaleźć równowagi w tej rozmowie, czego dowodzą moje kolejne wyrzuty:

– Dziwne, że mnie to podnieca, prawda?

– Co, moja złość?

– Nie, opiekuńczość – szepczę.

Bierze głęboki wdech i wypuszcza powietrze z głośnym świstem.

– Tacy powinni być mężczyźni – oznajmia stanowczo. – Niestety, wielu nie zna różnicy między opiekuńczością a zaborczością. Dlatego po świecie kręci się tylu dupków.

Przymykam oczy i siedzę nieruchomo, grzejąc się w promieniach tych słów. A także w jego obecności, w „telefonicznej” obecności człowieka, który samodzielnie zredefiniował dla mnie pojęcie męskości.

– Naz – mówię lekko, delektując się brzmieniem jego imienia.

– No?

– Mam pytanie – zaczynam. – Nie chcę, żebyś poczuł się przez nie dziwnie, ale pewnie się poczujesz.

– Kurczę, dziękuję za ten pokrzepiający wstęp. Co to za pytanie? – rzuca po chwili.

– Ten twój celibat. Obejmuje całowanie? – mruczę.

Rozlega się dziwny odgłos, coś jakby kasznięcie, tylko bardziej zduszone.

– Wiem, wiem. Kolejna napotkana kobieta rzuca ci się do stóp – zawieszam głos. – Przepraszam. Obiecałam sobie, że uszanuję twój wybór, ale jest mały problem. Myślałam o tobie całą noc – mówię zgodnie z prawdą. – Przy tobie lepiej mi z samą sobą. Jestem wtedy szczęśliwa. Czuję, jakby... sama nie wiem... wiarę? Jakbyś jednym durnym żartem i uśmiechem przywracał mi wiarę w ludzkość. – Uśmiecham się do siebie. – To niesamowite, że jeden człowiek potrafi tak wpływać na drugiego. To drogocenne. Ale z drugiej strony tego całego szacunku i podziwu, jaki we mnie wzbudzasz... – muszę odkaslnąć – jest... ta napalona strona. – Słyszę w słuchawce cichy syk przez zęby, ale go ignoruję. – Jesteś bardzo atrakcyjny. Ktoś powinien zrobić rzeźbę twojej dupy.

– Mojej dupy? – wtrąca zdumiony, ale to też ignoruję.

– Muszę wiedzieć, czy mogę cię pocałować, bo bardzo bym chciała. Jeśli nie, to proszę, powiedz mi teraz, przez telefon, żebym mogła czuć się jak kompletna kretyńska w zaciszu mojego mieszkania, a nie przy ludziach, gdy ja się na ciebie rzucę z ustami, a ty wykonasz unik, krzywiąc się z obrzydzenia.

– Cóż... – mówi po chwili. – Na pewno nie można ci zarzucić, że owijasz w bawełnę.

– To może być nawet mały całus – szepczę. – Bez języka. To znaczy, wołałabym z, ale jak nie chcesz, to ja też nie.

– Ty tak na serio? – Brzmi na szczerze zdezorientowanego. – Czy w czasie kursu z bycia normalną kobietą opuściłaś wykład na temat flirtowania z chłopakami?

– Nigdy nie byłam wstydliva. Uważam, że to strata czasu – oznajmiam.

– Co ty nie powiesz...

– Nie podoba ci się to?

– Podoba? – powtarza nieco bardziej ochrypłym głosem. – Kochana, ja to, kurwa, kocham.

Przeszywa mnie słodki dreszcz uniesienia. Wstaję, ale natychmiast siadam z powrotem, bo zakreśliło mi się w głowie.

– Boże, zaraz dostanę zawału.

– No – burczy cierpko. – Znam to uczucie.

– Przyjdiesz tu czy jak? Co dziś robimy? I jak szybko zaczniemy?

Zaczyna rechotać, doskonale wiem, że kręci przy tym głową.

– Jesteś beznadziejnym przypadkiem – informuje. – Odpowiadając na twoje pierwsze pytanie, nie, nie przyjdę. To zbyt niebezpieczne.

– Niebezpieczne? – pytam, krzywiąc się.

– Masz tam łóżko. – Daje mi kilka chwil, bym przetworzyła sens tej odpowiedzi, po czym kontynuuje: – Odnosnie do tego, co dziś robimy... Może wypad na łono natury? Chciałem rzucić okiem na te ruiny Majów w Tulum.



– To ponad dwie godziny drogi – stwierdzam. – I musielibyśmy płynąć promem.  
– W takim razie nie ma na co czekać, Thelma! – rzuca podekscytowany. – Za ile będziesz gotowa?

– Daj mi pół godziny.

– Masz dziesięć minut. Nasłuchuj mojego klaksonu.

Udaję oburzoną, choć wiem, że woli unikać mojego „niebezpiecznego” łóżka.

– Klaksonu? Nie wyświadczysz mi nawet uprzejmości zapukania do mych drzwi, panie? Mam lecieć na ulicę, jak tylko na mnie zatrąbisz? – Prycham.

– Kochana, superbohater nie będzie fatygował się z samochodu dla pospolitej dziewczki. I nie zapomnij o burce. Nie chcę, żeby słońce poparzyło twoją obrzydliwą, niezdrowo bladą skórę.

Rozłącza się, zostawiając mnie sam na sam z moim głupekowatym uśmiechem, z którym zrywam się na nogi i pędzę do łazienki.

\*\*\*

Gdy dziesięć minut później rozlega się trzykrotne trąbienie, czekam już przy drzwiach. Otwieram je gwałtownie, zatrząskuję za sobą i zbiegam ze schodów, biorąc po dwa stopnie na raz.

A potem odwracam się i wracam, skąd przybiegłam, bo zapomniałam zamknąć drzwi na klucz.

Gdy w końcu wskakuję do czarnego jeepa cabrio Naza, brakuje mi tchu. Padam na fotel pasażera, zamykam drzwi i obracam głowę, żeby spojrzeć na przystojnego mężczyznę.

Po chwili, w której po prostu się na siebie gapimy, pytam:

– Przytrzasnęłam sobie sukienkę drzwiami, prawda?

– Nie miałybyś tego problemu, gdybyś przestała łązić w tych bezkształtnych worach na ziemianki, które tak ukochałaś.

– To letnia sukienka, sam jesteś worem.

Jego wzrok wędruje od moich piersi do talii, a potem na odsłonięte ponad kolanami nogi – przez to, że głupie drzwi przytrzasnęły głupią sukienkę.

– Nieważne, grunt, że wyglądasz w tym tak... – mówi niskim głosem.

– Jak? – wzdycham, a moje serce fika salto.

Naz patrzy mi w oczy i uśmiecha się łobuzersko.

– Paskudnie. Boże, żal na ciebie patrzeć. Powinienem dostać od władz jakąś zapomogę za ten wysiłek charytatywny. Przynajmniej ulgę podatkową.

– Proszę pana, pańskie działania na polu filantropii od lat inspirują rodzaj ludzki – odpowiadam radośnie. – Czy mogę już pana pocałować?

Podpiera ręce na kierownicy, wspiera na nich głowę i śmieje się bezradnie.

Chłonę ten widok, próbując nie wzdychać na głos. Ma na sobie zwykły, czarny T-shirt i sprane dżinsy. Jego szczękę pokrywa cień kilkudniowego zarostu. Jest opalony, umięśniony i w każdym calu boski.

Stukam go palcem i mówię:

– No szybciej, kończ pan z tym śmiechem, bo chcę się całować.

Obraca się do mnie i wciąż roześmiany, mówi:

– Nigdy, przenigdy nie nadawałabyś się na szpiega.

Marszczę nos.

– Nigdy, przenigdy nie chciałabym być szpiegiem – oznajmiam. – Nie mogłabym utrzymywać się z kłamstwa. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby tak żyć?

Z jakiego powodu moje słowa sprawiają, że jego śmiech znika, jak ucięty nożem. Spogląda na mnie markotnie i mówi:

– Nie zawsze wszystko jest biało-czarne.

Ta nagła zmiana nastroju nieco zbiła mnie z tropu, ale odpowiadam beztróskim tonem:

– Nie bądź śmieszny, oczywiście, że jest. Człowiek jest kłamcą albo nie. Postępuje etycznie albo nie. Tu nie ma miejsca na półśrodki. – Wzruszam ramionami.

– W niektórych okolicznościach nawet na śnieżnobiałą etykę pada cień.

Okej, teraz jestem już naprawdę wstrząśnięta. Naz mówi poważnie.

– Na przykład w jakich?

– W miłości i na wojnie – mamrocze ponuro i odpala silnik.

Jedziemy. Jestem zdezorientowana i smutna, przez chwilę obserwuję jego profil, ale w końcu obracam głowę i patrzę na przemykające, kolorowe mozaiki uliczek. Nie wiem dlaczego nagle zrobiło się tak dziwnie, jakie okoliczności z jego przeszłości stoją za tym wisielczym nastrojem, ale ewidentnie nie chce o tym rozmawiać.

Kolejny wstrząs nadchodzi, gdy nagle zatrzymuje samochód na poboczu.

Wbija wzrok w zaciśnięte na kierownicy dłonie i mówi:

– Muszę ci coś powiedzieć.

Nie kontynuuje. Po prostu siedzi sztywno, zaciskając zęby i ściskając kierownicę tak mocno, że bieleję mu knykcie. Mówię więc delikatnie:

– Naz... – Zerka na mnie spłoszony. – Cokolwiek wątpliwego moralnie zrobiłeś dla miłości lub na wojnie, nie masz obowiązku mi o tym mówić. Do kiedy zostajesz na Cozumel?

– Szczerze nie wiem – odpowiada, przełknąwszy ślinę.

Ulżyło mi, bo to oznacza, że nie wyleci stąd szybko. Gdyby miał bilety na przyszły wtorek albo wtorek za miesiąc, to by mi powiedział, wiem o tym.

– A jeżeli chodzi o to, ile zostało nam czasu razem... po prostu cieszymy się swoim towarzystwem, dobrze? Nie musimy dzielić się kolejnymi, smutnymi historiami z przeszłości. Czasami lepiej pozwolić duchom odpoczywać.

– Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem – mówię czule. – I tylko to się dla mnie liczy.

Przygląda mi się przez chwilę, a potem opuszcza głowę i zaczyna nią lekko tłuc o środek kierownicy.

– Wiesz, na czym polega twój problem? – pytam.

Nie podnosząc głowy, kręci nią przecząco, ale nie patrzy na mnie.

– Potrzebujesz pocałunku. – Zanim zdążył coś powiedzieć, pochylałam się i daję mu buziaka w szorstki policzek, po czym prostuję się na siedzeniu i uśmiecham do niego. – Okej, już wszystko dobrze. Możesz jechać dalej.

On również prostuje się w fotelu, choć znacznie wolniej. Obraca się do mnie, nachyla i ujmuję moją twarz w swoje wielkie dłonie. Patrzy mi głęboko w oczy i mamrocze:

– Jesteś pierdolonym aniołem.

Z nieziemską delikatnością muska moje usta swoimi.

To zupełnie niewinny gest, ale i tak przymykam oczy. Czuję, jakby poraził mnie prąd, nie chcę, żeby zauważył, jak gałki oczne uciekają mi w tył głowy. Gdy ponownie je otwieram, patrzy na mnie z taką tkliwością, że mam wrażenie, że wbija mi sztylet w serce.

Jeszcze żaden facet tak na mnie nie patrzył. Jakbym była skarbem, wielką nagrodą.

Jakbym tylko ja się dla niego liczyła, na wieki.

– Pierdolony anioł? – pytam rozedrganym głosem. – Czy to jakiś nieznany mi, dziwkarski zastęp niebieski?

– Myślisz, że jak rzucisz żartem, to pocałuję cię jeszcze raz, prawda? – pyta, przesuwając kciukiem po moim policzku.

– Boże, mam nadzieję.

– Bezwstydna lafirynda. – Rechocze i składa delikatny pocałunek w kącik moich ust. Wzdycham radośnie, a on robi to samo z drugim kącikiem. – Bezwstydna, rozpustna, pospolita lafirynda – szepcze, ocierając się o mnie wargami.

Łapię go za koszulę, możliwe, że ciężko przy tym dyszę – nie jestem pewna – bo mój mózg przestał już prawidłowo działać.

Mija nas samochód, kierowca trąbi na nas, aż podskakuję. Naz obraca głowę i piorunuje wzrokiem grupkę nastolatków, którzy machają do nas i pohukują zachęcająco z paki półciężarówki. Kiedy ponownie na mnie patrzy, już wiem, że na razie koniec z pocałunkami.

Znowu myśli. Cokolwiek kryje się za jego słowami o „miłości i wojnie”, widzę w jego oczach

mroczną obecność tego bytu.

Wraca na swój fotel, a po chwili ruszamy dalej szosą. Mimo że tropikalne słońce ogrzewa mi ramiona i tak przesywają mnie lodowate dreszcze.

## ROZDZIAŁ 10

### Naz

Dmitrij mnie zatrudnił, żebym cię obserwował.

Prawie jej o tym powiedziałem. Miałem to na końcu języka. Ale wtedy wypaliła, że jestem dobrym człowiekiem. Mam wrażenie, że zaraz zacznę się nienawidzić.

Dopuszczam się rzeczy niewybaczalnej. Gdy nadejdzie dzień, w którym dowie się, co robię na wyspie, a nie mam cienia wątpliwości, że nadejdzie, wzgardzi mną. Całe ciepło, jakie mi okazuje, zniknie od siły bólu zdrady i przepoczwarzy się w obrzydzenie, a ja nie będę mógł tego powstrzymać.

Najgorsze, że w pełni na to zasługuję.

Każdą kolejną minutą zapracowuję sobie na jej przyszłą nienawiść.

Rejs promem do Tulum jest krótki i spokojny. Schodzimy na ląd na wysokości turystycznej plaży w mieścinie Playa del Carmen, gdzie wynajmuję auto.

– Czemu po prostu nie pojechaliśmy autobusem z terminala promowego? – pyta mnie, gdy załatwiam wynajem.

– Bo superbohater nie buja się transportem publicznym – odpowiadam, za co nagradza mnie uśmiechem.

Prawdziwy powód jest bardziej prozaiczny. W autobusie nie zgubię ogona.

Odkąd Tabby zasiała w mojej głowie ziarno niepewności, że Dmitrij mógł wynająć drugiego człowieka, nabawiłem się obsesji. Nie znalazłem w mieszkaniu podsłuchu, ale to niczego nie dowodzi. Przed porannym meldunkiem przygotowałem sobie historyjkę, która miała mi kupić trochę czasu. Na wypadek, gdyby zarzucił mi, że nawiązałem kontakt z Evą, ale zachowywał się tak samo, jak podczas wcześniejszych sprawozdań. Pytania zadawane opanowanym głosem. Świdrujące spojrzenia. Puste oczy.

Miałem do czynienia z wieloma szemranymi typami, ale ten naprawdę potrafi mnie w chuj wystraszyć.

– Hej – mówi Eva, strzelając palcami przed moimi oczami. – Gdzie zawędrowałeś?

– Przepraszam, jestem tutaj.

Uspokajam myśli i skupiam na niej wzrok. Stoimy na klifie nad migotliwym, niebieskim morzem. Za nami wznoszą się ruiny wieży Majów. We włosach Evy tańczy słońce, jej oczy się do mnie śmieją, a ja muszę tłumić palącą ochotę, by porwać ją w ramiona i całować, dopóki nie zabraknie jej tchu.

Dopóki nie będzie moja.

– Czemu tak na mnie patrzysz?

Odpowiadam bez namysłu, ochryplym z pożądania głosem.

– Bo jesteś piękna i chcę cię pocałować.

Eva wytrzeszcza oczy, a jej usta układają się w małe o. Przetyka ślinę i mówi cicho:

– To na co czekasz, Dudley?

Wokół nas jest pełno ludzi. Turyści włączają się po trawiastych kopcach, strzelają selfie na tle ruin, krzyczą uradowani rozmiarami wygrzewających się na kamieniach iguan.

W tych okolicznościach nasz pierwszy pocałunek mógłby okazać się ostatnim. Chcę postępować powoli. Chcę się nią rozkoszować. Chcę zapamiętać każdy szczegół.

Natomiast nie chcę widowni.

Biorę ją za rękę i odciągam znad krawędzi klifu, po czym idę w stronę stojących nieco dalej mniejszych ruin, gdzie nie snuje się tylu ludzi. Eva obejmuje mnie w pasie, wiem, że czuje, co się we mnie dzieje. Przyśpieszamy kroku, w końcu zaczynamy biec w niskiej trawie.

Pojawiają się przed nami kwadratowe ruiny, to jeden z wielu budynków gospodarczych, którymi Majowie otoczyli swoją nadmorską fortecę. Przebiegamy przez wysokie drzwi i wpadamy w wilgotny mrok. Budowla ma wysoki, nienaruszony sufit i twardą posadzkę. Nie licząc zielonych pnączy na ścianach i kilku papug, które, zdumione naszym wtargnięciem, odfrunęły, trzepocząc wielobarwnymi

skrzydłami, nic tu nie ma.

Eva zwalnia, puszcza moją dłoń, zostaje nieco z tyłu.

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć. Stoi na tle drzwi budynku. Opromienia ją słoneczna poświata, jej twarz jest spowita cieniem, a włosy tworzą złocistą aureolę. Mam wrażenie, że ktoś skrępował mi klatkę piersiową ciasnymi bandażami.

Zbliżam się do niej o krok. Ona się cofa. Nie wiem, co widzi w mojej twarzy, ale oczy wychodzą jej z orbit, a żyła na jej szyi pulsuje szaleńczym tętnem.

Stawiam kolejny krok, a ona znów się cofa. Zatrzymuję się.

– Boisz się mnie?

– Nie – parska nerwowo.

– To czemu się odsuwasz?

– Liczyłam, że dotrę już do ściany. Potrzebuję podparcia. Bo tak się ekscytuję, że zaraz zemdleję.

Bandáže wokół piersi robią się jeszcze ciaśniejsze.

– Stój w miejscu – mówię, patrząc jej w oczy.

Kontakt naszych oczu jest niczym dotyk, jak krążący między nami prąd. W budynku jest pewnie z trzydzieści stopni, ale i tak dostaję gęsiej skórki. Gdy wykonuję kolejny krok, Eva rozluźnia zaciśnięte w pięści dłonie i bierze głęboki wdech.

– Czuję bicie serca w opuszkach palców – mówi z lekkim zdziwieniem.

– Wiem. Ja też.

Kolejny krok, jest już na wyciągnięcie ręki. Zauważam moment, w którym zaczyna drżeć.

– Pewnie tak się człowiek czuje, jak dostaje wylewu – szepcze, gdy w końcu wyciągam dłoń i muskam jej twarz.

– Myślę, że nie aż tak przyjemnie.

Wsuwam dłoń w jej włosy, a Eva przygryza dolną wargę.

Gdy się do niej przybliżam, opiera otwarte dłonie na moim torsie. Wiem, że czuje, jak wali mi serce. Jej oddech jest równie rozgorączkowany jak mój.

– Boże... – mówi słabo. – Mam szczerą nadzieję, że pocałunek, który zaraz mi dasz, będzie równie dobry jak ten wstęp. Boję się, że moje majtki właśnie stanęły w ogniu.

– Kochana, opowiadanie mi o twoich majtkach w takiej chwili, to raczej kiepski pomysł – mruczę, muskając wargami jej szyję. – I tak ledwie się kontroluję.

Muskam nosem miękkie, słodki punkt pod płatką jej ucha i zaciągam się aromatem jej skóry. Przechodzi ją dreszcz. Ujmuję jej głowę w dłonie, a ona wpija palce w moją klatkę. Kiedy otwieram usta nad pulsującą na jej szyi żyłą, wzdycha namiętnie, nisko i głęboko, wygina się, wbijając we mnie piersi.

To ciche jęknięcie rozpało moje ciało.

Trzymając jedną dłoń na jej potylicy, a drugą na szczęce, odchylam jej głowę i przykładam wargi do jej ust.

Jej usta się rozchylają, a gdy nasze języki się spotykają, mam wrażenie, że kopnął mnie prąd. Z jej gardła wydobywa się cichy, kobiecy odgłos, który zamienia mnie w dzikie zwierzę.

Stoimy w mroku i całujemy się, głęboko, nieśpiesznie, ale w końcu w moich żyłach zaczyna pulsować nieodparta chęć, by pchnąć ją na ścianę, zadrzeć jej sukienkę i głęboko w nią wejść. Obejmuje moje barki, więc jej piersi dociskają się do mojego torsu. Czuję jej sutki, dwa twarde punkciki na przestworzu gładkiej skóry, co sprawia, że aż wzdycham w jej usta.

Mój kutas jest taki twardy, że cały pulsuje.

– Chcę, żebyś całował mnie wszędzie... – szepcze, odrywając się od moich ust, lecz pozostając w moich objęciach. Dyszy ciężko. Ma zaszklone spojrzenie. – Chcę, żebyś mnie rozebrał i całował wszędzie. Obiecuj, że to zrobisz.

Prycham, ni to się śmiejąc, ni to stękając.

– Czyli pocałunek dorównał wstępowi, co?

Eva mruga powoli i oblizuje usta.

– Myjesz zęby narkotykami? Bo chyba mnie odurzyłeś.

Doskonale wiem, jaka byłaby w łóżku. Ochocza i zmysłowa, aktywna i otwarta. Całkowicie

oddana rozkoszy i mnie. Nie byłoby żadnego wstydu, nieśmiałości, chichotów zażenowania. Została stworzona do kochania i bycia kochaną bez żadnych zahamowań, przez godnego jej mężczyznę. W zamian sprawiałaby, że czułby się jak król.

Pragnę tego tak bardzo, że aż pali mnie w klatce.

Ale wiem, że tego nie dostanę, bo królowa nigdy nie weźmie na króla kłamcy.

– Eva.

Jej imię opuszcza moje usta w formie rwanego szeptu. Cała się napina.

– Och, przepraszam... Ja nie chciałam, żeby... było niezręcznie... – Gdy marszczę czoło, nie rozumiejąc, o co jej chodzi, wyjaśnia: – No wiesz, twój celibat.

A, no tak, celibat. Zamykam oczy i przykładam czoło do jej czoła. Wszystko, co mógłbym powiedzieć, obnażyłoby moje kłamstwo, a chcę mieć ją taką nieco dłużej... bo jestem samolubnym gnojem.

Zanim prawda wypłynie i wszystko nieodwracalnie się zmieni.

Wtula głowę pod mój podbródek, zsuwa ręce z moich ramion na pas, obejmuje mnie mocno i wzdycha:

– W porządku. To prawie tak dobre, jak kolejny pocałunek... – na moment zawiesza głos – ...no, może nie do końca, ale prawie...

Przykładam usta do jej włosów i ściskam ją z całych sił. Pasuje do mojego ciała idealnie, jakby została dla mnie stworzona. Tam, gdzie ja jestem twardy, ona jest miękka. Chcę wodzić po niej swobodnie rękoma, eksplorować wzgórza i doliny jej sylwetki. Chcę położyć ją na plecach w czystej pościeli i poznać wszystkie jej sekrety, ukryte zakamarki. Chcę odwiedzić rękami każdy skrawek jej ciała.

– Tak szybko bije ci serce... – szepcze, przyciskając ucho do mojej piersi.

– Może nie tylko ja używam narkotycznej pasty do zębów.

Podnosi głowę i patrzy na mnie. Wykrzywia wesoło usta, a jej oczy błyszczą radością. Na moment tracę oddech.

– Więc, tobie też się podobało? – dopytuje.

Przeczesa jej długie włosy, zapamiętuję, jakie są aksamitne. Jak przelewają się między moimi palcami, jakby były płynne.

– Teraz już sępisz komplementy.

– Sępię. Powiedz mi, co czułeś – żąda.

Rechoczę, jestem nią oczarowany, jakby rzuciła na mnie jakiś urok. Zauroczyła mnie słodkim uśmiechem i jeszcze słodszyimi ustami, i przepadłem na dobre. Podobnie jak prastara twierdza, w której jesteśmy, zaczyna we mnie kruszeć coś bardzo starego i twardego.

Patrzę jej w oczy i mruczę:

– Było idealnie, kochana. Będę myślał o tym pocałunku codziennie, do końca życia. Będę o nim myślał na łożu śmierci. I o tobie. Przypomnę sobie, jak teraz na mnie patrzysz. Jaka jesteś piękna i jakie mam szczęście, że mnie to spotkało.

Pomiędzy jej brwiami pojawia się drobna zmarszczka. Przełyka ślinę, zaczyna mrugać szybciej. Przez ułamek sekundy boję się, że powiedziałem coś nie tak, lecz ona wzdycha:

– Jakim cudem zawsze mówisz dokładnie to, co należy?

Wspina się na palce i całuje mnie.

Delikatnie. Bez języka. To prosty, uroczy i czysty gest. A mimo to sprawia, że nogi się pode mną uginają, oszalałam mnie swą siłą.

Z zewnątrz dobiegają nas czyjeś głosy i śmiech. Gdy do budowli wchodzi podniecona wszystkim dookoła grupa amerykańskich turystów w średnim wieku, odrywamy się od siebie.

– Kurczę, ale tu mrocznie!

– Lepsze to niż ten upał na zewnątrz!

– Posmarowałeś się kremem do opalania, Ha!

– Lois, po raz pięćdziesiąty ci mówię, że tak!

– O, cześć!

Jedna z kobiet w końcu nas zauważa. Spod jej słomkowego kapelusza wystają rozszalałe, sterczące blond loki. Ma na sobie neonoworóżowy T-shirt ze zdjęciem pyska golden retrievera.

– Dzień dobry – odpowiadam, biorąc Evę za rękę i odsuwając się im z drogi.

Ruszamy w stronę wyjścia, a turyści odprowadzają nas ciekawskim wzrokiem.

– Jest tu coś ciekawego do obejrzenia? – rzuca mąż blondynki w kapeluszu, gapiąc się na dekolt Ewy. Ma na nogach sportowe skarpetki, sandały, a pod jego spasionym brzuchem wisi pękata nerka.

Fakt, że ma też krótkie bojówki, sprawia mi realny ból.

– Płaskorzeźby na tylnej ścianie są niesamowite – stwierdza Eva, wskazując całkowicie zaciemnioną, przeciwległą część budowli.

– Ooo, płaskorzeźby! – woła blondynka, ruszając we wskazanym kierunku. Reszta posłusznie drepta za nią.

– Brawo – chwalę ją, gdy wchodzimy w światło dnia. – Pewnie będą kłócili się o te płaskorzeźby całymi godzinami.

– A potem zapewne ruszą na zakupy. – Patrzy na mnie, zaciskając wargi. W jej oczach lśni rozbawienie.

– Oszczędź mi tego – wzdycham.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – stwierdza głosem niewiniątka, biorąc mnie za rękę.

– Widzę, że przywary mojej garderoby będą dla ciebie niewyczerpanym źródłem uciechy.

– Mam nadzieję – odpowiada cicho po chwili.

Ma na myśli przyszłość. Naszą przyszłość. Przyszłość, która nie istnieje.

Gdyby w samochodzie nie powiedziała tego o królowej i o kłamcach, może nawet mógłbym się łudzić, że mi wybaczy, gdy się dowie. Gdy dowie się, kim jestem i czym zajmowałem się w ostatnich miesiącach. Lecz zimna, twarda rzeczywistość jest taka, że zdradziłem jej zaufanie. W jej umyśle stanę się niemal równy Dmitrijowi.

Będę miał szczęście, jeżeli nie wyciągnie tego swojego pistoletu i nie rozwali mi łba.

– Jak mogę cię wyrwać z tej przygnębiającej zadumy?

Zerkam na nią i zauważam, że mi się przygląda. Celnie oceniła mój stan. Ten dzień jest idealny, być może już się nie powtórzy, a ja go psuję.

Uśmiecham się do niej szeroko i otrząsam się z wisielczego nastroju.

– No cóż, Thelmo, doskonale wiesz, jak lubię przyglądać się, gdy wcinasz. Może zamówimy trochę paszy i poopowiadasz mi o najnowszych numerach w cyrku. Mogę nawet skoczyć po orzeszki. Słonie lubią orzeszki, prawda?

Śmieję się, kręcąc głową.

– No dobrze, bestyjko, umowa stoi. Idziemy pojeść. Ale lepiej trzymaj łapy z dala od mojego talerza. Bo jak już zacznę się opychać, to nic mnie nie powstrzyma. – Puszcza mi oczko.

Wracamy do samochodu, trzymając się za ręce. Raz czy dwa przyuważyłem, że Eva nerwowo się rozgląda, ale gdy mocniej ścisnąłem jej dłoń, uśmiechała się i kręciła głową.

W drodze na przystań promową zatrzymujemy się przy wskazanym przez nią przydrożnym grillu. Nie byłem przekonany do pomysłu jedzenia kurczaka grillowanego kilka metrów od jezdni, ale okazał się przepyszny. Siedzimy i zajadamy przy rozchwierutanim stoliku, pod zielonym, wyblakłym parasolem. Czas mija nam bardzo szybko, bo gadamy, śmiejemy się, pijemy piwo, odganiamy muszki...

To prawdopodobnie najlepszy posiłek w moim życiu.

– Zgaduję, że masz libańskie korzenie – rzuca zupełnie niespodziewanie. Zerka na mnie, badawczo taksuje wzrokiem moją twarz. – Może marokańskie.

– Nieźle jak na detektywa amatora. Jestem pod wrażeniem.

– Trafiłam? – cieszy się. – To jakie?

– Oba, moja matka była Libanką, tata Marokańczykiem.

Klaszcze zadowolona z siebie.

– Masz egzotyczną twarz. Te ostre jak brzytwa kości policzkowe. Wyobrażam sobie, jak twoi przodkowie pędzili na lśniących, czarnych rumakach po piaskowych wydmach, ze wzniesionymi nad głowami bułatami, w których klingach odbijały się promienie słońca.

- Naogłądałaś się Lawrence’a z Arabii – rechoczę.
  - Ale nie masz akcentu – zauważa, przeżuważając skrzydełko.
  - Niestety muszę zniszczyć twoją baśniową wizję. Urodziłem się w Waszyngtonie.
  - Ale znasz arabski – stwierdza, spoglądając wymownie na tatuaże.
  - I armeński, i turecki, i francuski. Moja matka uczyła języków.
  - Hmm. Przystojny, zabawny i do tego jeszcze poliglota. Ach, uważaj, moje serce.
  - Języki przydały się w wojsku – mówię, wzruszając ramionami.
- Wujek Sam uwielbia rekrutów władających językiem nieprzyjaciela.

– A co robił twój ojciec?

Prawie odpowiedziałem, że destabilizował rządy, ale w porę ugryzłem się w język.

– Pracował w CIA – odpowiadam, a gdy zdumiona unosi brwi, dodaję spokojnie: – Za biurkiem.

Po prostu kolejne kłamstwo na wielkiej hałdzie zdrady.

– A co z tobą? – pytam, kierując rozmowę na bezpieczniejsze wody. – Skąd jesteś?

– Z Rosji. Z Kiriszy, małej miściny pod Petersburgiem. – Nie odrywając spojrzenia od talerza, odkłada skrzydełko i wyciera usta.

Muszę udawać, że nie wiedziałem, ale zależy mi na wydostaniu z niej kolejnych szczegółów.

– Naprawdę? Też nie masz akcentu.

Bierze pokaźny łyk piwa i odpowiada:

– Akcent był zabroniony.

– Jak to? – pytam, ale włosy na karku już zdążyły mi się zjeżyć.

– Tak to, że mój były wytlukł ze mnie akcent. I wszystko inne, co uznał za skazę.

Nieposłuszeństwo. Tupet. Wszelkie przejawy lenistwa i niezdarności. Raz złamał mi rękę, bo nie pościeliłam łóżka. Oczywiście on miał akcent i to wyjątkowo siermiężny, ale to nie był problem. Lubił patrzeć, jak skaczą nad kłodami, które rzucał mi pod nogi. – Podnosi wzrok i twardo patrzy mi prosto w oczy. – A jeszcze bardziej lubił mnie karać, gdy się przez nie przewracałam.

Skrzydełko kurczaka wypada mi z dłoni, patrzę na nią przerażony.

– Ale to było na początku – kontynuuję opanowanym, wręcz rzeczowym tonem, choć jej twarz zbladła. – Szybko się dostosowałam. Szybko się uczyłam. – Na moment przymyka oczy, bierze głęboki wdech. – Szkoda, że zanim go poznałam, nie nauczyłam się, że za śliczną buźką może kryć się potwór.

Nie wiem, co robić, co powiedzieć. Mam ochotę rozwalić coś z wściekłości, ale przecież nikomu by to nie pomogło.

Ostatni raz czułem się taki bezsilny, gdy moja żona umierała.

Chwytam dłoń Ewy nad stolikiem i mocno ją ściskam. Gdy mruga i patrzy na mnie pytająco, mówię:

– Niszczy mnie, że, kurwa, nie mogę ci tego wynagrodzić, ale Bóg mi świadkiem, że jeśli ktokolwiek, ktokolwiek, znów cię skrzywdzi albo chociaż spróbuje, albo chociaż, kurwa, pomyśli, żeby cię skrzywdzić, to go zabiję. I to nie jest przenośnia. Dosłownie zakończę jego życie, gołymi rękami, jeśli zajdzie taka potrzeba. Rozumiesz?

Jej oczy wilgotnieją.

– Chyba jestem mocno porąbana, bo uważam, że to najromantyczniejsza rzecz, jaką słyszałam – mówi drżącym głosem.

Nachyla się nad stolikiem i całuje mnie.

Pomagam jej obejść stół, biorę ją w ramiona, po czym zanurzam twarz w jej włosach i przytulam ją, ona też mocno mnie obejmuje. Trzymam ją, a ona bierze głęboki, drżący wdech i kuli się na mnie, chowając twarz w moim torsie.

– Dziękuję, Naz – szepcze, przywierając do mnie z całą mocą. – Dziękuję, że przy tobie czuję się bezpiecznie. Nie masz pojęcia, jaki to dar, że znowu mogę komuś zaufać.

Zaufać.

Oficjalnie sobą gardzę.



# ROZDZIAŁ 11

**Eva**

Naz przytula mnie, dopóki nie przestaję drżeć, a potem czule głaska po plecach i wzdycha. Ciężko, ze smutkiem. Biedak wpadnie przeze mnie w depresję.

Siadam prosto i zmuszam się do uśmiechu. Patrzę w jego ciemne oczy i z przerażeniem dostrzegam w nich ból.

– Przepraszam, kolejny raz robi się dziś przeze mnie niezręcznie. Pogadajmy o czymś innym – proponuję.

Próbuję wrócić na swoje krzesło, ale on zacieśnia uścisk.

– Przystań przeproszać, proszę – mówi rozemocjonowanym głosem. – Jeszcze bardziej wszystko pogarszasz.

Nie rozumiem, o co mu chodzi, wiem tyle, że go zasmuciłam.

– Dobrze... – szepczę i całuję go w policzek.

Obejmuje mnie, jakbym była małym dzieckiem, otacza całym swoim ciałem, całą swoją siłą. Ale w jego mięśniach pojawiło się napięcie, którego wcześniej nie było. Gdy pyta, czy chcę jeszcze jedno piwo, w jego głosie wybrzmiewa nuta, której wcześniej nie słyszałam.

Odchylam głowę, opierając ją o jego ramię.

– Nie, chcę jeszcze jeden pocałunek – odpowiadam.

– Możesz mieć tyle pocałunków, ile zechcesz, kochana – mruczy i zbliża wargi do moich.

Jego usta też wydają się nieco inne. Wkradło się pomiędzy nas coś dziwnego, a wszystko przez to, że znowu wywlekłam swoją przeszłość. Widmo Dimitrija prześladowuje mnie nawet tutaj, miliony kilometrów od dawnego życia.

Chcę, żeby to dziwne napięcie zniknęło. Chcę odzyskać dawnego Naza, tego, który bezlitośnie się ze mną drażni, który patrzy na mnie, jak na ósmy cud świata. Tego, przy którym czuję się kompletnie, niebezpiecznie żywa.

Przysuwam usta do jego ucha i mówię:

– Czy jeśli pojedziemy do mnie, ale obiecuję, że wszystkie ubrania pozostaną na swoim miejscu, to będziemy mogli...

– Nie.

Jego odpowiedź jest ostra i nieustępliwa, aż krew napłynęła mi do policzków.

Dostrzega moje zawstydzenie. W jego twarzy pojawia się istna męka, jakbym dźgnęła go w serce.

– Nie dlatego, że nie chcę. Boże, przestań w ogóle tak myśleć. Chodzi o to, że nie mogę. Nie mogę. Nie mógłbym ci tego zrobić.

Oczywiście, że nie. Jest człowiekiem honoru. Złożył ślub. W pewnym momencie po prostu stąd odleci i wróci do dawnego życia, jakkolwiek żyje.

Jestem głupia. I samolubna. Postępuję wbrew własnym obietnicom – wbijam klin między Naza a jego przekonania. A jego przyszłość, w której nie ma dla mnie miejsca.

Otwieram usta, żeby ponownie przeprosić, ale od razu je zamykam. Prosił, żebym przestała przeproszać, a ja nie chcę pogarszać sytuacji. Więc po prostu kiwam głową, przełykam ślinę przez ściśnięte gardło i, zachodzącymi łzami oczyma, patrzę w jego tors.

– Kochana – mówi, ujmując moją twarz. – Proszę, nie rób takiej miny. Eva, proszę cię. Spójrz na mnie. – Gdy podnoszę na niego spojrzenie, jęczy cierpiętniczo i rzuca: – Kurwa. Kurwa mać, ale to popierdolone.

– Przystań tak do mnie przeklinać – proszę szeptem i zaczynam się trząść.

– Przepraszam, przepraszam – przytula mnie z całych sił i ciężko wzdycha.

Zauważam wstrząśnięta, że i on drży. Jego szyja, którą czuję pod policzkiem, jest rozpalona jak

piec.

To moja wina. Zasmucił się, bo naciskam, rzucam się na niego, wraz z moimi wszystkimi zachłannymi na cudzą uwagę dysfunkcjami. Muszę to naprawić.

Wysuwam się z jego objęć, wstaję i powoli siadam na krześle po drugiej stronie stolika. Biorę głęboki wdech, uspokajam oddech, kładę dłonie na blacie, na płasko. I dopiero wtedy patrzę w jego umęczone oczy.

– Nie będę przepraszała, ale za to złożę obietnicę. – Zawieszam głos, a on cały się napina, szykuje się na moje słowa, jakby nie był pewien, czy chce je usłyszeć. Lecz po kolejnym głębokim wdechu, wypowiadam je. – Nigdy więcej nie postawię cię w takim położeniu.

Naz zaciska zęby i zamyka oczy.

Chyba nie rozumie, o co mi chodzi.

– Nie będę zmuszała cię do takich wyborów. Nie będę cię zmuszała do pocałunków. Nie będziesz musiał czuć się niezręcznie. Przyrzekam, że od teraz już naprawdę będę szanowała ciebie i twoją przysięgę.

Łapie za krawędź stolika tak mocno, że boję się, że go zmiażdży, a potem zrywa się na równe nogi i zaczyna nerwowo chodzić poboczem, ciężko oddychając i co rusz kręcąc gwałtownie głową, jakby oblaży go mrówki.

Stara Meksykanka pilnująca palenisk przygląda mu się zmrużonymi oczami i posyła mi sceptyczne spojrzenie.

Ja też wstaję, zbieram śmieci po naszym posiłku i wyrzucam je do stojącego niedaleko, dużego metalowego kubła. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić, więc wracam do jeepa, siadam i czekam, aż Naz pozbiera myśli.

Przychodzi po kilku minutach. Bez słowa odpala auto i odjeżdżamy. Milczymy, aż do parkingu wypożyczalni, na którym staje i gasi silnik. Wtedy, nie patrząc na mnie, mówi cicho:

– Chcę, żebyś wiedziała, że się za to nienawidzę.

Jestem zdumiona jego słowami, ale także pełnym pogardy dla samego siebie tonem.

– Za co?

– Gdy będziesz mnie wspominała, to, proszę, wierz, że ja... że ja nie chciałem... – Przełyka ślinę, patrzy w dal przez przednią szybę.

– Hej. – Obraca się, patrzy na mnie. Burza emocji w jego oczach mnie przeraża. Dotykam jego policzka. – Dość tego, Dudley. Chcę wiedzieć, co się dzieje w twoim sercu.

– Naprawdę, chcesz? – Patrzy na mnie tak przesywająco, że pozbawia mnie tchu.

Dzieje się między nami coś ogromnego. Wiem o tym i, gdy to coś jest tak blisko, nie chcę przyglądać się zbyt dokładnie. Bo boję się, że stracę wzrok. Lepiej będzie przyjrzeć się temu później, z dystansu. Długo po wyjeździe Naza.

Mam wrażenie, że zaraz pęknie mi serce, ale silę się na beztroski ton.

– Tak, chcę. A teraz dawaj, marudo, wracajmy na wyspę, żebyś mógł się zdrzemnąć. Po drzemce zawsze wszystko wygląda lepiej.

Naz wzdycha i przekrzywia głowę, opierając ją na mojej dłoni. Na moment przymyka oczy, a gdy otwiera je ponownie, znowu łobuzersko błyszczą.

– Chodzi po prostu o to, że strasznie się z tobą nudzę – mówi. – Thelmo, będziesz najnudniejszą atrakcją cyrkową w dziejach. Publika się chociaż wyśpi.

– Przynajmniej pójdzie wypoczęta popatrzeć, jak szarpiesz prętami swojej nowej, lśniącej klatki, bestyjkę.

Uśmiechamy się do siebie.

– Okej – przytakuje. – Niech będzie drzemka. A przy okazji, chyba powinienem sobie zmienić pieluchę.

– Fuj. – Marszczę nos. – Wyobraziłam to sobie.

– Wolisz, żebyśmy dostał wysypki na pupci?

– Wysiadaj z auta, wykołajeńcu.

– Przydałoby się po drodze wpaść po puderek i wilgotne chusteczki, bo wszystkie zużyłem.

Przewracam oczami, gdy szczerzy się z zachwyty nad swoimi żartami, i wysiadam z samochodu. Naz też wysiada, chwyta mnie za rękę i razem wchodzimy do wypożyczalni. Mijamy próg, a on nadal mnie trzyma. I przez cały rejs promem trzyma się mojej dłoni, jak tonący brzytwy.

W drodze do mojego mieszkania znowu cicho jęczy. Wyczuwam, że jego nastrój zmienia się jak podczas burzy i znowu nadchodzą ciemne chmury, ale nie mogę nic na to poradzić. Gdy parkujemy przy krawężniku, ponownie jest posepny.

– Dziękuję za ten wspaniały dzień.

– No – duka, nie patrząc w moją stronę.

Auć.

– No więc... pogadamy później?

– No.

Na miłość boską!

– Naz! – rzucam ostro.

Zerka na mnie kątem oka, lecz jego spojrzenie jest niepewne.

– Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, to powiedz. Bo nie podoba mi się to całe milczące ponuractwo, ani odrobinę! – rzucam.

Prawie się uśmiecha. Jego mina łagodnieje, lecz niepewność spojrzenia nie znika. Po chwili milczenia, kręci głową.

– Tak jak mówiłaś, chyba po prostu jestem marudny.

Piorunuję go wzrokiem, bo wiem, że nie mówi prawdy. Coś ogromnie mu ciąży i nie chce się ze mną tym podzielić. I co gorsze, pozwala, żeby niszczyło to ten niesamowity dzień.

A jeszcze gorsze jest to, że zachowuje się jak dupek.

– Jak chcesz – burczę. – Powodzenia przy zmianie pieluchy.

Wysiadam z samochodu, trzaskając za sobą drzwiami. Wbiegam po schodkach i otwieram drzwi, nie odwracając się za siebie. Wchodzę do środka, staję na środku salonu, łapię się za włosy i wyrzucam w sufit krzyk frustracji.

Od razu robi mi się nieco lepiej, potem idę jeszcze wziąć zimny prysznic.

Po kąpieli wycieram włosy ręcznikiem, ale nagle nadstawiam uszu, bo chyba usłyszałam coś przy frontowych drzwiach. Przez kilka chwil stoję w łazience w bezruchu. Tak, na pewno coś słyszałam, ale ten odgłos się nie powtórzył.

Lecz moje tętno nie zaczyna szaleć dlatego, że zapadła niepokojąca cisza, a dlatego, że wróciło to stare, niemożliwe do pomylenia z niczym innym, znajome wrażenie, którego doświadczałam każdego dnia przez siedem lat.

W ruinach w Tulum też mnie nachodziło.

Ktoś mnie obserwuje.

Mój oddech staje się nierówny i płytki. Zrywam szlafrok z haczyka na drzwiach, pospiesznie zarzucam go na plecy i obwiązuję się sznurkiem w tali. Chwytam leżący na blacie pistolet i po cichu wykradam się z łazienki do salonu.

Zasłony za kanapą są zaciągnięte, ale jedno okno jest uchylone. Morska bryza porusza zwiewną tkaniną firan, które unoszą się i delikatnie opadają. Czy ja nie zamknęłam tego okna?

Obracam się i patrzę na drzwi, mój puls wzbija się na wyżyny.

Nie pamiętam, czy zamknęłam dom, gdy wróciłam.

Najciszej jak potrafię, przechodzę do rogu salonu, przyklejam się plecami do ściany i unoszę broń. Łomot mojego serca jest ogłuszający, ale zmuszam się, by stać w bezruchu i czekać.

To mieszkanie z jedną sypialnią, więc jeśli mam towarzystwo, wkrótce się o tym dowiem.

Gdy rozlega się skrzypnięcie drewnianego stopnia pod drzwiami, prawie krzyczę ze strachu, ale opanowuję się i nie odklejając pleców od ściany, przesuwam się ku drzwiom i patrzę przez wizjer.

Fala ulgi jest tak potężna, że niemal uginają się podę mną kolana.

Naz stoi ze zwieszoną głową, opierając się obiema rękami o framugę drzwi.

Otwieram, a on podnosi głowę i patrzy na mnie. Jego twarz to obraz nieszczęścia i rozpacz.

– Nie byłem w stanie odjechać – stwierdza ochryple. – Stoję tu pół godziny, próbuję się zmusić,

żeby odejść, ale też nie potrafię. – Zauważył pistolet w mojej ręce i dodaje z beznadzieją w głowie: – Strzelaj, wyświadczysz nam obojgu przysługę.

Łapię go za koszulę, wciągając do środka i kopniakiem zatrzasnęłam drzwi. A potem zarzuciłam rękę na jego ramiona i zanurzałam twarz w jego szyi.

Obejmuje mnie i zaciąga się zapachem moich wilgotnych włosów. Jego torsem wstrząsa skurcz.

– Jaśmin... – szepcze, a potem wypuszcza podmuch powietrza z płuc, jakby pozbywał się czegoś, co od dawna mu doskwierało.

Trwamy tak, w bezruchu i bez słowa, dopóki nasze galopujące serca nie wracają do normalnego rytmu. Potem go puszczam, odkładam pistolet na szafeczkę przy kanapie i zamykam drzwi mieszkania na klucz. Kiedy się odwracam, zauważam zaskoczona, że stoi tuż za mną. Schyla się, bierze mnie na ręce i niesie do sypialni.

Moje serce eksploduje.

– Ale myślałam... że nie możemy...

– Nie możemy – burczy, krocząc w stronę łóżka. – Ale to nie znaczy, że nie możemy się położyć.

Położyć? Czy ten facet sądzi, że dam radę leżeć obok niego w łóżku, całkiem naga pod szlafrokiem, nie ulegając przy tym samozapłonowi?

Wyczuwam, że gapię się na niego zdezorientowana.

– Sama mówiłaś, że przydałaby mi się drzemka – wyjaśnia, delikatnie kładąc mnie na materacu.

Sam zdejmuje buty, wchodzi do łóżka i obraca mnie na bok. Wkłada mi rękę pod głowę, podsuwa mi pod tyłek zgięte kolana i wpasowuje mnie w swoją sylwetkę, a na koniec ponownie wzdycha z ulgą, rozdmuchując mi włosy wydechem.

– Co my teraz robimy? – bąkam po chwili.

– Kochana, prawdziwi twardziele lubią przed drzemką poleżeć sobie na łyżeczkę – stwierdza i delikatnie całuje mnie w kark.

– Och, nie wiedziałam.

– Masz coś przeciwko?

Wtulam głowę w jego pachę, przeplatamy się stopami. Po chwili zamykam oczy.

– Bynajmniej. – Składa na moim karku kolejny pocałunek, tym razem przechodzi mnie dreszcz. – Ale jeżeli będziesz się tak zachowywał, to sprawy dodatkowo się skomplikują.

– Sprawy?

Słyszę w jego głosie tłumiony śmiech. Gnojek. Doskonale wie, jak na mnie działa.

– Nie drażnij się ze mną, proszę cię – mówię cicho. – Ja nigdy nie...

– Nigdy nie co...? – pyta wyczekująco.

Biorę płytki wdech na odwagę i mówię:

– Nigdy nie pragnęłam żadnego mężczyzny w taki sposób, jak pragnę ciebie. Byłam tylko z... – Muszę odkaslnąć, by precyzyjnie przez gardło kolejne słowa. – Mój były to jedyny facet, z którym... byłam... w... w tym rozumieniu... no i to nie było miłe.

Gdy Naz przyswaja moje wyznanie, rytm jego oddechu ulega zmianie. Cały napręża się wokół mnie.

– Byłaś dziewicą, gdy się poznaliście?

Kiwam głową, równocześnie próbując odpędzić ohydne wspomnienia.

– Do dwudziestki mieszkałam z matką. Byłam wtedy bardzo naiwna. Chodziłam do prawosławnej szkoły dla dziewcząt. Z chłopcami miałam do czynienia dopiero na studiach, a i tak mnie nie interesowali. Skupiałam się głównie na tańcu.

– Jesteś tancerką?

– Baletnicą.

– No, pasuje to do ciebie – stwierdza po chwili namysłu.

– Dostałam się do Baletu Maryjskiego w Petersburgu, jednego z najlepszych na świecie. To było niewiarygodne wyróżnienie. Chciałam być primabaleriną, odkąd zaczęłam tańczyć, a miałam wtedy cztery lata. O niczym innym nie marzyłam.

Muszę przestać mówić, bo gula stanęła mi w gardle.

– I co się stało? – zachęca mnie Naz, ściskając delikatnie moje ramię.

Wciągam powietrze w płuca i robię długi, drżący wydech. Boję się tego, co zamierzam powiedzieć.

– Dmitrij się stał. Tańczył w Ognistym Ptaku Strawińskiego. Byłam jedną z trzynastu księżniczek. To pomniejsza rola, ale przyszedł na premierę i postanowił... – Głos mi się łamie. – Uznał, że chce mieć w swojej stajni balerinę.

Naz odzywa się dopiero po chwili. Jego głos jest spokojny, ale niebezpiecznie niski.

– W stajni.

– Mężczyźni jego pokroju potrzebują wielu różnorodnych zabawek – szepczę. – Mnie lubił najbardziej, ale nigdy nie byłam jedyną. Mnie zatrzymał najdłużej, bo normalnie po roku czy dwóch tracił zainteresowanie. Do teraz nie wiem, co się działo z innymi dziewczynami. Pewnego dnia... po prostu zniknęły.

Jakiś czas leżymy w ciszy, w końcu moje kończyny przestają drżeć. Wyczuwam furię Naza, czuję, że świadomie kontroluje oddech, pilnuje, by nie zacisnąć dłoni, która spoczywa na moim ramieniu. I przez to wszystko zatracam się w nim jeszcze odrobinę bardziej.

– Mieszkam w Nowym Jorku. Na Manhattanie – mówi w końcu. – Byłaś tam kiedyś?

– Nie.

– A chciałabyś pojechać?

– Tak – odpowiadam z głośno bijącym sercem.

Ściska mnie tak mocno, że z trudem łapię oddech. Jego policzek jest rozpalony i szorstki.

– To dobrze – mamrocze. – A teraz obróć się, kochana. Chcę widzieć twoje oczy.

Obracam się w jego ramionach, a on od razu przytula mnie z całych sił. Odgarnia włosy z mojej twarzy, po czym kładzie mi na policzku swoją wielką dłoń.

– Odtąd nie musisz się już niczego bać – mówi, patrząc na mnie przepelnionym czułością wzrokiem. – Już zawsze będę dbał o twoje bezpieczeństwo, niezależnie od wszystkiego. Zawsze. Obronię cię przed wszystkim.

Zaczynam łkać. Moje gardło się zaciska, oczy zachodzą łzami, ale udaje mi się wydusić:

– Nie możesz mi tego obiecać.

– A właśnie, że obiecuję. Eva, nie odwracaj wzroku. Patrz na mnie – żąda.

Patrzę, przygryzając policzek, żeby się nie rozpłakać.

– Nie mam zbyt wiele do zaoferowania – wyjaśnia, po czym wzdycha. – Nigdy nie będziesz bogata. Mieszkam w gównianej norze. Nie mam funduszu emerytalnego, nie mam kasy włożonej w nieruchomości czy inne inwestycje, nie mam, kurwa, konta oszczędnościowego. Ale mogę cię bronić, tyle jestem w stanie ci ofiarować. To jedyna wartościowa rzecz, jaką mogę ci dać. Od teraz będę cię bronił – zapewnia. – Przed każdym zagrożeniem. Nawet za cenę własnego życia. Rozumiesz?

Jego oczy są czułe, ale głos twardy jak stal. Nie mam cienia wątpliwości, że wie, co mówi.

Równie dobrze wiem, że coś przede mną ukrywa.

Chowam twarz w jego piersi, by nie widział płynących mi z oczu łez.

– Szczerze mówiąc, nie. Tak naprawdę nie rozumiem – oznajmiam.

– Nieważne – odpowiada, ściskając mnie mocniej. – Zrozumiesz.

Leżymy razem, po prostu oddychając, tymczasem słońce nieśpiesznie skrywa się za horyzont, a smukłe cienie na ścianie wydłużają się z każdą upływającą chwilą. Ciało Naza jest ciepłe, czuję jego miły ciężar.

Nawet jakiś czas później, gdy jego mięśnie już się rozluźniły, a sam zaczął dryfować w stronę snu, trzyma mnie w mocnym uścisku.

– Mylisz się – szepczę. – Masz do zaoferowania coś bezcennego. I nie chodzi mi o obronę.

Przesuwa się lekko, muska nosem moje włosy.

– Co takiego?

– Siebie.

Wydaje z siebie cichy, niewyraźny odgłos udręki. A może szczęścia. Nie potrafię określić. Chwilę później przestaje mnie to obchodzić, bo jego usta odnajdują moje i całuje mnie z taką

namiętnością, że łóżko może stanąć w płomieniach. Żar, który zawsze między nami buzuje, teraz wybucha, boję się, że pochłonie nas oboje.

Wchodzi na mnie, moje uda otwierają się przed jego biodrami. Jego dłonie buszują w moich włosach. Jego usta biorą moje z pasją i zachłannością, kilka chwil później trawi nas szaleńcza gorączka.

I w tym momencie dzwoni jego komórka, a Naz zamiera.

Dzwoni ponownie, w jego kieszeni. Patrzymy na siebie, ciężko dysząc, w końcu on mruga powoli, jakby zdał sobie sprawę, co robi. W jego oczach pojawia się przerażenie.

Kiedy się ode mnie odsuwa, czuję się zdruzgotana. W jednej, tnącej niczym nóż chwili, jego ciężar i żar znikają. Leżę sama w pościeli, a on obraca się do mnie plecami i mamrocze pod nosem słowa, jakby przysięgi.

Wychodzi do kuchni i rzuca do telefonu krótkie „tak?”. Słucha uważnie, a potem odpowiada:

– Jestem poza domem. Za dziesięć minut wrócę, oddzwonię.

Przewracam się na brzuch i zakopuję twarz w poduszce, żeby stłumiła krzyk.

## ROZDZIAŁ 12

### Naz

Kończę rozmowę z Tabby i przeczesuję włosy palcami. Biorę paniczne hausty powietrza, trzęsę się. Kilka razy okrążam kuchnię, żeby spuścić choć trochę ciśnienia.

Przed chwilą, w łóżku... prawie straciłem kontrolę.

Prawie ją posiadałem, prawie zerwałem z niej szlafrok, prawie dopuściłem się rzeczy niewybaczalnej. Jeszcze gorszej niż szpiegowanie, okłamywanie, udawanie kogoś, kim nie jestem.

Udawanie, że jestem honorowym mężczyzną.

Gdyby zostały mi jakieś resztki honoru, przyznałbym się, że zatrudnił mnie Dmitrij. Powiniennem wyznać prawdę, bez względu na wszystko, gdy opowiedziała mi, wtedy w lodziarni, że ją maltretował.

Ale ja opowiedziałem jej o śmierci Sevany. Jakby podzielenie się własnym bólem mogło być zadośćuczynieniem za kłamstwa.

Z każdą sekundą gardzę sobą bardziej.

Wracam do sypialni i staję w progu jak wryty. Muszę przytrzymać się framugi.

Eva leży na brzuchu i zaciska prześcieradło w pięściach, jej rozburzone dziko włosy zasłaniają plecy i ramiona. Jasnoblękitny szlafrok zaplątał się pomiędzy jej nagimi nogami, osłaniając rozchyłone uda i obejmując biodra. A na środku widnieje jej idealny tyłek, przypominający jabłko w kształcie serca.

Ledwie przysłonięty cieniutką barwą jedwabiu.

– Kochana... – Mój głos jest tak chropowaty, jakbym żuł kauczuk.

Odpowiada stłumionym odgłosem frustracji i wierzgnięciem nogi.

Urocze, gdyby nie to, że przez ten ruch jej pośladek podskoczył pod materiałem, a to już tortura. Tłumię jęknięcie.

– Muszę iść...

– Słyszałam – warczy, podnosząc głowę. – No to idź.

Z powrotem chowa twarz w poduszce.

Ja pierdołę. Ostrożnie zbliżam się do łóżka, przyglądam się jej z góry i zastanawiam, czy wystarczy mi samoopanowania, czy mogę przysiąc na krawędzi materaca.

Lepiej tego nie rób. Udowodniłeś, że marnie u ciebie z samokontrolą. Palancie.

– Wrócę, gdy tylko...

– Po co? – rzuca, obracając się na plecy. Siada gwałtownie i mierzy mnie wściekłym wzrokiem. – Chcesz jeszcze bardziej namieszać mi w głowie? Chcesz znowu zasypywać mnie pięknymi słówkami, choć ewidentnie coś ukrywasz? Chcesz, żebym dostała kręcka od tego, że w jednej chwili mnie pragniesz, a w drugiej odrzucasz?

– Wyjaśnijmy sobie jedno – cedzę przez zęby. – Pragnę cię nieustannie. I gdy jestem przy tobie, to ciągle wiszę nad krawędzią pierdolonej przepaści i utraty samokontroli.

W tym momencie kończę mówić, bo przód jej szlafrocka lekko się odchyła i tracę oddech.

– Szlafrok... – skrzeczę z najwyższym trudem i odruchowo zaciskam powieki.

Słyszę, jak Eva zasysa powietrze przez zęby, prycha z irytacją, a w końcu rzuca oschle:

– Możesz już otworzyć oczy.

Otwieram i widzę, że zasłoniła się ciasno i trzyma krawędź szlafrocka w garści. Jest zarumieniona, zaciska wargi, odchyła sztywno głowę pod niewygodnym kątem.

Jest zła i zawstydzona.

I tak cholernie piękna, że aż boli.

– Powiem ci wszystko – mówię ciężkim od emocji głosem. – Ale jeszcze nie teraz. Najpierw kilka spraw musi się wyjaśnić. Trzeba podjąć pewne przygotowania. Potem wszystko ci powiem. Masz moje słowo.

Jej postawa staje się mniej gniewna. Przez chwilę wygląda na zdezorientowaną.

– Przygotowania? – pyta o oktawę wyższym głosem, jak zawsze, gdy jest zdenerwowana.

Zgrzytam zębami. Eva widzi moje napięcie i zaczyna wyglądać na wystraszoną, więc robię przerwę na kilka głębszych oddechów. Patrząc na nią i mówię spokojnym, cichym głosem:

– Chcę, żebyś poleciała ze mną do Nowego Jorku. Chcę, żebyś się u mnie zatrzymała i zdecydowała, czy ci się podoba. Jeżeli ci się spodoba, chcę, żebyś została na dobre.

Rozszerza oczy. Blednie. Spomiędzy jej rozchylonych warg wydobywa się ledwie słyszalny odgłos szoku lub przerażenia, a może radości... ale raczej uroiłem sobie to ostatnie.

Rzuciłem kości. Teraz mogę już tylko czekać, ile trafię oczek.

– Nie musisz odpowiadać od razu, ale właśnie to chciałem...

– Tak.

To ledwie szept. Gdybym stał pół metra dalej, nie usłyszałbym go. Ale usłyszałem i widzę w jej oczach uwielbienie.

Powala mnie to na kolana.

Kłękam obok łóżka i przyciągam ją do piersi. Nie stawia oporu, obejmuje moje ramiona, przywiera do mnie z westchnięciem. Gdy całuje mnie w szyję, zaciskam powieki i obejmuję ją mocniej.

– Możesz zadzwonić stąd – mówi. – Na osobności, wcale nie musisz iść.

Żałuję, ale Tabby chce, żebym zalogował się na zabezpieczony kanał satelitarny.

– Wróć, jak najszybciej. Obiecuję.

– Zostaniesz na noc? – pyta, a zauważywszy, że się napiąłem, od razu dodaje: – Możesz spać na kanapie. Zamknę drzwi do sypialni na klucz.

– To je wyważę – burczę.

– Nie miałabym nic przeciwko – szepcze, wpatrując się w moje oczy.

Odsuwam się i ujmuję jej twarz w dłonie.

– Posłuchaj. Pragnę cię najbardziej na świecie. Bardziej niż oddechu. I modłę się do Boga, żebyś i ty mnie pragnęła, gdy wszystko się już wyjaśni. Ale najpierw musisz się wszystkiego dowiedzieć, bo na razie nie wiesz – tłumaczę chaotycznie.

Przez chwilę obserwuję bacznie moją twarz, po czym mówi:

– Zaczynam się bać.

– Po prostu zaufaj mi, jeszcze na jakiś czas. Proszę.

Widzę w jej oczach niezdecydowanie. Wstaje, pozwalam jej wyplątać się z moich objęć. Sam również podnoszę się z podłogi i patrzę, jak krzyżuje ramiona na piersi i zaczyna nerwowo chodzić po pokoju. Po kilku chwilach zatrzymuje się i mówi:

– Okej, umowa jest taka, że masz dwadzieścia cztery godziny.

Brzmi spokojnie, rzeczowo, jakby wszystko miała pod kontrolą. Unoszę brew, czekam na ciąg dalszy.

– Łączy nas jakaś powalona więź. Nie mogę zaprzeczyć. Ale nie mogę też udawać, że całe twoje zachowanie, ta tajemniczość i podchody, nie jest dziwne. I niepokojące. To poważny problem, biorąc pod uwagę moje z gruntu koszarne nastawienie do mężczyzn. Ufam ci, choć na zdrowy rozum nie powinnam. Chcę jechać z tobą do Nowego Jorku, choć to tak, jakbym wskoczyła pod pędzący pociąg. Oceniając to wszystko na trzeźwo, zwłaszcza po twoich ostatnich słowach, powinnam próbować wykaraskać się z tej całej sytuacji, a nie brnąć w nią jeszcze głębiej.

Na moment odwraca wzrok, bierze głęboki wdech, i znowu na mnie patrzy. Jej oczy lśnią jak klejnoty.

– Ale wierzę w ciebie – oznajmia.

Jakbym dostał taranem. Jakby przebiła mnie na wylot armatnia kula.

– Wierzę, gdy zapewniasz, że chcesz mnie chronić, wierzę w prawdziwość twoich uczuć – kontynuuję. – Jeżeli okaże się, że niesłusznie, trudno, ale jestem skłonna ci zaufać. Jednak moje zaufanie ma pewne granice. Jeżeli jutro o tej porze nadal nie będziesz mógł powiedzieć mi tego czegoś, co ponoć muszę wiedzieć, to przestanę pozwalać sobie na komfort zakochiwania się w tobie.

Urywa nagle, jakby ujawniła więcej, niż planowała, ale to nieważne, bo krew w moich uszach



ryczy tak ogłuszająco, że i tak nic więcej bym nie usłyszał.

Pokonuję dzielącą nas przestrzeń dwoma długimi krokami i miażdżę jej wargi swoimi.

Całuję ją ostro i głęboko, a ona rozpływa się we mnie. Trzymam ją tak mocno, że czuję każde drżenie jej ciała, tak blisko, że czuję każdy jej spazmatyczny oddech. Zarzuca mi ręce na szyję i daje to, czego tak potrzebowałam. W końcu odrywam się od jej ust zdyszany, oszołomiony, czując jej smak oraz skwierczący żar własnego pożądania.

– Bestyjka... – Parska cichym, ochryplym śmiechem.

Gdybym padł teraz trupem, odszedłbym szczęśliwy.

– Dwadzieścia cztery godziny – mówię chropowatym głosem. – Masz moje słowo. Zamknij za mną drzwi i nie otwieraj nikomu. Wróć.

Całuję ją jeszcze raz, po czym odwracam się i wychodzę, bo zaraz hormony przejmą nade mną kontrolę i całkiem przestanę myśleć.

W drodze do domu widzę wyłącznie jej twarz w momencie, gdy powiedziała, że we mnie wierzy. Pamiętam tylko jej piękne, ufne oczy.

Myśl, że jutro o tej porze to spojrzenie zniknie, łamie mi serce.

\*\*\*

– Jest i nasz chłopaczek! Jak tam, Nasir?

Siedząca obok groźnie nachmurzonego Connora Tabby jest cała uśmiechnięta. Żałuję, że obraz jest tak ostry, bo dokładnie widzę, jak morderczo wściekły jest mój szef. Jego obsydianowe oczy są jeszcze czarniejsze od moich. I w tym momencie grożą mi rzezią.

– Świetnie. Jakie wieści?

– Wieści – cedzi Connor posępnie – są takie, że miałaś rację. Evalina i Dmitrij nie są małżeństwem.

O tym już wiedziałem, ale dobrze usłyszeć wyraźne potwierdzenie. Głównie dlatego, że oznacza to, że Connor może mnie nie zabić. Przeczesałem włosy palcami, niecierpliwie czekając na resztę informacji.

– A co z przemocą?

Tabby i Connor wymieniają spojrzenia. Tym razem to ona odpowiada.

– I w tym przypadku zdobyliśmy potwierdzenie.

– Jakie potwierdzenie? – dopytuję, bo odpowiedziała mi z wyraźnym napięciem.

Connor otwiera usta, ale Tabby muska go lekko w ramię i mężczyzna z powrotem je zamyka.

– Dane ze szpitala – mówi. – Szczegóły nie mają znaczenia... – dodaje, a po krótkiej pauzie pyta: – Ile ci powiedziała?

– Wspomniała o złamanej ręce. Mówiła, że Dmitrij lubił używać elektrycznego pastucha. Podobno dręczył też jej matkę. Powiedziała, że miał też inne dziewczyny. „Stajnię”, jak się wyraziła. Brzmi to jak jakiś harem.

– Tak – stwierdza Tabby spokojnie, ale w jej głosie pobrzmiewa mroczna nuta.

Spoglądam pytająco na Connora.

– Nie chcesz wiedzieć, brachu – mówi.

– A jednak, kurwa, chcę.

– W niczym ci to nie pomoże.

Zerkam na Tabby, która nadal ma na twarzy niewzruszoną maskę. Przenoszę wzrok z powrotem na szefa.

– Co byś odpowiedział, gdyby ktoś ci powiedział, że wie coś o Tabby, ale „w niczym ci to nie pomoże”?

– Powiedziałbym sukinsynowi, żeby zmawiał ostatni pacierz, bo zaraz spotka się ze stwórcą! – warczy Connor.

Tabby wbija wzrok w sufit i wzdycha.

– Dobrze. Więc się rozumiemy.

– Cholera jasna... – wzdycha Connor po chwili.

– Mówiłam, żebyś pozwolił mi zająć się tą rozmową, kochanie – wtrąca Tabby, patrząc na męża z czułością.

– Nie traktuj mnie tak – odburkuje.

– Ale jak, malutki?

– Jakbym był wielkim kretynem, który nie kontroluje własnej gęby.

– Och, cukiereczku. – Tabby zarzuca ręce na jego szerokie bary i daje mu buziaka w policzek. –

Przecież wiesz, że uważam cię za geniusza. Wiesz też, że kocham tę twoją gębę.

Connor obraca się i posyła jej sceptyczne spojrzenie.

– Tak?

– Tak. – Całuje go ponownie, a on udaje nadąsanego, czym zapracowuje sobie na kolejnego buziaka. – Kocham twoje usta i wszystko, co nimi robisz – dodaje szeptem.

– Ej, kurde! Wciąż tu jestem!

– Przepraszamy, Nasir. – Tabby puszcza szyję męża, za co on przeszywa mnie krytycznym spojrzeniem, ale jestem zbyt zaabsorbowany, żeby się tym przejmować.

– Muszę wiedzieć, z czym się tu mierzę – tłumaczę, patrząc to na jedno, to na drugie. – Dla własnego dobra, ale także dla Evy. Powie mi wszystko, jeśli zapytam, ale nie chcę, żeby musiała ponownie przeżywać gówna, przez które przebrnęła. A gdy już przyjdzie czas, żeby rozprawić się z Dmitrijem, muszę wiedzieć, jak chorego pojeba odpalam.

Connor rozpięta się na krześle i mierzy mnie wzrokiem zza zmrużonych powiek.

– Jeżeli weźmiesz tę kobietę, rozpętasz wojnę. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– Jest tego warta – odpowiadam bez chwili wahania. – Jeżeli musicie mnie zwolnić i całkowicie się ode mnie odciąć, zrozumieć. To przywilej, że mogłem was poznać i dziękuję za okazję współpracy. Ale teraz to Eva jest dla mnie najważniejsza. Liczy się tylko jej bezpieczeństwo.

Tabby przykładła dłoń do serca i podskakuje na krześle, popiskując radośnie pod nosem.

Connor wzdycha ciężko i na chwilę chowa twarz w dłoniach.

– Jaki, kurwa, romantyk... – burczy.

– Nie udawaj, że nie jesteś taki sam, tępaku! – przywołuje go do porządku Tabby i wymierza mu kuksańca w biceps.

Connor posyła mi ociekające emocjami spojrzenie. Mam wrażenie, że zaraz zarzuci ją sobie na ramię i porwie do łóżka. Lepiej się streszczać.

– Prześlijcie mi mailem wszystko, co macie. Odezwę się, jak to wszystko przejrzę.

– Nie wykonuj żadnych ruchów bez konsultacji – ostrzega Connor, łypiąc zachłannie na żonę.

Połączenie się urywa, a ekran spowija czerń.

Kilka sekund później dostaję maila. Biorę się za lekturę załączonych plików.

Po pięciu minutach muszę sobie nalać whisky.

Kiedy docieram do dołączonych pisemnych raportów zdjęć, whisky prawie wraca. Mam ochotę wymiotować.

Rozmaici lekarze i pielęgniarki dokumentujący kolejne „wypadki” Evy, byli bardzo skrupulatni. Terminologia medyczna atakuje mnie z monitora niczym obrazy z jakiegoś horroru.

Pęknięcie. Stłuczenie. Krwiak. Rozszczepienie.

Gdy dochodzę do poparzeń, zatrząskuję laptopa i przez kilka długich minut oddycham głęboko. Mam ochotę wyszorować sobie mózg ostrą ścierą.

Nadchodzi gniew. Na odpaleniu Dmitrija się nie skończy. Zamierzam rozerwać tego chorego skurwiela, kończyna po kończynie.

Nie zasłużył na szybkie, bezbolesne zejście.

Podjąwszy tę decyzję, nalewam sobie kolejną porcję whisky, zaciskam zęby i wracam do plików.

Godzinę później, po przeczytaniu wszystkich materiałów od Tabby, dzwonię do Connora i mówię, że potrzebuję pilnej podwózki.

Obiecałem Evie, że będę ją chronił. Teraz gdy już wiem, dla jakiego potwora pracowałem, muszę zabrać ją z tej wyspy, gdzieś poza jego zasięg.

Dziś w nocy.

## ROZDZIAŁ 13

Eva

Ściągam szlafrok, zakładam dzinsy i koszulkę, następnie wypijam łąpczywie szklanekę wody i próbuję się uspokoić. A potem czekam.

I czekam.

Naz dzwoni godzinę później, akurat, gdy zaczęłam się już obawiać, że odezwie się dopiero rano. Odbieram, spragniona dźwięku jego głosu, ale wyczuwam w jego napiętym tonie, że coś poszło strasznie nie tak.

– Eva. Musisz uważnie mnie wysłuchać i zrobić wszystko, co powiem.

– Aż zrobiło mi się ciepło na serduszkach po takim powitaniu. Co się dzieje?

Bierze długi, spokojny wdech.

– Po prostu spakuj torbę – mówi błagalnym tonem. – Tylko niezbędne rzeczy. Opowiem ci po drodze.

Powoli opadam na krawędź łóżka, zaciskam komórkę w garści, a serce zaczyna łomotać mi w piersi.

– Po drodze dokąd?

– Wyjeżdżamy dziś w nocy. Zaraz. Będę po ciebie za...

– Co?! Hola! Wyjeżdżamy?! – piszczę spanikowana.

Odpowiada mi niskim, gardłowym warkotem:

– Mówiłaś, że chcesz jechać ze mną do Nowego Jorku, no to jedziemy. Samolot startuje dokładnie za godzinę.

Po chwili zdobywam się na coś na wzór logicznego myślenia.

– Będziesz musiał się lepiej postarać, kowboju – rzucam prowokacyjnie. – Lepiej zacznij mówić.

– Nie mamy na to czasu... – zaczyna podniesionym głosem.

– To go znajdź! – wcinam się ostro. – Bo dopóki mi nie powiesz, co się, do cholery, dzieje, nigdzie z tobą nie polecę.

Przeklina pod nosem. Słyszę odgłosy nerwowych kroków i wyobrażam sobie, jak miota się po pokoju, przeczesując włosy palcami.

– Muszę ci to wyjaśnić osobiście – wyrzuca z siebie w końcu. – Musisz widzieć moją twarz, gdy powiem, co mam do powiedzenia.

– Znowu robi się ciepło na serduszkach.

– Cóż, musi się pogorszyć, zanim będzie mogło się poprawić – stwierdza ponuro. – Po prostu się spakuj i widzimy się za pół godziny.

Rozłącza się.

Przez dłuższą chwilę gapię się tępo na trzymany w dłoni telefon, a niepokój przyprawia mnie o mdłości i skręca żołądek. „Musi się pogorszyć, zanim będzie mogło się poprawić” – co to ma niby znaczyć?

Nie mam bladego pojęcia, co robić. Mój umysł zapieprza w kółko jak chomik w kołowrotku, błyskawicznie rodzi nowe teorie i równie szybko je odrzuca.

Czy on ma problemy z prawem? Boże, może przez prochy?! Poznaliśmy się, gdy kupował narkotyki! Może wcale nie jest na wakacjach, jak ci wmawiał... może ukrywa się na wyspie przed policją!

– Dlaczego ukrywający się przed policją przestępca miałby obiecywać, że będzie cię bronił? – pytam pustki w pokoju, wstając, bo już nie mogę usiedzieć. – Po co kupowałby ci lody i opowiadał o zmarłej żonie? Dlaczego wzbraniałby się przed kontaktem cielesnym, skoro oboje tak bardzo go pragniecie? Dlaczego przestępca zachowywałby się jak rasowy dżentelmen i po co, na miłość boską,

ślubowałby celibat...?

Gubię się, patrzę w przestrzeń. Umysł postanawia zaprezentować mi pewien niewiarygodny scenariusz. Niewyobrażalny scenariusz, który, gdyby się ziścił, byłby spełnieniem najgorszych koszmarów.

Nie. Nie, to niemożliwe. Niedorzeczne.

Ale pomyśl. Powiedział, że nie ma pieniędzy. Że nie może ci nic zaoferować. Że przyrzekł celibat ze względów religijnych.

Powiedział, że nawet w habitcie wyglądałabyś jak w porno.

Potem, że będzie musiał iść do spowiedzi, bo sobie to wyobraził.

Co to za facet, że ciągle gada o celibatach, habitach i sakramentach?

Padam na kanapę, mrugam oszołomiona i próbuję przekonać samą siebie do niemożliwego. Gdy w końcu puka do drzwi, tkwię w tym samym miejscu, w tej samej pozycji.

Ostrożnie odkładam telefon na stoliczek i idę otworzyć.

Ubrany w jednolitą czerń mija mnie bez słowa, wpada do salonu i się rozgląda.

– Gdzie masz torbę? – rzuca przez ramię.

Powoli zamykam drzwi i patrzę na niego.

Naz się obraca i zauważa, że mu się przyglądam. Nie wiem, czego dopatrył się w mojej minie i jak ona wygląda, ale przymyka oczy i cedzi:

– Kurwa.

– Po prostu to z siebie wyrzuć – mówię. – Cokolwiek to jest. Po prostu oderwij ten plaster i miejmy to z głowy.

– Powiem, ale w drodze na samolot.

– Powiesz teraz.

Jego wzrok pada na drewniany stoliczek przy drzwiach. Leży tam mój pistolet, niecałe pół metra ode mnie.

– Naz, nie zastrzelę cię.

– Możesz zechcieć – stwierdza łagodnie.

– Obiecuję, że nie. Powiedz.

– Eva...

– Dopóki wszystkiego nie powiesz, nigdzie nie pojedę – rzucam na tyle głośno, że aż się krzywi.

Wypuszcza powietrze z płuc i zaczyna nerwowo maszerować.

– Dobra. Ale zanim cokolwiek zrobisz, wysłuchaj mnie do końca. – Kolejny wydech, obrót na pięcie i marsz w drugą stronę. – Pracuję w firmie, która nazywa się Metrix Security.

– Mówiłeś, że jesteś w trakcie zmiany zatrudnienia.

– Za chwilę ten szczegół naprawdę przestanie cię obchodzić, wierz mi. – Odchrząkuje, opiera dłonie na biodrach i wykonuje kolejny obrót. – Więc. Ta praca. Ona, uch, wiąże się... z ochroną.

– Zorientowałam się po nazwie. Do sedna.

Zerka na mnie, ocenia wzrokiem moją minę i postawę, i znowu przeklina.

– Poczulbym się lepiej, gdybyś usiadła na kanapie.

– A ja poczulabym się lepiej, gdybyś przestał grać na czas. Nie pomaga ci to.

– Okej, ale nie zapomnij o obietnicy, że mnie nie zastrzelisz.

Wszystkie włoski na moim ciele stają na baczność. Z narastającą paniką przyglądam się, jak nerwowo miota się po moim salonie, mam palpacje serca, ręce zaczynają mi drżeć.

– Zostałem zatrudniony, żeby kogoś obserwować. Dlatego tu przyleciałem.

Parskam na wpół historycznym śmiechem, Naz patrzy na mnie ostro.

– No co?! – wrzeszczy, wyrzucając ręce do góry.

– Czyli nie zostałeś księdzem?

– Co takiego?! – pyta, wytrzeszczając oczy.

– Chwileczkę... obserwujesz kogoś? Jak... bodyguard?

Wyraz jego twarzy ulega zmianie, przechodzi od zdumionego do czujnego.

– Bardziej inwigiluję...

Trzęsę się już tak bardzo, że chciałabym usiąść, ale coś mi podpowiada, że lepiej poczekać na to, co powie, na stojąco. Biorę nerwowy wdech.

– Nie mogę powiedzieć, że nie boli, że mnie okłamałeś, no ale zgaduję, że... musiałeś? Pewnie umowa zmuszała cię do poufności albo coś takiego? Chodzi o kogoś sławnego? I co, ten ktoś dziś wylatuje, dlatego też musisz?

Naz zaczyna wyglądać niezdrowo. Pomimo opalenizny, wyraźnie blednie.

– Nie, to zupełnie nie tak.

– Więc o co chodzi?

Oblizuje wargi.

– Tylko pamiętaj, że ja naprawdę się za to nienawidzę. Pamiętaj o tym, proszę cię.

Coś w jego minie porusza głęboko zaszytą w moim sercu strunę grozy. Wysychają mi usta. Nie mogę drgnąć, nawet gdybym chciała, jakbym zapuściła korzenie.

– Chyba nie chcę więcej słyszeć... – szepczę.

Naz zamyka oczy, a gdy ponownie je otwiera, są pełne cierpienia.

– Osoba, którą mam obserwować... to ty – mówi w końcu niskim, chropowatym głosem.

Moje serce przestaje bić. Mam wrażenie, że zamiast powietrza wdycham lodowaty śnieg. Otacza mnie zimno, mróz przenikający do szpiku kości. Gdy w końcu udaje mi się odezwać, brzmie dziwnie i strasznie, wydaję z siebie martwy zgrzyt, dochodzący jakby zza grobu.

– Kto cię wynajął?

– Eva. Eva, proszę.

Jego głos jest słaby. Oczy błagalne. Dłoń, którą do mnie wyciąga, drży.

I już wiem.

Wiem, jakby ktoś nagle strzelił mi palcami tuż przed nosem.

Cofam się tak gwałtownie, że wpadam na drzwi. Z taką siłą, że całe się trzęsą. Przywieram do nich zmrożona twogą, dyszę ciężko, patrząc na pięknego kłamacz, który stoi po drugiej stronie pokoju. Powierzyłam temu mężczyźnie moje zaufanie. Temu bydlakowi, najemnikowi, który kłamał w każdym słowie.

Gdy stawia krok w moją stronę, z mojego gardła wyrzywa się szloch.

– Nigdy do niego nie wróć! Nigdy! – wrzeszczę.

Gdy stawia drugi krok, rzucam się po pistolet.

## ROZDZIAŁ 14

### Naz

Zauważam jej ruch. Wiem, co teraz nastąpi.

Właśnie dlatego chciałem, żeby usiadła na kanapie. To znaczy, oczywiście zasłużyłem sobie na kulkę, ale jednak przykro, że naprawdę chce mnie zastrzelić.

Przecież obiecała.

Pierwszy pocisk wgryza się w ścianę półtora metra nad moją głową. Ja w tym momencie pokonałem już połowę dzielącego nas dystansu. Zanim do niej dopadłem, zdążyła wypalić drugi raz, ale poszło w bok, kula rozbiła okno w salonie i narobiła takiego hałasu, że aż dzwoni w uszach. Fetor prochu strzelniczego drażni mój nos.

Łapię ją za nadgarstek i przygważdżam jej dłoń do drzwi, aż w końcu puszcza broń. Wrzeszczy, płacze, rzuca się i próbuje kopnąć mnie w jaja.

Unieruchamiam jej ręce za plecami, wbijam kolano między jej uda i przygniatam ją do drzwi całym ciałem.

– Eva, przestań! – krzyczę. – Nie próbuję dostarczyć cię Dmitrijowi! Przestań!

Wystrzeliwuje z siebie wiązkę jakichś rosyjskich słów, zgaduję, że przekleństw.

– Olałem tę robotę! Nie zabieram cię do niego!

– Kłamca! – krzyczy przez płacz, cała czerwona, rozedrgana, a łzy spływają po jej policzkach. – Rzygam tobą, obrzydliwy kłamco, zabieraj łapy, bo cię zabiję, przysięgam na Boga, że rozwalę ci łeb...

– Cicho bądź! – ryczę prosto w jej twarz.

Milknie i cicho łka. Stoimy pierś w pierś, dyszymy ciężko we wrogim milczeniu, aż w końcu odzyskuję nad sobą pełne panowanie.

– Przyjąłem tę robotę, zanim się poznaliśmy – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Powiedział, że jesteście małżeństwem i że uciekłaś. Nie wiedziałem, co ci zrobił. Nic nie wiedziałem.

Kotłuje się w moich ramionach, znowu próbuje się wyrwać. Jej ciałem wstrząsają drgawki. Ma zamknięte oczy, a nozdrza rozdęte. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem tak blisko człowieka, który rozpaczliwie pragnie mnie zamordować.

Chyba nigdy.

– Zabieram cię z tej wyspy – mówię stanowczo, prosto do jej ucha. – Lecimy do Nowego Jorku. W bezpieczne miejsce. Tam sama zdecydujesz, gdzie chcesz podążyć. Jesteś panią własnego życia, rozumiesz? Nie pracuję już dla niego. Po. Prostu. Nie. Wiedziałem.

Eva syczy jak wściekły kot i próbuje gryźć. Odchylam głowę w ostatniej chwili, prawie zatopiła zęby w płątku mojego ucha.

– Okej! – warczę. – To nie wierz mi. Ale zabieramy cię z tej pierdolonej wyspy, czy ci się to podoba, czy nie.

– Nigdzie z tobą nie jadę!

– Eva, on wie, że tu jesteś. Cały czas wiedział. Może po ciebie przyjść w każdej chwili!

Patrzy na mnie wzrokiem rozpalonym nienawiścią i zdradą.

– To puść mnie. Powiedziałeś, że jestem panią swojego życia, udowodnij to. Zabierz łapska i pozwól mi wyjść przez te drzwi.

– Nie wydostaniesz się z Meksyku sama.

– Mam paszport...

– Dmitrij zna twoje fałszywe nazwisko! – krzyczę.

Wszystkie kolory odpływają jej z twarzy. Patrzy na mnie jak na potwora.

– Nie powiedziałem mu, wiedział już wcześniej! – przekonuję. – Wiedział wszystko, jeszcze zanim nas zatrudnił. Ktokolwiek sprzedał ci te fałszywe papiery, pracował dla niego. Wyśledził cię tu,

a dopiero potem zatrudnił nas, żebyśmy cię pilnowali.

Eva przełyka ślinę, mruga, by powstrzymać napływ świeżych łez.

– Nie. To nie... niemożliwe. Byłam taka ostrożna...

Część wojowniczości z niej uleciała. Dociera do mnie, jak mocno ją trzymam, więc luzuję nieco uścisk na jej nadgarstkach, żeby sprawdzić, czy nie spróbuje uciec. Ale ona nawet nie próbuje się ruszyć, oddycham nieco swobodniej.

– Posłuchaj mnie. Mam złożyć mu raport dopiero za kilka dni.

– Raport? O, Boże – rzuca płaczliwie.

– Ale do tego czasu możemy być już daleko. Załatwię ci nowe dokumenty...

– Spierdalaj – rzuca, parszcząc gorzkim śmiechem.

– ... i zadbam o twoje bezpieczeństwo. Zadbam, żeby już nikt cię nie odnalazł. Masz moje słowo.

Podnosi na mnie wzrok. Jej dolna warga drży.

– Twoje słowo? Żartujesz sobie?

– Nie – oznajmiam poważnie.

Patrzemy sobie w oczy. Tak bardzo chcę ją pocałować, ale wiem, że źle by się to skończyło.

– Wszystko, co ci mówiłem... mówiłem na poważnie...

Eva stęka płaczliwie i odwraca głowę, więc znowu do niej przywieram i kontynuuję, wprost do jej ucha.

– Każde cholerne słowo. Możesz mi nie wierzyć, ale prawda jest taka, że ryzykuję życiem własnym i współpracowników, żeby cię ochronić.

– Nie chcę twojej ochrony – odpowiada rozedrganym głosem. – Chcę od ciebie tylko jednego, żebyś mnie puścił i żebym nigdy więcej nie musiała cię oglądać.

– Proszę – mówię z naciskiem. – Proszę, pozwól się zabrać w bezpieczne miejsce. Potem będziesz mogła zrobić, co zechcesz, ale najpierw musimy się wydostać z Meksyku. Dziś. Natychmiast. Okej?

Jej ciało mięknie. Znowu płacze, tym razem cicho. Odwraca się ode mnie, ale ujmuję jej twarz w dłonie i zmuszam ją, żeby na mnie spojrzała.

– Kochana.

Przygryza wargę.

– Przepraszam – szepczę.

Zaciska powieki i kręci głową.

– Nie waż się – cedzi, a gdy ponownie otwiera oczy, płoną furia. – I zabieraj łapy.

Czuję miazdzący ucisk w piersi. Mam wrażenie, że płomienie konsumują moje serce. Ale spełniam jej prośbę, puszczam ją i ostrożnie się odsuwam, nie spuszczać z oka jej twarzy.

Eva obejmuje się własnymi rękoma i nerwowo rozgląda po całym domu, jakby zapomniała, gdzie jest.

Jest w szoku. Zadбай o nią.

– Masz walizkę? – pytam najłagodniej, jak potrafię. Spogląda w stronę sypialni.

– Torbę podróżną. W... szafie. W szafie w sypialni.

Oddycham z ulgą. Dzięki Bogu, pozwoli mi sobie pomóc.

– Pójdę po nią i włożę do środka trochę ubrań. I szczoteczkę do zębów. Coś jeszcze?

Oblizuje wargi. Nadal się trzęsie i jest biała jak ściana, ale wygląda nieco spokojniej.

– Mam... mam trochę gotówki. W puszcze po kawie, pod umywalką w łazience.

– Przyniosę ją. Proszę, usiądź na kanapie – mówię spokojnym tonem.

Bierze rozedrgany wdech, po czym sztywno zbliża się do kanapy i siada, patrząc bez wyrazu w podłogę.

Podnoszę z podłogi jej pistolet, wciskam go za pasek i, ciągle na nią zerkając, idę do sypialni. Szybko znajduję w szafie czarną torbę, biorę ją, wpycham do środka kilka par dżinsów i jakieś sukienki z wieszaków. Przechodzę do niskiej drewnianej komody, otwieram szufladę i wyciągam z niej kilka koszulek i majtek, które też wrzucam do torby. Eva nadal siedzi na kanapie, nie rusza się, więc zamasztywym krokiem przechodzę do łazienki i schylam się, żeby otworzyć szafeczkę pod umywalką.

Widzę środki czyszczące i kilka rolek papieru toaletowego, ale żadnej puszki nie ma.

– Pod umywalką nie ma tej puszki, schowałaś ją gdzie indziej?! – wołam.

Cisza.

Zrywam się i biegnę do salonu.

Pusto. Drzwi wyjściowe otwarte na oścież.

Psiakrew.

Wracam po torbę i wybiegam przez drzwi, zbiegam ze schodów, potem na drugą stronę ulicy. Jest niedaleko, ucieka w stronę ciemnej plaży, jej długie włosy łopoczą na wietrze jak flaga. Wrzucam torbę do jeepa i biegnę za nią, nie oszczędzając nóg. Muszę ją dogonić, zanim zniknie w pasie bujnej roślinności, która oddziela plażę od drogi.

Łapię ją od tyłu, Eva krzyczy i traci równowagę na piasku. Przewracamy się oboje, nasze kończyny się płączą. Walczy jak tygrysica, ale udaje mi się unieruchomić jej nadgarstki nad głową i usiąść na niej okrakiem.

Piorunuje mnie wzrokiem, łapiąc oddech. Choć posyła mi spojrzenie, które mogłoby stopić stal, wygląda pięknie w świetle księżyca.

– Jeżeli nie dasz sobie pomóc, to Dmitrij po ciebie przyjdzie! – krzyczę. – Tego chcesz?!

– Jeżeli przyjdzie, to mnie zabije! – wrzeszczy. – I to będzie twoja wina, ty szpiclu!

Wierzga biodrami, próbuje mnie zrzucić, ale jestem za ciężki i za silny. Wije się pode mną i wrzeszczy z bezsilności. Ewidentnie nie zamierza dać za wygraną i ułatwić mi zadania.

– Dobra – warczę. – Więc zrobimy to na siłę.

Jednym płynnym ruchem wstaję, ciągnę ją za sobą i zarzucam sobie na ramię.

Wierzga i przeklina, nadal walczy, ale ja już nie odpuszczam. Pośpiesznie wrywam zza paska na plecach jej pistolet i chowam go z przodu, na szczęście nie zdążyła sama po niego sięgnąć i odstrzelić mi dupska. Maszeruję do samochodu, trzymając mocno całą masę rozszalałego ze złości, rosyjskiego piękna.

Dobrze, że najbliższy dom stoi pięćset metrów dalej przy plaży, bo Eva drze się jak oparzona. A oprócz tego wali mnie piąchami po plecach, na tyle mocno, że jutro będę cały posiniaczony.

Zaczynam truchtać. Eva krzyczy zaskoczona i łapie się za mój pasek, żeby nie spaść.

Po dotarciu do jeepa stawiam ją obok drzwi pasażera i przytrzymuję, równocześnie sięgając do schowka.

A potem zakładam jej kajdanki.

Przez moment patrzy ze zgrozą na zapięte na jej przegubach stalowe bransoletki, a potem na mnie, z niedowierzaniem.

– Zachowuj się, bo jeszcze cię zaknebluję – ostrzegam.

Jej oczy płoną oburzeniem.

– Spróbuj, a twoje jądra słono za to zapłacą.

Wierzę jej, aż czuję skurcz w kroczu.

Delikatnie sadzam ją na fotelu pasażera i zapinam jej pas, pilnując przy tym, by moja głowa nie zbliżyła się do jej kłapiących zębów. Potem obiegam samochód, wsiadam za kółko, zamykam drzwi i odpalam silnik.

Zerkam na nią, jednak nie zaszczyca mnie spojrzeniem, więc zwracam się do jej profilu:

– Polecimy na Kubę, tam przesiądziemy się do samolotu do Nowego Jorku. Gdy tylko dotrzemy do siedziby Metrix, wszystkiego się dowiemy. Będiesz mogła pytać o wszystko. Żaden szczegół operacji nie zostanie przed tobą zatajony. A potem... sama zdecydujesz, co ze sobą zrobisz – wyjaśniam rzeczowo.

Eva powoli obraca głowę i mierzy mnie wzrokiem. Powietrze w samochodzie jest jak naelektryzowane. Po chwili milczenia zaciska mocniej zęby i odwraca głowę.

Wciskam gaz do dechy, ruszamy w oparach palonej gumy. Eva siedzi sztywno i patrzy przez okno, ma zaciśnięte pięści. Odnoszę wrażenie, że chciałaby wydrapać mi oczy.

Natomiast fakt, że nie próbuje tego zrobić, daje mi cię nadziei.

Ptaszek ma nas podjąć z lądowiska po drugiej stronie miasteczka. Jedziemy w ciszy.



Mimowolnie zastanawiam się, o czym myśli. Co czuje. Czy kiedykolwiek mi to wybaczy.

Gdy zatrzymuję się na czerwonym, jestem zanurzony w tych rozmyślaniach. Obok nas zatrzymuje się inne auto, zerkam na nie.

A potem przyglądam się dokładnie.

W środku starego, czarnego cadillaca z opuszczonymi szybami siedzi czterech Latynosów. Są identycznie ubrani, w białe żonobijki. Ich ręce i szyje pokrywają gęste mozaiki gangsterskich tatuaży. Rozmawiają swobodnie, zaśmiewają się, nie zwracają na nas uwagi.

Dopóki koleś z fotela pasażera przypadkiem na mnie nie patrzy. Potem i on przygląda się bardzo dokładnie.

I nagle jego uśmiech – paskudny, spróchniały uśmiech – znika. Na twarzy mężczyzny pojawia się żądza mordy.

Diego diler uśmiecha się wrednie, wyciąga spluwę i celuje mi w głowę.

No proszę, a jeszcze przed chwilą myślałem, że gorzej być nie może.

Wdeptuję gaz do dechy. Jeep wyrывa się naprzód dokładnie w chwili, gdy pada strzał. Klaksony zawodzą. Przemykamy przez skrzyżowanie z piskiem opon, unikając o włos zmiżdżenia przez jadące z drugiej strony samochody.

Gdy wchodzę w ostry zakręt, Eva chwyta się klamki drzwi i przygarbia na fotelu.

– Mam nadzieję, że strzela lepiej ode mnie – burczy pod nosem.

Mądrała.

Gnamy bulwarem, cadillac siedzi nam na ogonie. Wykonuję uniki na całej szerokości jezdni, bo kule co rusz świszczą mi wokół głowy. Na tylny zderzak spadł grad pocisków, boczne lusterko po stronie pasażera rozerwało w drobny mak.

Zerkam kątem oka na Evę i krzyczę:

– I z czego się, do cholery, śmiejesz, kobieto?!

– Karma rzadko działa tak szybko.

– Nie wierzę, że naprawdę się z tego cieszysz! – Przy kolejnym ostrym zwrocie prawie ścinam dziadka na rowerze, który akurat przeprowiał się przez pasy. – Te palanty chcą nas zabić!

– Nie nas, tylko ciebie. To chyba wspólna cecha wszystkich twoich znajomych.

Cały ruch drogowy przed nami zatrzymuje się na kolejnych światłach, więc wpadam na chodnik, mijam korek i na pełnym gazie wracam na wolną jezdnię, już za skrzyżowaniem. Zawieszenie jeepa lubi pobujać nawet w dobrych warunkach, gdy zeskakujemy z krawężnika na asfalt, czuję się, jak na byku w wesołym miasteczku. Eva leci głową do przodu, a potem do tyłu, oboje z impetem walimy plecami w oparcia siedzeń.

Nagle tylna szyba rozpada się na miliony kawałeczków, jakby w aucie wybuchł granat.

Kulę się, żeby nie oberwać szklanym odłamkiem.

– Skurwysyny!

– Mam nadzieję, że wykupiłeś porządne ubezpieczenie przy wynajmie.

– Jakim cudem jesteś taka spokojna?! – wrzeszczę.

Patrzy na mnie, jak na jakiegoś maminsynka.

– Jakim cudem ty nie jesteś, panie były gliniarzu łamane przez żołnierzy sił specjalnych? A może to też były kłamstwa?

Gdy ryczę sfrustrowany jej komentarzami, dodaje:

– Daj mi pistolet, będę mogła się odstrzeliwać.

– Masz skute ręce! A poza tym, najpierw zastrzelisz mnie! Zapomnij, że dam ci pieprzony pistolet!

– Jak chcesz. Uważaj na tego psa.

Wdeptuję hamulec, skręcam ostro w prawo, a potem znowu wciskam gaz do dechy. Psina ocalała, choć niewiele brakło. Tropiący nas cadillac przypomina wielkiego, czarnego rekina, jego lśniący grill połyskuje w moim lusterku wstecznym jak obnażone zęby.

Nie ma szans, że im zwieję. Jeep nie może się równać z ich furą w liczbie koni mechanicznych. Zostały mi dwie opcje. Albo się zatrzymam i pójdę z nimi na otwartą wymianę ognia, albo jakoś ich

zgubię.

Skręcam ostro w lewo, ignorując znak stop, i wjeżdżam do dzielnicy mieszkalnej. Pędzimy ulicą, ile fabryka dała, ale cadillac sunie naszym śladem, zarzucając tyłkiem na zakręcie. Po trzech kolejnych kaskaderskich skrętach i otarciu się o pół tuzina zaparkowanych wszędzie aut, w końcu znajduję to, czego szukam.

Otwarty garaż.

Wjeżdżam do środka, hamując z piskiem opon. Gaszę silnik, wyskakuję z jeepa i zaciągam drzwi akurat, gdy na ulicyce rozbłyskują światła cadillaca. Stoję w ciemności i nasłuchuję ryku przejeżdżającego samochodu.

Gdy rozlega się pisk, zwiastujący, że skręcił w kolejną przecznicę, otwieram garaż i wskakuję z powrotem za kółko. Wracamy w stronę, z której przyjechaliśmy. Używam tylko przeciwmgielnych.

Kiedy już wydostaliśmy się z tej dzielnicy i wróciliśmy na główną szosę, Eva mówi:

– Nie wierzę, że ten numer się udał.

– Postaraj się stłumić rozczarowanie.

Przez resztę drogi milczy. Gdy zjeżdżamy z szosy na nieubita drogę do oceanu, posyła mi ostre spojrzenie, ale nie komentuje. Zatrzymujemy się pod palmami, wyłączam silnik, łapię torbę z tylnego siedzenia, wysiadam, otwieram drzwi po jej stronie i pomagam jej wysiąść.

Rozgląda się po odludnej okolicy, oświetlonej jedynie blaskiem księżyca. Jesteśmy na wypiętrzeniu skalnym, górującym sześć, siedem metrów nad plażą, więc od morza oddziela nas niewysoki klif. Pod nami rozbijają się fale. Nad nami rozpościera się gwieździste niebo.

Gdzieś w oddali nocną ciszę przecina mechaniczny warkot łopat śmigłowca.

Eva obraca się i widzi ptaszka, który nadlatuje od strony lądu na niskim pułapie.

– Jeżeli w tym helikopterze siedzi Dmitrij, to lepiej mnie zastrzel – mówi lodowatym tonem.

– Nie siedzi.

Obraca się do mnie i bardzo uważnie studiuje moją twarz.

– Przynajmniej naprawdę miałeś żonę?

– Tak – odpowiadam ze smutkiem.

Śmigłowiec się zbliża, ale ja nie potrafię oderwać wzroku od jej oczu. Chcę powiedzieć tak wiele, ale wszystko ugrzęzło mi w gardle. Tak bardzo pragnę ją objąć, że aż świerzbią mnie ręce, ale trzymam je przy sobie.

Eva znowu się odwraca i obserwuje schodzącą ku ziemi maszynę. Gdy płozy osiadają na trawie, przekrzykuje wycie silników:

– Mam nadzieję, że boli.

Wskazuje podbródkiem na moją rękę, po czym pochyla głowę i rusza pod wywołany śmigłami wiatr.

Spoglądam w dół i widzę, że po moim przedramieniu spływa strużka krwi, z rany w okolicach ramienia. Widzę ją przez rozerwaną tkaninę koszuli.

## ROZDZIAŁ 15

### Eva

Z natury nie jestem brutalna. Należę do dziewczyn, które nie zgniotą pająka i nie zastawią pułapki na myszy. Nawet wyłażące z odpływów w łazience rybiki wynoszę na zewnątrz i je wypuszczam. Wierzę, że wszystkie boskie stworzenia mają prawo do ofiarowanego im życia, a zabijać mogę wyłącznie w samoobronie.

Ale Naz, o ile naprawdę ma tak na imię, sprawił, że przewartościowałam ten pogład.

Siedzi naprzeciwko, przypięty pasami, i patrzy na mnie tymi ciemnymi oczami, podobnymi barwą do nocy, w którą właśnie odlatujemy. W stronę Kuby, a przynajmniej tak twierdzi. Kto wie, dokąd naprawdę zmierzamy? Wcałe bym się nie zdziwiła, gdybyśmy wylądowali na jakimś statku handlowym na środku oceanu, gdzie wsadziliby mnie do kontenera z setką innych dziewczyn i trafiłabym na turecki targ niewolników.

Kajdanki ocierają mi skórę, ale Naz ma dość oleju w głowie i postanowił ich nie ściągać. Tak bardzo pragnę zacisnąć dłonie na jego tchawicy, że z trudem utrzymuję je w bezruchu na kolanach.

Obezwładnia mnie poczucie zdrady.

Obserwował mnie. Szpiegował mnie. Pracował dla Dmitrija, który przez cały czas wiedział, gdzie jestem.

W czasie, gdy we mnie wzbierały prawdziwe uczucia do tego człowieka, on składał raporty potworowi, który przez siedem lat mnie bił i gwałcił.

Mam gdzieś jego gówniane tłumaczenia, z tej sytuacji nie ma odwrotu.

Obyś zdechł.

Przekazuję mu te życzenia spojrzeniem. Chyba zrozumiał, bo aż się skrzywił i odwrócił wzrok.

Czuję ukłucie poczucia winy, ale je tłumię. Jeżeli cała ta przejażdżka helikopterem nie skończy się tym, że trafię prosto w objęcia Dmitrija, będę w szoku.

Wierzę w ciebie. Powiedziałam mu tak. Co za kretynka. Już rozsądniej byłoby wierzyć we Wróżkę Zębuszkę.

– Maria la Gorda za pięć minut – obwieszcza pilot przez interkom, kiwając Nazowi głową.

Wyglądam przez okno, ale widzę tylko światło księżyca połyskujące na powierzchni czarnej tafli wody, który oblewa nas ze wszystkich kierunków. Naz wykonuje okrężne ruchy ramieniem. Rusza nim swobodnie, więc kula musiała ominąć kość, ale wygląda na to, że stracił sporo krwi.

A może to tylko moje płonne nadzieje.

Zauważa, że na niego patrzę.

– Jeżeli obiecasz, że nie wydrapiesz mi oczu, zdejmę ci kajdanki.

– Nic z tego.

– Doceniam szczerłość – mówi z cieniem uśmiechu.

– Miło, jak drugi człowiek nie kłamie, prawda?

Zaciska mięśnie szczęki, a po chwili dodaje, już ostrzejszym tonem.

– Powiedziałem ci bardzo wiele prawdy.

– Na przykład, że jestem przy tobie bezpieczna? – pytam, świdrując go wzrokiem. – Daj mi spokój.

– Bezpieczniejsza niż przy kimkolwiek innym.

Parskam bez cienia wesołości.

– Poprzeczka wisi nad samą ziemią – rzucam ze złością.

Naz nachyla się, wspiera łokcie na udach i patrzy na mnie rozpalonym wzrokiem.

– Okej, chcesz się w tym pobabrać? To proszę bardzo. Zapytaj, dlaczego cię nie zerznąłem, gdy miałem okazję?

Policzki szczypią, jakby mnie uderzył.

– I co, chcesz za to medal?

– Chcę, żebyś miała świadomość, że odmówienie ci było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie zrobiłem.

– Odmówienie mi? Brzmisz, jakbym cię błagała!

– A nie błagałaś? – pyta ciszej, ale nadal patrzy mi prosto w oczy.

Furia odbiera mi dech. Upokorzenie również, bo oczywiście ma rację. Błagałam. W zasadzie przy każdym spotkaniu. Jeżeli nawet nie słowami, to czynami. Również w fantazjach, w których co noc grał główną rolę.

Zasłaniam usta dłonią i wzdycham. W tym momencie dociera do mnie, że ten cały celibat to kolejna ściema. Opadam potylicą na oparcie fotela, zamykam oczy i zaczynam się śmiać. Chorem, beznadziejnym śmiechem, o którym chciałam na zawsze zapomnieć, ale zdaje się, że wkrótce stanie się moim stałym atrybutem.

Milknę, gdy zdaję sobie sprawę, że bez trudu mógł sobie na mnie poużywać.

I o ile gorzej bym się czuła, gdyby to zrobił.

Wykorzystana.

Otwieram oczy, Naz nadal próbuje mnie spalić żarem spojrzenia.

– W takim razie powiedz, dlaczego mi odmówiłeś?

Jego spojrzenie łagodnieje, staje się wręcz nieznośnie czułe.

– Kochana, przecież znasz odpowiedź – mruczy.

Nie płacz. Jeżeli jeszcze raz rozplaczesz się przed tym człowiekiem, to powinnaś rzucić się z pierwszego napotkanego klifu.

Przerywam kontakt wzrokowy i patrzę przez okno. Mrugam, zgrzytam zębami, bo nagle zalał mnie ból.

– Może wiedziałeś, że Dmitrij cię zabije, jeśli się dowie, że mnie dotkniesz.

– Dotykałem cię – rzuca ostro, bez zastanowienia. – I nie tylko.

Boże, pocałunki. Nie mów o nich. Bo zwymiotuję.

– Nasir, może byś się już odpiardolił? Nie mam humoru na te pierdoły.

Opiera się w fotelu i krzyżuje ręce na torsie.

– Wracamy do Nasira?

Posyłam mu jadowite spojrzenie.

– Mówiłeś, że tylko przyjaciele nazywają cię Naz. Chwileczkę, czy Dudley? Wilbur? Gubię się w tych wszystkich kłamstwach.

– Masz pełne prawo być zła...

– O, tak myślisz?! – wykrzykuję.

– ...ale nie zmienia to faktów.

Zmuszam się, by siedzieć nieruchomo i wytrzymać jego spojrzenie, choć chciałabym skoczyć i oderwać mu łeb.

– Jeżeli próbujesz wciskać mi banialuki, jakim to nie jesteś herosem, bo łaskawie mnie nie przeleciałeś, to oszczędź sobie zachodu.

– Faktów – powtarza głośniej – odnośnie do moich uczuć.

Mierzymy się wzrokiem, helikopter stopniowo zniża lot. W końcu złość ściskająca mi gardło ustępuje na tyle, że mogę znowu wydusić kilka słów.

– Wspomnij o uczuciach jeszcze raz, a obiorę za życiowy cel wysterylizowanie twojego kłamliwego dupska – obwieszczam.

Nie odwraca wzroku, więc ja muszę to zrobić.

Kilka chwil później lądujemy na ziemi. Naz rozpina swoje pasy, potem moje. Żegna się zdawkowo z pilotem, wyskakuje na trawę i wyciąga zza siedzenia swoją torbę. Rzuca ją obok siebie, po czym wyciąga do mnie rękę.

Ignoruję go i pewnie wyskakuję z maszyny sama.

Śmigłowiec natychmiast odlatuje. Naz wzdycha ciężko i podnosi moją torbę.

– Gdzie idziemy? – pytam, gdy ruszyliśmy przez ciemne pole. Chyba zmierza do jakiegoś konkretnego celu, choć nigdzie nie ma żadnych świateł ani punktów nawigacyjnych. Tylko gwiazdy i księżyc.

– Nie wiem, jak ty, ale ja jestem głodny i muszę się wyszczać.

– Dzięki za to zwierzenie – odpowiadam cierpko.

Nie komentuje. Zakładam, że zaraz ulży sobie za najbliższą palmą, a jednak idziemy bez przerw przez mniej więcej dziesięć minut, po czym przebijamy się przez pas gęstej roślinności i wychodzimy na odludną plażę.

Na południu widać szereg rozjarzonych światłami na tle czarnego nieba bungalowów. Idziemy w ich stronę, a piach chrzęści mi w butach.

– Mówiłeś, że lecimy do Nowego Jorku.

– Tu przenocujemy. Lecimy o świcie.

Biorąc pod uwagę, o której opuściliśmy Cozumel i lot śmigłowcem, „nocowanie” potrwa najwyżej kilka godzin. Niemniej jestem wdzięczna za chwilę odpoczynku. Wolałabym skonać, niż przyznać to na głos, ale też jestem głodna i wypompowana po zdecydowanie zbyt potężnej dawce adrenaliny. Muszę coś zjeść i się zdrzemnąć.

Gdy odpocznę, wymyślę, jak uciec.

Jednak mój plan zostaje natychmiast pokrzyżowany, bo Naz odwraca się do mnie i ostrzega:

– Nawet nie próbuj się wymknąć. Nasz pokój ma zamek na szesnastocyfrowy szyfr i kuloodporne okna. Zamknięte na stałe.

– Niezłe zabezpieczenia, jak na melinę przy plaży – pryham, próbując ukryć rozczarowanie.

– To kryjówka. Connor ma takie na całym świecie.

Nie mam pojęcia kim jest Connor i niech mnie licho, jeżeli zapytam.

Zbliżamy się do zabudowań. Wygląda mi to na niewielki resort z kilkoma niezależnymi bungalowami. Dachy przypominają pokryte strzechą, ale tak naprawdę to tylko dekoracja na normalnych dachówkach. Bungalowy są rozrzucone w całkiem sporych odległościach, ale wszystkie pomalowano na podobne jaskrawe, tropikalne kolory: turkusowy, pomarańczowy czy szmaragdowy. Przy długim, rozświetlonym lampkami nabrzeżu kołysze się kilka łodzi. Na plaży stoi rząd różowych leżaków. Nagle przebiega obok nas cała familia rozgłaskanych kurczaków, jeden z malców przystaje, żeby wydziobać z piasku jakieś ziarenko.

W innych okolicznościach uznałabym to za całkiem urocze.

Naz podchodzi do drzwi pierwszego, patrząc z naszej perspektywy, bungalowu i na czarnym pudełku, wiszącym na ścianie obok, wstukuje długi kod. Otwiera drzwi zamasytym ruchem i odsuwa się, żeby wpuścić mnie pierwszą.

– Ale dżentelmen – mamrocę i wchodzę do środka, ignorując jego cierpkie spojrzenie.

Gdy drzwi się za nami zatrzasują, aż podskakuję.

Naz wpisuje kolejny kod, tym razem na klawiaturce w pokoju. Obracam się, a serce zaczyna łomotać jak szalone.

Jestem w potrzasku.

Bungalow składa się z sypialni, salonu, aneksu kuchennego i łazienki. Jest ozdobiony w morskim klimacie, wszędzie pełno wodorostów i muszli. Wszystkie meble są białe. Na ścianach znajduje się tapeta w kwiaty.

– Proszę.

Ponownie podskakuję, bo głos Naza rozlega się bardzo blisko. Odwracam się na pięcie i widzę, że wysuwa ku mnie mały, srebrny kluczyk. Wysuwam ręce w jego stronę.

– Mam czynić honory? – pyta po chwili.

– Sam mi je założyłeś, to i zdejmij.

W jego oczach pojawia się krótki błysk, ale twarz pozostaje obojętna. Spogląda na kajdanki i otwiera je jednym sprawnym, wyuczonym ruchem.

Gdy zabiera srebrne bransolety, pocieram obolałe przeguby i patrzę z urazą na czerwone ślady na mojej skórze.

- Przykro mi – oznajmia.
- Patrzę na niego ostro i pryham z irytacją.
- Zdumiewające, jak ty to robisz?
- Co takiego?
- Sprawiasz, że kłamstwo brzmi prawdziwie.

Jego oczy znowu błyszczą, przez chwilę mierzy mnie intensywnym spojrzeniem, po czym udaje się do łazienki. Wrzuca kajdanki do umywalki, otwiera szafkę pod spodem i czegoś w niej szuka. Wraca do salonu z garścią bandaży i przyborów medycznych, następnie kładzie je na blacie w aneksie.

A potem staje przed lustrem i ściąga koszulę.

Moje serce zaciska się, a po chwili rozplywa.

Nagi do pasa wygląda majestatycznie. Na widok jego złotej skóry, wyrzeźbionych mięśni i tatuaży, wijących się od karku do pasa, wzdłuż kręgosłupa, płoną mi oczy. Są wykonane w tym samym arabskim stylu, co te na przedramionach.

Gdyby rozłożył ręce na boki, utworzyłyby kształt krzyża, obejmujący całą górną część jego ciała.

Rozdziera foliowy pakunek, wyciąga z niego coś, co na oko wygląda jak chusteczka odkażająca i ściera nią krew z całego ramienia. Następnie otwiera kolejny pakunek i wytrząsa z niego na ranę jakiś jasny proszek.

– W lodówce powinno być jedzenie, jeśli chcesz – mówi, patrząc w oczy mojego odbicia w lustrze. – No, chyba że wolisz tak stać i się gapić – dodaje głosem niższym o oktawę.

– Co oznaczają twoje tatuaże?

Zamiera. Ewidentnie go zaskoczyłam. Po chwili przesuwa wzrok na trzymany w dłoni pakunek. Ścisza go tak mocno, że bieleją mu knykcie.

– To... – Walczy sam ze sobą, lecz w końcu wydusza z trudem: – wiadomość.

Teraz to ja jestem zaskoczona.

– Wiadomość? Do kogo?

Unosi głowę i nasze spojrzenia znowu się spotykają. Tym razem jego jest bardzo mroczne.

– Do tego czegoś, co przywita mnie, gdy po raz ostatni zamknę oczy.

Do tego czegoś, nie tego kogoś.

Dostaję gęziej skórki.

Naz wraca do opatrywania ramienia, jakby do tej wymiany zdań wcale nie doszło, robi to szybko i sprawnie. Ja zostaję z poczuciem straty i tęsknoty, chciałabym dowiedzieć się więcej.

A jeszcze bardziej chciałabym nie chcieć.

Zrzucam buty i idę do lodówki. Jest dobrze zaopatrzona w napoje gazowane, wodę, pokrojone i zapakowane wędliny, sery, a nawet w owiniętą folią tackę owoców. Wyciągam wszystko, układam to na małym, szklanym stoliku robiącym za tutejszą jadalnię, siadam i zabieram się do jedzenia.

Gdy Naz wchodzi do pokoju, akurat pochłaniam kawał cheddaru. Siada naprzeciwko i bierze plaster suszonego salami. Zwija go jak cygaro, bierze wielkiego gryza i zaczyna rzuć.

Nie założył koszuli, by go piekło pochłonęło.

– Chcesz o tym porozmawiać? – pyta, zerkając na resztę salami.

– Jeżeli przez „to” rozumiesz naszą obecną sytuację, to wolałabym wypalić sobie oczy kwasem.

Naz odchyła się na krześle i rozprostowuje nogi pod stołem, tak że są bardzo blisko moich.

– To może po prostu ja będę mówił? Posłuchasz?

– Nawet stado dzikich ogierów nie zdołałoby odciągnąć mnie od tej pięknej historii – cedzę, piorunując go wzrokiem. – A nie, chwileczkę, jestem z tobą uwięziona w zamknięciu, więc dzikie ogiery mnie nie znajdą.

Nie udało mu się stłumić uśmiechu.

– Kocham, gdy jesteś taka cięta, kochana.

„Kocham” i „kochana” w jednym zdaniu. Ależ ten facet ma tupet.

– Odradzam, żebyś mnie tak nazywał – warczę. – Nigdy więcej. Rzykujesz na własną odpowiedzialność.

Przesuwa dłonią po szczęce. Udaje, że się drapie, ale wiem, że próbuje w ten sposób zamaskować

szeroki uśmiech. Mam ochotę krzyczeć ze złości.

– Nasir, cieszę się, że to wszystko tak kurewsko cię bawi. Pewnie dla ciebie to zwykły dzień w robocie, co? – ironizuję. – Romansowanie ze skrzywdzonymi kobietami, wykorzystywanie ich zaufania, a potem odsyłanie ich potworom, od których uciekły.

Jego uśmiezek znika. Dobrze.

– Mówiłem już, że mu cię nie oddam.

– Wybacz, że nie do końca ci wierzę – odpowiadam sarkastycznie – ale w tej chwili pokłady mojego zaufania są mocno uszczuplone. Bo wiesz, poznałam jednego nieziemskiego faceta, a okazał się kupą kłamliwego łajna.

– Nieziemskiego? – pyta, patrząc mi w oczy.

Przymykam powieki i kręcę głową z niedowierzaniem.

– Tylko to wyłapałeś z całej wypowiedzi?

– Tak, bo tylko to daje mi nadzieję – odpowiada zbolalym tonem.

Otwieram oczy i patrzę na niego, szkoda, że nie mam laserowego wzroku, którym mogłabym go spopielić.

– Nie ma żadnej nadziei – mówię powoli, wyraźnie akcentując każde słowo. – Nienawidzę cię.

Przez chwilę bacznie mi się przygląda, po czym rzuca:

– W porządku, tyle że to nieprawda.

Wstaję, odsuwając krzesło tak mocno, że się przewraca. Biorę ze stołu tackę owoców i idę do sypialni, trzaskając za sobą drzwiami.

Siadam na podłodze, opieram się plecami o łóżko, ukrywam twarz w dłoniach i jęczę z udręką, bo znowu ma rację.

## ROZDZIAŁ 16

### Naz

Gdy dzwoni Connor, ściany nadal się trzęsą, bo tak mocno pizgnęła drzwiami.

– No? – pytam, pomijając przywitanie.

– Masz ją?

– Mam.

– Widzę, że jesteście w kryjówce w Maria la Gorda. Dostałem powiadomienie, że ktoś tam wszedł.

– Jesteśmy – potwierdzam.

Connor nie odzywa się przez chwilę.

– Rozmawiaj ze mną, brachu. Wszystko dobrze?

Wypuszczam ciężko wstrzymywane w płucach powietrze i drapię się po głowie.

– Pomijając to, że po drodze dostałem kulkę i że Eva chce mnie zabić, wszystko gra i buczy.

Najpierw skupia się na możliwym do rozwiązania problemie.

– Gdzie masz ranę i jak ciężką?

– W ramieniu. Spore dziursko, ale to nic poważnego.

– Trzeba szyć? – dopytuje, a w jego głosie słyszę nutę troski.

– Nie, opatrunek hemostatyczny załatwi sprawę. Porządną tu masz apteczkę.

Connor wydaje z siebie pomruk zadowolenia. W kategorii ran postrzałowych moja naprawdę jest jak wygrana na loterii. Obaj się na tym znamy, bo trochę ich widzieliśmy.

– Kto strzelał?

– Ten pojebany diler, przed którym obroniłem ją za pierwszym razem – wyjaśniam z niesmakiem. – Wpadliśmy na niego przypadkiem, w drodze na lądowisko.

– Ty i te twoje przypadkowe spotkania. Narobiłeś bałaganu, trzeba coś sprzątać? – Wzdycha.

Chodzi mu o zwłoki.

– Nie, zgubiłem ich. Ale rozjebali mi wypożyczone auto.

– Więc dobrze, że wzięłeś je na fałszywe papiery – odpowiada cierpko.

– No, ale i tak – mruczę. – Lubiłem to auto.

Po kolejnej długiej pauzie Connor zmienia temat.

– Wygląda na to, że masz większe problemy niż postrzał.

– Bardzo delikatnie rzecz ujmując – odpowiadam.

– Spróbuj z kwiatami. U mnie zawsze działają.

Trudno mi sobie wyobrazić Connora przemierzającego alejki w kwiaciarni, równie trudno Evę przyjmującą ode mnie bukiet. Pewnie rozszarpałaby go zębami.

– Ucieszyłyby się tylko z mojego łba na srebrnej tacy, poza tym jestem w dupie – komunikuję, nie ciesząc się z tego, że brakuje mi pomysłów na pokojowe rozwiązanie tego sporu.

– Możesz napisać wiersz. Tabby uwielbia też wiersze.

Mrugam.

– Gdybym nie wiedział, że to ty, pomyślałbym, że ktoś się źle dodzwonił.

– No co, nie mogę napisać wiersza mojej kobiecie?

Zabrzmiał na rozeźlonego, a nie mam ochoty drażnić faceta z dwudziestoma sześcioma potwierdzonymi celami na koncie. Faceta, który potrafi rozwalić ci łeb z dystansu półtora kilometra.

– Wiersze są super, ale dla mnie już na nie za późno. Gdy przyznałem, że obserwowałem ją z polecenia Dmitrija, też próbowała mnie zastrzelić. Nacisnęła spust dwa razy, zanim odebrałem jej broń.

– Wiesz, jakie są kobiety – odpowiada nieco lekceważąco. – Tak naprawdę wcale nie jest zła. Inaczej by nie chybiła.



Przez moment zastanawiam się, jak musi wyglądać jego życie rodzinne, ale postanawiam wrócić do kwestii praktycznych.

– Podwózka o szóstej, tak jak było ustalone?

– Potwierdzam. Tu już też wszystko gotowe. – Gdy przez dłuższy czas nie komentuję, Connor dodaje posępnie: – Nie wyobrażasz sobie chyba, że pozwolę ci wrócić do siebie, do mieszkania, zanim wszystko nie zostanie załatwione?

– Dmitrij – stwierdzam, bo wiem, do czego zmierza. Gdy tylko się dowie, co się stało ze zleconą przez niego robotą, zapewne zjawi się w moim domu.

– Rozmawialiśmy z Tabby o następnych krokach. Przegadamy je, jak przylicicie. Tymczasem postaraj się unikać kolejnych postrzałów.

– Przyjąłem.

– Aha, Nasir?

– No?

– Dobrze, że się postawiłeś, wtedy, jak pieprzyłem te bzdury o Evie. O tym, że to nie nasza sprawa – mówi ciszej. – Postąpiliśmy słusznie, olewając ten kontrakt.

Rozłącza się, zanim zdążyłem coś powiedzieć.

Patrzę na zegarek. Transport zjawi się za cztery godziny. Padam na krzesło obok kanapy, ustawiam budzik w zegarku i zamykam oczy.

\*\*\*

– Eva, obudź się.

Delikatnie potrząsam jej ramieniem. Leży blisko krawędzi łóżka, śpi jak zabita. Szkoda mi ją budzić, ale już wpół do piątej, musimy się zbierać.

Wydaje senne odgłosy niezadowolenia, ale nie otwiera oczu, więc siadam na łóżku i odgarniam włosy z jej twarzy.

– Wstaje kolejny dzień, kochana.

– Spadaj – mamrocze, zakopując się pod kołdrą.

– Zrobiłem ci kawę. Czarną, bez cukru, jak lubisz.

– Wołę nie wiedzieć, skąd wiesz, jaką lubię kawę – mówi po chwili ciszy.

Mówi ochryplym po śnie głosem, ale tym razem nie wyczuwam w nim nienawiści. Mam nieprzepartą chęć, żeby zanurzyć twarz w jej włosach i zaciągnąć się aromatem, ale udaje mi się opanować i jedynie ściskam ją jeszcze raz za ramię.

– Masz pięć minut, żeby się ogarnąć.

Zostawiam drzwi sypialni otwarte i wracam do aneksu, gdzie czekam, pijąc własną kawę. Dobiega mnie dźwięk skrzypienia sprężyn w materacu i odgłos zamykania drzwi do łazienki. Słyszę wodę w umywalce. Słyszę splukiwanie toalety. Gdy dopijam kawę, Eva wychodzi z pokoju, pocierając oczy.

Widząc ją w tym stanie, w uroczym, lekko zamglonym „pośnie”, czuję, jak przeszywa mnie błyskawica palącego pożądania.

Budzić się, trzymając ją naga w ramionach...

– Proszę – mówię, podając jej kubek. – Mocna. Pomoże się rozbudzić.

Człapie do mnie boso jak posłuszne dziecko. Włosy ma w nieładzie, powieki ledwo otwarte. Wygląda tak rozkosznie, że mam ochotę porwać ją w ramiona i wycałować.

Przyjmuje kubek z mojej wyciągniętej dłoni i wacha. Bierze ostrożny łyk.

– Mmm.

Ten pomruk zadowolenia jest jak zwycięski los na loterii.

– Dobrze spałaś?

Mruga sennie i patrzy na mnie.

– Pewnie. Nie, żebym ostatnio brała udział w pościgu samochodowym, żeby strzelali do mnie dilerzy czy żeby całe moje życie okazało się jednym, wielkim kłamstwem, co to, to nie. Więc dlaczego miałabym źle spać?

Patrzy na mnie znad krawędzi kubka, z którego pociąga kolejny łyk, i marszczy brwi.

– Masz rację – odpowiadam, tłumiąc uśmiech. – Zostało trochę owoców, jeśli masz ochotę.

Z początku nie odpowiada, tylko skupia się na kawie. W końcu mówi ledwie słyszalnie:

– Nie mogę do niego wrócić. Jeśli zabierasz mnie z powrotem, to proszę... – Zerka na mnie niepewnie.

To spojrzenie sprawia, że serce zamiera mi w piersi.

– Nie rób tego – kończy szeptem.

Odpowiadam spokojnie, choć moje serce przyjęło pełny bak paliwa i wystrzeliło w kosmos jak rakietka.

– Nie zabieram cię do niego. Zabieram cię do Nowego Jorku, w bezpieczne miejsce. A potem znajdę Dmitrija i go zabiję.

Patrzemy sobie w oczy. Przechodzi mnie prąd, jakbym wetknął palec do gniazdka. Cały jestem naelektryzowany.

– Dlaczego miałbyś zabijać pracodawcę, Naz?

Naz. Jezu Chryste. Ulga jest tak silna, że prawie spadam z krzesła.

– Bo wiem, co ci zrobił – odpowiadam szorstko, ciągle patrząc jej w oczy. – Wcześniej nie wiedziałem, a teraz wiem. I zapłaci za to wszystko, dziesięciokrotnie. Nie będę się śpieszył. – Wzdycham. – Poza tym, on nie jest moim pracodawcą. Firma, w której pracuję, przyjęła od niego zlecenie.

Eva ściąga brwi. Wsuwa dolną wargę między zęby i lekko ją przygryza. Tętno na jej szyi wyraźnie przyspiesza.

Biorę ostry wdech, z trudem powstrzymuję się, by jej nie dotknąć.

W końcu to ona przerywa kontakt wzrokowy i wbija spojrzenie w kubek, który trzyma w ponownie drżących dłoniach. Odchrząkuje.

– Cóż, chyba będę musiała po prostu zaczekać i się przekonać.

Powiedziała to ostro, ze sztywno wyprostowanymi plecami, a napięcie zamknęło jej ciało w kleszczach, niczym zbroja. Z hukiem wzrósł między nami mur.

Nie jest już śpiąca.

Wylewa resztkę kawy do zlewu i wraca do sypialni. Wraca po chwili, w butach i z zaciętą miną, jakby szykowała się do bitwy.

– Dobra – mówi. – Zróbmy to.

Widzę, że cholernie się boi. Naprawdę nie jest pewna, czy nie chce oddać jej Dmitrijowi. Jednak to, że mierzy się z przyszłością z otwartą przyłbicą, spogląda jej w oczy, na przekór strachowi, napawa mnie, kurwa, dumą.

– Ty mała twardzielko – wyduszam z trudem. – Ty mała, odważna twardzielko. Znałem żołnierzy, którzy nie mieli nawet połowy twojej odwagi.

Przez chwilę wygląda, jakby miała się rozpłakać. Ale od razu bierze się w garść, zadziera podbródek, prostuje ramiona.

– Przeciętna kobieta wykazuje się większą odwagą każdego dnia przed obiadem, niż żołnierz przez całą karierę. Cały świat zbudowano na kobiecej odwadze. Wy, mężczyźni, po prostu lubicie przypisywać sobie nasze zasługi.

Kiwam głową, bo, do jasnej cholery, potrafię przyznać, gdy ktoś mówi z sensem.

A potem łapię jej torbę i wychodzimy w przyjemny, szary świt, choć rysuje się przed nami ciemna, niepewna przyszłość.

## ROZDZIAŁ 17

### Eva

Mały samolot zabiera nas z jakiegoś zapomnianego lotniska, które zdążyło niemal całkowicie zarosnąć. Patrząc, jak dwusilnikowa cessna podchodzi do lądowania, nie miałam pewności, czy pilot nie rozwali podwozia o spękany asfalt pasa startowego albo czy kępa krzaków nie wpadnie mu w silnik, ale jednak posadził maszynę bez trudu.

Kilka chwil później wznosimy się w delikatną poranną mgiełkę i lecimy do...

No właśnie, dokąd?

Nie wiem. Nie śmiem się łudzić, że Naz mówi prawdę. Lepiej szykować się na najgorsze.

Dzięki temu tak długo przetrwałam. Oczekuj najgorszego, a nigdy się nie rozczarujesz.

Naz siedzi obok pilota, wypełniając sobą większość przestrzeni w kokpicie. Biedaczek ciągle ociera głową o sufit. Jego długie nogi są ściśnięte pod konsolą sterowniczą. Kolana musi podciągać pod klatkę. Obok mnie, na siedzeniu z tyłu, jest sporo miejsca, ale zostawił tę przestrzeń na mój prywatny użytek.

Staram się nie odczuwać wdzięczności za tę drobną uprzejmość. Bo zniecierliłabym się, gdybym poczuła wdzięczność względem człowieka, który odda mnie mojemu katowi.

Lot jest długi i niewygodny. W kabinie jest gorąco, duszno i klaustrofobicznie. Moje nerwy są tak poskręcane, że aż krzyczą. I chce mi się sikać. Gdy w końcu obniżamy pułap, jestem już tak zestresowana, że hiperwentyluję.

Naz, usłyszawszy, że szybko dyszę, obraca się i ściska mnie za kolano.

– Prawie jesteście. Świetnie sobie radzisz.

Nie rozumiem, jak równocześnie może okazywać mi takie wsparcie i wyrwać serce. Okłamał mnie. Kłamał mi prosto w oczy.

Zrzucam jego dłoń z kolana i wracam do hiperwentylowania.

Lądujemy przy małym, prywatnym terminalu i postoju taksówek. Na pasie startowym czeka limuzyna.

Gdy pilot wyłącza silniki, spada na mnie takie przerażenie, że nie jestem w stanie się poruszyć. Naz otwiera wąż i wyciąga do mnie rękę. Odruchowo się odsuwam, kulę, jestem złana potem.

– Wszystko dobrze, kochana – uspokaja mnie łagodnie. – Po prostu złap mnie za rękę. Jestem tu. A ty jesteś bezpieczna. Obiecuję, jesteś bezpieczna.

Obiecuję. To słowo, wypowiedziane z jego ust, daje mi kopa wściekłości, którego potrzebowałam, żeby ruszyć tyłek.

Wyprowadza mnie z samolotu i wprowadza do limuzyny płynnie, szybko i skutecznie, jakbym była milionową zbiegłą kobietą, którą musi się zajmować. Kulę się przy drzwiach po przeciwnej stronie i rozglądam dziko w poszukiwaniu jakiejś broni, którą mogłabym wepchnąć do džinsów.

Porywam korkociąg, który leżał w uchwycie na kubki i chowam go w kieszeni, zanim Naz zdążył rozsiać się obok.

Samochód rusza.

– Wyglądasz jak zagoniona w potrzask wilczyca – stwierdza, zerkając na mnie z ukosa.

– Właśnie tak się czuję.

Oceniwszy mój stan, uznaje, że czas przedstawić mi plan kolejnego etapu podróży.

– Na Manhattan jest mniej więcej godzina drogi. Siedziba Metrixa znajduje się w dzielnicy Meatpacking, niedaleko rzeki Hudson.

Meatpacking. Wyobrażam sobie prowadzone na rzeź krowy i przechodzi mnie dreszcz, bo doskonale rozumiem, co musiały czuć.

– Budynek firmy jest bezpieczniejszy od Fort Knox – kontynuuje pewnym głosem. – Sama zobaczysz. Nie dorwą cię, chyba że ktoś zrzuci nam na łeb atomówkę.

Nie wspominam, że Dmitrij posiada dostęp do broni, która mogłaby zmieść z powierzchni ziemi całe dzielnice Nowego Jorku, bo to wszystko może być elementem gry. Taktyką. Dbajcie o jej spokój,

żeby nie próbowała uciekać. Ani się wydzierać, żeby nie zwracała niczyjej uwagi.

Albo żeby nie spróbowała wbić ci korkociąg w gardło.

– Poznasz Connora, Tabby i resztę ekipy. Polubisz ich. Zwłaszcza Tabby, tak myślę. To żona Connora. Macie wiele wspólnego.

– Co takiego, pochwyt?

Spodziewam się ciętej riposty, ale on odpowiada:

– Nie, ona też miała swojego Dmitrija. – Zerka na mnie. – Tyle że był jej bratem.

Miała. Był. Czas przeszedł.

Moje serce zaczyna szybciej bić.

– I co się stało? – dopytuję.

Naz nie odwraca wzroku, za to ścisza głos.

– Connor się tym zajął. Podobnie jak ja zajmę się Dmitrijem.

Oszłamiona adrenaliną i kolosalnym nadmiarem emocji, przymykam oczy, opieram głowę o zagłówek i wypuszczam powietrze z płuc.

– Możemy przestać gadać? Muszę się skupić nad rychłym załamaniem nerwowym.

– Pewnie.

Słyszę jego głośny oddech, a po chwili czuję, jak jego masywna sylwetka przesuwają się na siedzeniu obok. Czuję też żar jego ciała, ciepło, które zawsze promieniuje z jego muskularnych kończyn. Tak bardzo chcę dotknąć jego ręki, że aż zbiera mnie na mdłości.

Jestem zepsuta na jakimś podstawowym poziomie.

Nadal go pragnę. Nadal coś do niego czuję.

Potrzebuję pomocy.

Jedziemy. Tracę poczucie czasu, zamiast minut liczę uderzenia serca, pozwalam, by odgłosy drogi mnie wyciszyły. Gdy samochód zatrzymuje się i zwalnia, otwieram nagle oczy i prostuję się, jak na sprężynie.

– Spokojnie – mówi Naz, patrząc na moją twarz, z której przed chwilą odpłynęła cała krew. – Jesteśmy na miejscu.

Muskam nasadą dłoni schowany w kieszeni korkociąg, w ostatniej chwili tłumiąc krzyk.

Kierowca spuszcza szybę i mówi coś do domofonu. Zatrzymaliśmy się przed wrotami z litej stali, po ich bokach ciągnie się wysoki, zwieńczony drutem kolczastym mur. Wrota nagle się otwierają i ruszamy dalej. Przed nami rozciąga się rozległy parking, a dalej stoi trzypoziomowy budynek z cegły, wszystkie jego okna są zaciemnione. Zbliżamy się do niego i moje przerażenie narasta. Parkujemy przed głównym wejściem, czyli szerokimi na przynajmniej trzy metry drzwiami z kutej stali.

Naz otwiera drzwi limuzyny, wysiada i podaje mi rękę.

Nie reaguję, więc schyla się i zagląda do środka.

– Nie dam rady – szepczę ochryple. – Nie zmuszaj mnie.

Zastanawia się, zaciskając usta, po czym ponownie się prostuje. Wyciąga z tylnej kieszeni cienki telefon i gdzieś dzwoni.

– Tak – mówi, nawiązawszy połączenie. – Ale, eee, nie moglibyście najpierw wy do nas wyjść? – Krótka pauza. – Myśli, że w środku jest Dmitrij. – Kolejna pauza. – No wiem, kurwa, ale jest, jak jest! – Przez chwilę słucha, a na koniec rzuca: – Zrozumiałem.

Rozłącza się i znowu do mnie zagląda.

– Connor i Tabby zejdą się przywitać.

Przywitać?

Gdy wielkie drzwi rozsuwają się na bezszelestnych prowadnicach, dostrzegam w nich mężczyznę, co dodatkowo potęguję moją grozę.

Jest od stóp do głów odziany w czerń, włącznie z wojskowymi butami i przypiętym do pasa pistoletem. Ciasno zaczesane przy czaszce włosy też ma czarne. Jego potężne ręce z wielkimi bicepsami są skrzyżowane na masywnym torsie. Nogi szeroko rozstawione. Ma przynajmniej dwa metry i waży minimum sto dwadzieścia kilo. Myślałam, że Naz jest duży, ale ten tutaj to prawdziwy gigant.

Na widok jego spojrzenia każdy seryjny morderca zesrałby się w gacie.

I wtedy obok niego staje uśmiechnięta, ruda kobieta. Wspina się na palce, całuje go w policzek i kolos rozplywa się na moich oczach. Patrzy na nią z góry, a jego sroga mina zamienia się w szeroki, pełen uczuć uśmiech.

Uśmiecha się z miłości, a może ze względu na jej komiczny strój.

Kobieta wygląda jak skrzyżowanie japońskiej harajuku z gotką. Rażąco rude włosy związała w dwa kucyki. Jej spódniczka jest prosta i całkiem grzeczna – wypisz wymaluj z katolickiej szkoły dla dziewcząt – gdyby tylko nie była tak krótka i obcisła. Jej żarówiasto-różowe pończochy sięgają do połowy ud, a zaraz pod nimi zaczynają się sznurowane na całej wysokości kozaki ze lśniącej skóry. Na jej szyi wisi obroża z masywnych ogniów, a jedną rękę, od nadgarstka po ramię, pokrywają tatuaże.

Lecz chyba najbardziej niedorzeczny jest odsłaniający brzuch, czarny T-shirt, przedstawiający kreskówkowego kota z różową kokardą na głowie.

Ta cała Tabby ewidentnie nie nosi stanika i ma przebite sutki.

Z miejsca ją polubiłam.

Podchodzi i wita się z Nazem, a potem pochyla się i zagląda do mnie.

– Mogę wsiąść?

– A masz ukrytą broń?

– Nie.

– Truciznę?

– Nie.

– Chlorofil, kajdanki, kneble?

– Nie. A jeśli chodziło ci o chloroform, to też nie – odpowiada rzeczowo.

– Och, no tak. Dobra, wsiadaj.

Tabby wślizguje się na szerokie, skórzane siedzenie i, nie zamykając drzwi, zwraca się do mnie z uśmiechem.

– Cześć, jestem Tabby. – Wyciąga rękę.

– Eva.

Wymieniamy formalny uścisk dłoni, jak na jakimś politycznym szczycie.

– Naz mówi, że boisz się, że w środku czeka Dmitrij. Zapewniam, że to nieprawda.

Ma piękne, przejrzyste zielone oczy, pociągnięte tuszem, by przypominały kocie. Do tego nogi tancerki. Gdyby nie ten obrazoburczy strój, mogłaby być najpiękniejszą kobietą, jaką widziałam.

Ale może o to właśnie chodzi. Nie każda kobieta chce uchodzić za „ładną”. Zwłaszcza jeśli jest mądra i ładna, bo wtedy większość ludzi z zasady ignoruje mądrość.

– Masz ładne buty – stwierdzam.

Prostuje jedną nogę z zadowoleniem.

– Słodkie, prawda? Kupiłam na wyprzedaży u Niemana. Nigdy nie mogłam u nich znaleźć szpil na platformach, ale mieli tę promocję na buty, więc pomyślałam sobie „a co mi szkodzi, do cholery, pójdę się rozejrzeć”. No i jak widzisz, poszczęściło mi się. Kupiłam też białe.

– Skąd mam wiedzieć, że Dmitrij nie czeka na mnie w środku?

Moja nagła wolta wcale nie zbiła jej z tropu. Przechyliła głowę, zastanawia się przez chwilę, i mówi:

– Znikąd. Czułabyś się pewniej, gdybyśmy ci dali spluwę?

– Tak... – odpowiadam, gdy minął pierwszy szok.

– Umiesz używać półautomatycznego glocka?

– Umiem obsługiwać wszystko, co strzela.

– Już cię lubię – mówi, uśmiechając się ponownie, po czym obraca się i krzyczy przez drzwi: –

Kochanie! Jesteś potrzebny!

Connor przetacza się w naszą stronę, opiera wielkie łapska na kolanach i zagląda do środka.

– Daj swój pistolet – mówi Tabby.

Connor zerka na nią, potem na mnie i znowu na nią.

– Księżniczko... – zaczyna niepewnie.

– No dawaj, tumanie, chyba że masz ochotę spać dziś na kanapie.

Mężczyzna na moment przymyka oczy, kręci głową z niedowierzaniem i znowu się prostuje. Następnie odpina od pasa masywny pistolet i wręcza go Tabby.

Ta obraca się do mnie i opisuje mi techniczne elementy obsługi i zabezpieczania glocka. Brzmi, jakby wkuła na pamięć instrukcję producenta. Skończywszy, przekazuje mi broń leżącą na jej dwóch dłoniach.

– Sama wolę trzydziestkę ósemkę, ale moje kochanie uważa, że sześciostrzałowce są dla dziewczynek. A może – dodaje ze słodkim uśmiezkiem – faceci po prostu potrzebują dwa razy więcej naboí, żeby załatwić swoje sprawy.

Mogłabym się zakochać w tej kobiecie.

– Dziękuję – mówię, przyjmując glocka. Wzdycham ciężko. – Naprawdę czuję się pewniej.

Sprawdzam komorę i rzeczywiście jest w niej nabój. Sprawdzam magazynek, pełny. Nachylam się i chowam pistolet za paskiem na plecach.

– Teraz chciałabym wziąć cię do środka i oprowadzić, a jak trochę odpoczniesz, usiądziemy i wszystko omówimy. Mamy tu pokoje, możecie z Nazem zostać na kilka dni, zanim...

– Nigdzie z nim nie zostaję – wtrącam.

– Okej. – Tabby wzrusza ramionami. – Chodzi mi o to, że mamy tu przestrzeń, gdybyś chciała odetchnąć, zanim przygotujemy kryjówkę.

– Kryjówkę?

Tabby wyczuwa moje wahanie i spogląda na mnie ze zrozumieniem.

– Wiem, że to do dupy. Ale ostatecznie sama musisz wybrać, czy chcesz naszej pomocy. Nikt nie będzie cię do niczego zmuszał. – Jej głos łagodnieje. – Jestem pewna, że przymusu masz już dość. – Odwracam wzrok, a ona wraca do rzeczowego tonu. – W każdym razie, powinnam cię poinformować, że twoje szanse na przetrwanie samej ponad trzydziestu dni wynoszą w przybliżeniu dwanaście procent.

Obracam gwałtownie głowę i patrzę na nią pytająco, ale ona tylko wzrusza ramionami.

– No jedenaście kropka dziewięć, zaokrągliłam. Chodzi o to, że Dmitrij dysponuje rozległymi zasobami, a ty jesteś sama. No, chyba że będziesz z nami, na co liczę.

Zalewa mnie fala emocji i nim odezwę się ponownie, muszę kilkakrotnie przełknąć ślinę.

– Zatrudnił Naza, żeby mnie szpiegował.

– Uściślając, zatrudnił nas, a my zatrudniliśmy Naza, ale masz rację.

– Więc jak mogę uwierzyć w choć jedno twoje słowo? Skąd mam wiedzieć, że nie chcecie mnie tu przetrzymać, dopóki po mnie nie przyleci? Skąd mam wiedzieć, że to wszystko jest prawdziwe?

– Słuchaj intuicji – odpowiada bez namysłu. – A potem zdecyduj. Jeżeli przez to porypane życie da się przebrnąć jakoś inaczej, to ja nie wiem jak.

Patrzy na mnie ze szczerym spokojem. Przypominam sobie, jak Naz powiedział, że Tabby miała swojego Dmitrija. Ciekawe, czy to też kłamstwo.

– Jak miał na imię? – pytam cicho, obserwując jej twarz.

– Kto?

– Twój ciemiężca.

Blednie. Jej źrenice się rozszerzają. Jej dłońmi wstrząsa skurcz, który opanowuje, łącząc je na kolanach.

– Søren. Był moim przyrodnim bratem. Był błyskotliwy, piękny, ale był też potworem. Zrobił wiele złego wielu ludziom... włącznie ze mną.

Mówi opanowanym głosem, ale pod powierzchnią spokoju wyczuwam ból i gniew. Wyczuwam stare rany, które wcale do końca się nie zabiły.

I w to naprawdę mogę uwierzyć.

– Ale przetrwałaś – stwierdzam. – I ja też przetrwam. Chodźmy do środka.

Otwieram drzwi i wysiadam na jasne słońce poranka. Naz i Connor czekają przy drzwiach budynku.

Obserwują mnie.

Czekają.

## ROZDZIAŁ 18

### Naz

Wysiada. Dzięki Bogu.

Mam u Tabby wielki dług.

Zachowując kamienną twarz, patrzę, jak Eva wysiada i od tyłu obchodzi limuzynę. Czeka na Tabby, potem zamyka za nią drzwi i podąża w miejsce, w którym czekamy z Connorem. Cały czas trzyma się blisko Tabby, a gdy się do nas zbliżają, posyła jej zaniepokojone spojrzenia.

Nie wiem, o czym rozmawiały w aucie, ale wygląda na to, że Eva jej zaufała.

A przynajmniej nie chce jej zabić, jak w moim przypadku.

– Eva, to Connor, mój mąż – mówi Tabby, wskazując na niego.

– Miło poznać – odpowiada Connor gromkim barytonem.

Eva bacznie mu się przygląda zza przymrużonych powiek.

– Nie daj się zwieść tym wszystkim macho-klimatom – wtrąca Tabby, machając lekceważąco w jego stronę. – To stuprocentowy cukiereczek.

– Cukiereczek-macho, kobieto – burczy Connor.

Tabby posyła mu buziaka.

– Tak, kochanie, super-ogier-cukiereczek-macho. O to mi właśnie chodziło.

– Hmrrr – sapie obłaskawiony Connor.

Tabby i Eva wymieniają spojrzenie, gęste od przeznaczonych wyłącznie dla kobiet sekretów, po czym ta pierwsza rzuca:

– Dobra, chłopaki. Wbijamy. Panie pierwsze.

Odsuwamy się na boki, żeby zrobić dziewczynom przejście i wchodzimy za nimi do środka. Gdy stalowe drzwi zamykają się za nami z głośnym łomotem, Eva się wzdryga, ale od razu prostuje plecy i hardo maszeruje dalej. Ponownie rozpiera mnie duma.

Spluwa Connora na pewno trochę ją uspokaja, ale mimo wszystko nie czuje się pewnie. Wiem, że to dla niej koszmarnie doświadczenie. Gdyby to ode mnie zależało, zaprowadziłbym ją do najbliższego wolnego pomieszczenia i tulił, dopóki nie poczułaby się lepiej... niestety wiem, że poczułaby się przez to gorzej.

– Głowa do góry, brachu – mruczy Connor, zerkając na mnie z ukosa. – Ma moją broń, a jednak cię nie zastrzeliła.

– Niemal żałuję, może wtedy poczułaby się lepiej.

Connor rechocze.

– Gdy nadejdzie ten czas, pozwól jej się na sobie wyżyć, a ty tylko siedź i potulnie kiwaj głową. Przypadkiem jej nie przerywaj. Jak już skończy, zgódź się na wszystko i dodaj, że jest piękna i że na nią nie zasługujesz. Wtedy poczuje się lepiej.

– W twoich ustach to wydaje się takie proste.

– Och, potem i tak może cię zastrzelić. Gwarancji nie ma. Ale tak czy owak poczuje się lepiej.

– Dziękuję za radę, mędrze – mówię cierpko.

– Żaden problem, brachu. Zawsze możesz na mnie liczyć – odpowiada i wali mnie łapskiem w ramię.

Gdy Tabby prowadzi nas w centrum siedziby firmy, staram się oglądać budynek oczami Ewy, czyli człowieka, który jest tu pierwszy raz. Sufity są wysokie, światła przyćmione, panuje lekki chłód. Posadzki z polerowanego betonu mają subtelny, elegancki blask. Wzdłuż północnej ściany ciągnie się rząd czarnych komputerów, które stale mrugają diodami i przyjemnie mruczą. Przy klawiaturach siedzą kolesie w słuchawkach na uszach, którzy gapią się w nagrania i dziesiątki ekranów, wiszących na wschodniej ścianie. Ogólnie można odnieść wrażenie, że to jakaś miejscówka z Mission Impossible albo

Tożsamości Bourne'a.

Skręcamy kilka razy i docieramy do gabinetu Connora – to tu odbyłem rozmowę kwalifikacyjną. Pomieszczenie, jak i jego właściciel, jest wielkie, przytłaczające i całe czarne.

Eva zatrzymuje się tuż za progiem i ogarnia wszystko byстрыm spojrzeniem. Jej sylwetka nadal jest spięta, a mina podejrzliwa, ale zauważywszy, że w gabinecie nikt na nią nie czeka, wyraźnie się rozluźniła.

Musiała się nastawić, że za wielkim dębowym biurkiem Connora będzie siedział Dmitrij.

– Zechcesz usiąść?

Tabby wskazuje jej jedno z wielkich krzesel przed biurkiem Connora.

– Postoję.

Eva cofa się o kilka kroków i przykleja plecami do ściany, w pobliżu otwartych drzwi. Nadal jest w pogotowiu. Aż ściska mnie w dołku na widok tego, co musi przechodzić.

– Nasir, ty siadaj tu. – Tabby wskazuje mi krzesło w rogu, naprzeciwko drzwi, jak najdalej od Ewy. Sama przycupnęła na krawędzi biurka męża, który w międzyczasie osadził cielsko w kapitańskim fotelu, odchylił się wygodnie i splótł palce na brzuchu.

Wszyscy po prostu patrzymy na Evę i czekamy.

Oblizuje wargi, bierze głęboki wdech i pyta:

– Ile Dmitrij wam płacił?

Naprawdę nie ma pojęcia o prowadzeniu luźnych rozmów.

– A jakie to ma znaczenie? – pyta Connor.

– Chcę wiedzieć, za ile można kupić duszę Nasira – odwarkuje.

Connor posyła mi ostrzegawcze spojrzenia, bo zauważa, że cały zeszywniałem. Zmuszam się do rozluźnienia mięśni i oparcia się na krzesło, choć mam ochotę zerwać się na nogi i wrzeszczeć.

– Pozwól, że coś wyjaśnię, żebyśmy wszyscy dobrze się rozumieli – zaczyna Connor, skupiając uwagę na Ewie. – Żadne z nas nie wiedziało, co Dmitrij ci zrobił. Gdybyśmy wiedzieli, nie przyjęlibyśmy zlecenia. Jest synem mojego stałego klienta, więc...

– Znasz Viktora? – przerywa mu zaskoczona Eva.

– Znam. To spoko gość. Nie mam pojęcia, jakim cudem jego synalek tak się wykoleił, no ale gównie chodzi po ludziach. – Na chwilę zawiesza głos, po czym dodaje: – Widzę, że chyba też go znasz.

Eva wbija wzrok w podłogę i wyjaśnia cichym głosem.

– Spotkaliśmy się kilka razy. Zawsze był dla mnie przyjazny. Nie sądzę, by wiedział...

– Ja też nie sądzę – wtrąca Connor. – W każdym razie przyjęliśmy zadanie od Dmitrija wyłącznie przez wzgląd na Viktora, bo powiedział, że jego syn ma kłopoty i potrzebuje pomocy. Nawet nie wiem, czy wiedział, o co chodzi, ale ja złapałem za telefon i zadzwoniłem. No i Dmitrij mi mówi, że jego żona uciekła...

– Żona?! – Eva podnosi oburzone spojrzenie. – Nie jesteśmy małżeństwem!

– Teraz już to wiemy – mówi spokojnie Tabby.

Eva patrzy na mnie. Widzę, że właśnie dodaje dwa do dwóch, więc przygotowuję się, że zaraz mogę oberwać kulką w klatę.

– To Nasir się uparł, żebyśmy olali tę robotę – stwierdza Connor stanowczo. Też zauważył, że w każdej chwili mogę pożegnać się z życiem. – Gdyby do mnie nie zadzwonił i nie powiedział, że zlecenie śmierdzi gównem i że trzeba je dokładniej sprawdzić, to teraz byś tu nie stała.

– Nie, nadal żyłabym na Cozumel, pod okiem człowieka, któremu zaufałam.

– Jeżeli mu nie ufasz, to wcale nie jesteś taka mądra, jak myślałam – mówi Tabby z tak idealnie wymierzoną siłą w głosie, by wszyscy inni się zamknęli.

Kobiety mierzą się wzrokiem. W gabinecie aż iskrzy.

– Postaw się na moim miejscu – mówi w końcu Eva posepnie. – Wasz klient przez siedem lat mnie więził, bił i gwałcił.

Wydaję z siebie stłumione jęknięcie. Eva przebija mnie swoim ostrym jak brzytwa spojrzeniem i tnie do samego szpiku kości.

– Tak, byłam gwałcona. A może myślałaś, że sama o to błagałam?



– Kochana... – wzdycham.

– No już, brachu – wtrąca natychmiast Connor.

Eva wraca spojrzeniem do Tabby.

– Więc, tak jak mówiłam, moje życie było piekłem, ale, po wielu próbach zdołałam uciec. I układałam sobie nowe życie. Dostałam pracę. Wynajęłam mieszkanie. Mogłam oddychać. Po kilku miesiącach zdarzały się nawet noce bez koszmarów. Jest już znacznie lepiej, ale... – zawiesza głos, nabiera powietrza w płuca – ... jestem samotna. Moja matka nie żyje, nie potrafię nawiązywać przyjaźni, bo jestem złamana psychicznie i nie mam żadnych nadziei na normalny związek z mężczyzną. I wtedy zjawia się on. I... jest wszystkim tym, czym jest. – Wzdycha. – Czuję się szczęśliwa. Czuję się bezpieczna. A potem dowiaduję się, że to wszystko kłamstwo, bo jest opłacany przez samego diabła.

Nie patrzy na mnie. I zapewne to dobrze, bo wiem, że gdyby teraz na mnie spojrzała, wyskoczyłbym z krzesła i pobiegł prosto do niej.

– Okej, po pierwsze – mówi Tabby po chwili ciszy. – Wcale nie jesteś złamana, co najwyżej... nadwyrężona. – Eva parska chropowatym śmiechem i wyciera oczy. – Po drugie, teraz ty postaw się na miejscu Nasira.

Eva rozdyma wściekle nozdrza, ale niezrażona tym Tabby kontynuuje:

– No, postaw się. Bo sprawa wygląda tak, że... – tu wskazuje na mnie palcem – ...ten człowiek zaryzykował dla ciebie życie. Jak myślisz, co zrobi Dmitrij, kiedy się dowie, że Nasir zwiął i zabrał cię ze sobą? Machnie na to ręką i odpuści?

Eva zaciska zęby, ale się nie odzywa.

– Czyli się zgadzamy – mówi dalej Tabby. – I to był punkt numer dwa. Numer trzy, Nasir przerwał całą operację, gdy tylko usłyszał, jak cierpiełaś. A z tego, na ile zdążyłam go poznać, wnioskuję, że nie wyobrażasz sobie, jak się biczuje za to, że wziął udział w spisku Dmitrija.

Tabby przerywa, żeby Eva przyswoiła jej słowa. Mój żołądek skręcił się w tyle węzłów, że chyba już nigdy go nie rozplączę.

– Więc tak wyglądają fakty – podejmuje Tabby. – Dmitrij nam powiedział, że jego rozpieszczona, gówniarska żona uciekła. Kolejny raz. Że wie dokąd i po prostu chce, żebyśmy jej trochę popilnowali. Powiedział, że chce jej dać trochę swobody. Że chce, żeby się wyżyła, spuściła nieco pary, ale musi być spokojny, że podczas tej całej, dziecinnej eskapady nic jej nie grozi. Brzmiał na szczerze zdruzgotanego twoją ucieczką. Więc, w ramach przysługi dla jego ojca, zgodziliśmy się przydzielić naszego człowieka do tego zadania.

– W tym miejscu powinnam nadmienić, że to pierwsza robota Nasira dla Metrix, więc raczej się nie łudził, że zachowa posadę, gdy postanowi nawiać z żoną klienta. Ryzykował więc nie tylko życiem, ale też pracą, a może nawet całą karierą. Bo gdybyśmy tylko chcieli, to moglibyśmy z Connorem wprowadzić kilka subtelnych zmian w jego kartotece policyjnej i zamknąć przed nim wszystkie możliwości zatrudnienia.

Eva mruga, przenosząc pytające spojrzenie na Connora, który wyjaśnia:

– Wpisujesz gostokowi w papiery kilka wyroków za pedofilię i ma po robocie.

– Rany, dzięki – wtrącam. – Muszę pamiętać, żeby nigdy wam nie podpaść.

– Eva, ja rozumiem, przez co przechodzisz – kontynuuje Tabby, już łagodniejszym tonem. – Naprawdę. Proszę tylko, żebyś spojrzała na wszystko szerzej. Zanim całkowicie go skreślisz, daj sobie chwilę, niech twój mózg na spokojnie przyjrzy się faktom. Bo zapowiadacie się na przeuroczą parę. – Eva patrzy na nią zszokowana, na co Tabby wzrusza ramionami. – No co, jest w tobie zabujany po uszy. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Eva przenosi pełne zdumienia spojrzenie na mnie. Mógłbym udusić Tabby za tę zagrywkę, ale nie potrafię skupić się na niczym innym poza wzrokiem Ewy.

– Siedź na miejscu, brachu – mamrocze Connor, zauważając, jak na nią patrzę.

Zaciskam dłonie na podłokietnikach, z najwyższym trudem zmuszam się, by nie wstać.

Eva przymyka oczy, przeczesuje włosy palcami i bierze głęboki wdech. Po chwili wydmuchuje powietrze z płuc i spuszcza ręce wzdłuż ciała.

– Chyba muszę się napić.

- Ja nie piję, ale chłopcy mają w kuchni pełne zaopatrzenie – odpowiada Tabby.
- Nie pijesz? – pyta Eva, marszcząc twarz. – No to przykro mi, nie zaprzyjaźnimy się.

Po kilku chwilach napięcia uśmiechają się do siebie. Musiałem wydać z siebie jakiś odgłos, bo Connor cedzi:

- Zostań.

Tabby wstaje i, nie oglądając się za siebie, bierze Evę pod rękę i wyprowadza z gabinetu, mówiąc:

- Czym lubisz się truć, dziewucho? Niech zgadnę, rumem?
- O tym też się wygadał?
- Gdzie tam. Po prostu jestem geniuszką. A powiedz mi, czy znasz Hello Kitty?

Skręcają za róg i znikają nam z oczu. Powietrze gromadzone w moich płucach przez całą tę rozmowę wylatuje z głośnym świstem.

Connor obraca się w fotelu i patrzy na mnie.

- Moim zdaniem poszło nieźle.
- Wy tłumacz to mojemu ciśnieniu. Chyba mam stan przedzawałowy – burczę.
- Masz pięć minut, żeby pozbierać się do kupy, bo czas pogadać o interesach.

Wstaję i zaczynam łązić po gabinecie, bo mam dość siedzenia.

- No to pogadajmy.

Nie znam człowieka, który potrafi trwać w bezruchu lepiej niż Connor. Obserwuje, jak się miotam, jedynie delikatnie ruszając gałkami oczu. Wszystkie jego mięśnie są rozluźnione, a jednak człowiek czuje, że drzemie w nim agresja, tyle że trzyma ją na smyczy. Chciałbym mieć tę umiejętność, zwłaszcza teraz.

- Zastanawiałeś się, co zrobisz z Dmitrijem?

Obracam się na pięcie i wbijam w niego wzrok.

- Tak, zastanawiałem się. Zdejmę go.

Connor wznosi oczy w sufit, jakby liczył na boską pomoc.

- Co za niespodzianka.

- No chyba nie myślisz, że dam mu się z tego wywinąć?

– Nie. – Patrzy mi w oczy. – Wiedziałem, co będziesz chciał zrobić, nawet zanim poznałeś szczegóły gówna, które jej robił.

Wyciąga z górnej szafki biurka teczkę i przesuwa ją po blacie w moją stronę. Biorę ją i przeglądam strony raportu.

Siadam.

– Prochy. Broń. Handel ludźmi – wylicza Connor. – Nasz chłoptaş obraca wszystkim. I to na wielką skalę.

Przeglądam się czarno-białym, ziarnistym zdjęciom Dmitrija. Na jednym ogląda kontenery z bronią w jakimś magazynie, na drugim stoi na nabrzeżu i wraz z trzema innym facetami patrzy w jakieś papiery, na trzecim gapi się na sześć wystraszonych dziewczyn, ustawionych w rzędzie przy krawężniku przed nocnym klubem.

- Skąd masz te zdjęcia?

– Tabby potrafi zhakować każdą kamerę na tej planecie. I każdego orbitującego wokół tej planety satelitę. I w ogóle wszystko, skoro już przy tym jesteśmy. – Patrzę na niego, unosząc brew, ale zbywa mnie uśmiechem i kontynuuje: – Włamała się kiedyś do głównego systemu Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, więc zaproponowali jej robotę. Więc teraz hakuje przy pełnej aprobacie rządu Stanów Zjednoczonych. Wuj Sam kocha każdego, kto potrafi wywlec najgłębiej zanurzone gówno.

- Bez wątplenia... – mruczę, myśląc o ojcu.

– Niemniej stoimy przed dwoma problemami. Po pierwsze, jego ojciec. Jeżeli Dmitrijowi coś się stanie, nikt nie ma prawa nas z tym skojarzyć. Jeżeli ma choć blade pojęcie, jak jego synalek jest ubabrany, to gdy morze wyrzuci jego zwłoki na jakiejś malowniczej plaży, uzna, że załatwił go ktoś inny z półświatka. Natomiast instynkt mi podpowiada, że Viktor o niczym nie wie, więc musisz upozorować wypadek.

- Da się zadawać cierpienie bez pozostawiania śladów na ciele – stwierdzam mrocznie.
- Otóż to – przytakuje Connor z uśmiechem. – Po drugie, Dmitrij nie może się ciebie spodziewać, a co za tym idzie, nie ma prawa wiedzieć, że z tobą, Evą i całą operacją coś nie gra.
- A to z kolei oznacza, że muszę ładować dupsko do samolotu do Rosji przed terminem złożenia kolejnego raportu.
- Właśnie.
- Czyli mam sześć dni.
- Okej, czyli mamy trochę czasu. – Connor bębni palcami w blat biurka i uśmiecha się coraz szerzej. – Sugeruję, żebyś wykorzystał go na zapoznanie się z kwiatami, które kwitną o tej porze roku i z rzemiosłem komponowania sonetów.
- Masz z tego radochę, prawda? – pytam, piorunując go wzrokiem.
- Szczerzy się od ucha do ucha.
- Brachu, po prostu miło od czasu do czasu nie być jedynym gościem pod pantoflem.
- Mam przejebane, ale i tak uśmiecham się szeroko.
- Jezus Maria.
- A żebyś wiedział. – Wstaje. – Znajdziemy ci jakieś żarcie, a potem pokażę ci, gdzie możesz się kimnąć. Wyglądasz, jakbyś potrzebował drzemki. Nieodwzajemniona miłość jest zabójcza dla nadnerczy.
- Dlaczego mam wrażenie, że już nigdy nie przestaniesz mi cisnąć.
- Bo nie przestanę – parska. – Pogódź się z tym, brachu.
- Cieszę się, że dobrze się bawisz – burczę i idę za nim do kuchni.

## ROZDZIAŁ 19

Eva

Tabby szybko oprowadza mnie po reszcie poziomu głównego, po czym wsiadamy do windy. Wcisnęła guzik podpisany „Double take” i zaczynamy zjeżdżać.

– Jedziemy w dół? – pytam zdumiona.

– Pod głównym poziomem są jeszcze cztery, każdy kolejny lepiej zabezpieczony.

Przyglądam się dokładnie panelowi z guzikami. Każde piętro zamiast numeru ma nazwę. Poziom trzeci od dołu „Round house”, drugi „Fast Pace”, a pierwszy, czyli najniższy „Cocked pistol”.

Rozpoznaję te nazwy z wykładów o geopolityce na studiach. Pamiętam, że zrobiły na mnie wtedy spore wrażenie, bo uznałam określenie stanu niemal nieuchronnej wojny nuklearnej mianem „Cocked pistol” za bardzo amerykańskie. Kojarzyło się to wszystko z dzikim zachodem, z beztroską, typową dla macho nonszalancją, dzięki której potencjalną śmierć miliardów istnień można skojarzyć z hollywoodzkim filmem przygodowym i kowbojami, szykującymi się do rewolwerowego pojedynku na zapyłonej ulicy przed saloonem.

– To DEFCON, poziomy gotowości bojowej.

– Bardzo dobrze – mówi Tabby, uśmiechając się. – Główne piętro, z którego właśnie zjeżdżamy, to oczywiście „Fade out”, czyli najniższy stan gotowości, niemniej w porównaniu do każdego „normalnego” budynku i tak jest ekstremalnie zabezpieczone. W murze przy stalowych wrotach, którymi wjechaliście z ulicy, są zamontowane dwa karabiny maszynowe. Wzdłuż perymetru działki roi się od materiałów wybuchowych i pułapek, więc nawet jeśli ktoś pokona mur i drut kolczasty, czekają go liczne niespodzianki. Wystająca nad ziemię część budynku głównego jest odporna na eksplozje, ostrzał i może działać jako schron i centrum dowodzenia przez cztery tygodnie od wybuchu jądrowego. A gdyby zrobiło się naprawdę niebezpiecznie, to na najniższym poziomie możemy przetrwać nawet pięć lat.

– Naprawdę niebezpiecznie? – pytam z niedowierzaniem.

– No wiesz, jakiś armageddon czy coś – parska i macha lekceważąco dłonią. – Mój misiu ma słabość do porządnych przygotowań.

Nie potrafię zdecydować, czy czuję się dzięki temu lepiej, czy jeszcze gorzej.

Drzwi windy się rozsuwają i wchodzimy w jasno oświetloną przestrzeń z otwartą kuchnią, jadalnią, salonem i wielkim telewizorem zawieszonym na jednej ze ścian. Od przeciwległej ściany odchodzi korytarz z kilkoma drzwiami. Tabby wyjaśnia, że to sypialnie gościnne.

– Jeżeli zależy ci na prywatności, to każdy pokój zamyka się na szesnastocyfrowy kod, więc przez cały pobyt nikt nie będzie zwracał ci głowy.

*Szesnaście cyfr. Jak w tej kryjówce na Kubie.*

– Nie pamiętam tylu cyfr.

– No to wybierz sobie cztery i powtórz kombinację czterokrotnie. Lodówka jest pełna, zamrażalnik i spiżarnia również, ale gdybyś miała ochotę na coś konkretnego, daj znać. W każdym pokoju jest komputer z bezpiecznym łączem internetowym, ale informuję, że monitorujemy cały ruch w sieci. – Jej uśmiech robi się nieco prowokujący. – Powinnaś zajrzeć na każdą stronkę z pornolami, jaka tylko przyjdzie ci do głowy. Chłopaki na górze oszaleją.

Przypominam sobie szeregi facetów o granitowych szczękach, pracujących przy komputerach.

– Nie przepadam za porno.

– Ja też nie – wzrusza ramionami. – Ale śmiesznie raz na jakiś czas narobić nieco fermentu.

*Connor musi z nią mieć pełne ręce roboty.*

Tabby pokazuje mi wszystkie pokoje i mówi:

– No, to na pewno wpadniesz na jakieś pytania, których wolałabyś nie zadawać przy chłopcach. – Wskazuje na jedną z wielkich kanap z czarnej skóry, które stoją w salonie. – Usiądziemy?

– Dzięki, ale chyba jestem zbyt spięta, żeby siedzieć.

– Okej, to przyniosę ci tego rumu.

Idzie do kuchni, wyciąga z szafki butelkę i nalewa do szklanki miarkę bursztynowego płynu.

Wraca, wręcza mi trunek, po czym siada po turecku na oparciu najbliższej kanapy i uśmiecha się szeroko.

Biorę głęboki łyk, rozkoszuję się paleniem w gardle i żołądku. Straszne, ale zauważyłam, że to nie Mount Gay, na szczęście szybko zapominam o tej błahostce i skupiam się na Tabby.

– Jak długo Naz mnie obserwował?

– Jedenaście tygodni.

Prawie upuszczam szklankę. Jakby kopnęła mnie w brzuch swoimi szpilami na koturnach. Dochodzę do wniosku, że stanie jest przereklamowane, opadam więc na miękkie krzesło i koncentruję się na oddychaniu, bo nagle stało się dość trudne. Biorę kolejny łyk.

– Czyli prawie przez cały mój pobyt na wyspie.

– Tak. Dmitrij mógł śledzić każdy twój ruch, gdy tylko namierzył twoją fałszywą tożsamość użytą przy wylocie z Rosji. Zatrudnił nas zaraz po twoim lądowaniu w Cozumel. Później Nasir musiał cię tylko namierzyć, a to już drobnostka. – Patrzę na nią ostro, więc dodaje pojednawczo: – Jest bardzo dobry w swoim fachu.

*Nie rzygaj jeszcze, bo prawdopodobnie będzie coraz gorzej.*

– Mówił, że musiał składać „raporty”. Na czym to polegało?

– Co tydzień łączył się z Dmitrijem przez Skype. Nasir opowiadał, co porabiałaś i przysyłał mu zdjęcia...

– Zdjęcia?! – wypalam przerażona. – Robił mi też zdjęcia?!

– Tak – odpowiada zupełnie nieporuszona Tabby.

– W jakich sytuacjach.

– Dowolnych.

Krew odpływa mi z twarzy i Tabby chyba się domyśla, co sobie wyobrażam.

– Nie... nie robił ci zdjęć w domu... – zawiesza głos, przygląda mi się przez chwilę.

– O, Boże. Co to za spojrzenie?

– Bo, z drugiej strony, założył ci podsłuch w komórce i keyloggera w laptopie, więc mógł śledzić, co robisz w sieci.

Przełykam ślinę, czuję, jak kwas podchodzi mi do gardła.

– Żeby to zrobić, musiał wejść do mojego mieszkania, prawda?

– Prawda.

– W pierwszym dniach po przyjeździe na wyspę założyłam sobie system bezpieczeństwa.

– Ktoś o odpowiednich umiejętnościach bez trudu może go obejść.

Zamykam oczy i gorzko wzdycham.

Wydalam na zabezpieczenie mieszkania i laptopa kilka tysięcy. Z pieniędzy, które przemyciłam w próżniowych workach poupychanych w wodoodpornej torbie, gdy wyskakiwałam z jachtu Dmitrija w środku nocy. Z pieniędzy, które chomikowałam latami. Z pieniędzy, które ogromnie mnie spowalniały, gdy walczyłam z widmem hipotermii, płynąc do brzegu. Gdy każdym moim mięśniem targały skurcze, a płuca płonęły z braku powietrza i zmęczenia.

I wszystko na nic.

– Więcej rumu? – pyta Tabby ze współczuciem.

– Tak – odpowiadam, otrzepując się z mdłości. – Poproszę.

Kiedy Tabby uzupełnia moją szklankę, siedzę z twarzą w dłoniach.

– Zakładam, że rejestrowaliście te rozmowy na Skypie – mówię po dłuższej chwili milczenia.

– Owszem.

– Chcę je obejrzeć.

– Naturalnie – odpowiada bez wahania, co zaskakuje mnie na tyle, że podnoszę głowę i patrzę na nią pytająco. Spodziewałam się, że zaprotestuje.

– Dostaniesz też rozmowy, które Nasir prowadził z nami – mówi spokojnie. – Będziesz miała pełny ogląd sytuacji. I wtedy zdecydujesz, czy na pewno chcesz odejść w swoją stronę.

– Chyba jesteś pewna, że nie będę chciała.

Tabby z namaszczeniem zakręca butelkę rumu, odstawia ją na stoliczek z boku, po czym siada na krześle naprzeciwko i patrzy na mnie szczerym wzrokiem.

– Jestem pewna, bo widzę, jak na niego patrzysz, choć oczywiście jesteś wściekła i zraniona. Jestem tym bardziej pewna, bo widzę, jak on patrzy na ciebie, słyszę, co o tobie mówi i wiem, że bez mrugnięcia okiem zaryzykowałby dla ciebie własnym zdrowiem.

Parska cichym, gorzkim śmiechem.

– Czyżby? Myślisz, że ta historia będzie miała szczęśliwe zakończenie?

– Myślę, że oboje tego chcecie. Choć z początku będziesz też chciała, żeby troszkę się popłaszczę.

– Więcej niż troszkę – burczę, dopijając rum.

– Prześlę ci pliki na dropboxa – mówi Tabby, wstając. – Jest zainstalowany na wszystkich komputerach w naszych sypialniach. Zaloguj się z głównego ekranu hasłem: „suki górą”. – Posyłam jej zdezorientowane spojrzenie, więc dodaje: – To długa historia. Jeżeli będziesz chciała się ze mną skontaktować w jakiejś sprawie, wybierz mój numer z klawiatury na ścianie. Dostaniesz te pliki za jakieś dziesięć minut.

Obraca się, by odejść, ale w ostatniej chwili zatrzymuje się i mówi:

– A przy okazji, gdy się poznaliśmy, nienawidziłam Connora z płonącym żarem o sile tysiąca słońca. Wyboiste początki są wpisane w historię każdego wielkiego romansu.

– Tabby, jeśli się okaże, że to „wielki romans”, to wytatuuję sobie twoje imię na dupie – odpowiadam sceptycznie.

Odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

– Super! Znam wybitną artystkę-tatuażystkę. Zaraz zadzwonię, żeby brała się za pracę nad projektem.

Obraca się i odchodzi, bujając kucykami i stukając szpilekami.

\*\*\*

Co prawda nie ma jeszcze południa, ale przed zwiedzaniem sypialni postanawiam wzmocnić się trzecią szklaneczką rumu. Alkohol daje mi przyjemne mrowienie, pozwala rozluźnić spięte mięśnie ramion. Z tego, co jak na razie zobaczyłam i usłyszałam, Tabby i Connor wydają się wiarygodni, choć ręki bym sobie nie dała uciąć.

Wiem aż za dobrze, jak zwodnicze bywają pozory.

Niemniej utknęłam w obcym kraju bez pieniędzy, dokumentów i miejsca, w które mogłabym uciec. Gdybym chciała, to potrafiłabym stąd zwiać, ale na razie ciekawość bierze górę nad paniką.

Muszę obejrzeć rozmowy Dmitrija z Nazem.

A poza tym, mam naładowaną spluwę. W najgorszym wypadku utoruje sobie ucieczkę bronią.

Wszystkie sypialnie mają identyczne wymiary i wystrój, więc wybieram tę położoną najdalej od głównego wejścia. Zamykam się kodem, staję na środku i omiatam baczny wzrokiem sufit oraz ściany, w poszukiwaniu kamer.

– A, walić to – mamrocę pod nosem. – Przecież byłaś już szpiegowana.

Siadam za niewielkim, drewnianym biurkiem w rogu pokoju i poruszam myszką, żeby wybudzić komputer. Ekran się rozświetla. Znajduję ikonę dropboxa i klikam.

*Wow, sporo tych plików.*

Przekopuję folder w poszukiwaniu najstarszego. Gdy otwieram, ekran zasypują zdjęcia, każde wyświetla się w odrębnym oknie.

– Dobry Boże... – mruczę przerażona.

Jestem na wszystkich.

Są ich setki, w tym jednym pliku.

Ogarnia mnie wściekłość, łapię za leżący obok, szklany przycisk do papieru i ciskam nim w przeciwną ścianę.

Pośród satysfakcjonującego huku rozbija się na miliony kawałeczków i dywan pokrywam

mgiełka lśniących, ostrych drobinek.

– Szkoda, że nie trafiłam cię nim w ryj! – wrzeszczę na całe gardło, patrząc groźnie na małą dziurę w ścianie.

Gdy nieco się uspokoiłam, siadam prosto i wracam do przeglądania plików. Znajduję pierwsze nagranie rozmowy Dmitrija z Nazem i, zanim je otwieram, biorę głęboki wdech.

Nagle twarz Dmitrija wypełnia cały monitor, zachłystuję się powietrzem i odruchowo kulę na krześle.

Moje walące serce zwalnia dopiero po kilku minutach. Słucham rozmowy, próbuję panować nad mdłościami i pilnuję, by nie patrzeć zbyt długo na twarz Dmitrija.

Te bezduszne błękitne oczy. Prawie wyparłam je z pamięci.

Zmuszam się, by obejrzeć całość do końca. Gdy się rozłączają, umówiwszy się na rozmowę za tydzień, zamykam wszystkie okienka ze zdjęciami i przechodzę do następnego folderu.

A kiedy kończę z nim, do następnego.

I do następnego.

I do następnego.

Zawsze to samo. Nagraniu rozmowy towarzyszą setki zdjęć, na których spaceruję, robię zakupy, pływam w ocenie, leżę na plaży. Im są nowsze, tym bardziej jestem opalona. Tym jaśniejsze od słońca mam włosy. Tym prostsze plecy. Na niektórych nawet się uśmiecham.

Obserwuję się z każdej możliwej perspektywy. Jak jem w restauracjach. Jak idę ulicą. Jak kupuję jedzenie, jak wchodzę po schodach do mieszkania, jak wykonuję tysiące codziennych czynności.

Zawsze samotnie.

Potem widzę, jak rozkwitam, niczym wystawiający płatki ku słońcu kwiat. Moja postawa jest coraz pewniejsza. Uśmiecham się na niemal każdym zdjęciu. Jestem wyraźnie szczęśliwsza, bardziej żywa.

W tym samym czasie zdjęcia robią się intymniejsze.

Znikają ujęcia z dystansu, na których jestem w odległym tłumie. Znikają zamazane, dalekie panoramy. Zdjęcia skupiają się niemal wyłącznie na mojej twarzy, a jeśli nie, to na ciele. Na jednym dominuje moja dłoń spoczywająca na owocu, mam na nim atrakcyjnie wygięty nadgarstek. Na innym bryza odsuwa rozcięcie w mojej spódnicy, odsłaniając nogi. Na kolejnym widać moją wygiętą w łuk szyję.

Z czasem zdjęcia stają się mniej sterylne, bardziej artystyczne. Nabierają ciepła, osobistej atmosfery. Ujmują grę światła w moich włosach, połysk mojej skóry, wszystkie drobne szczegóły, które ujawniają się tylko, gdy przyglądasz się komuś bliżej.

Jednym słowem, tchną uczuciem.

Biorąc pod uwagę upływ czasu, widać czarno na białym, że fotograf jest coraz bardziej zauroczony modelką.

Dmitrij widział te zdjęcia. Zauważył to samo, co ja? A jeżeli tak, to dlaczego nie zareagował?

Serce szaleje mi w piersi, jak uwięziony w klatce ptak.

Odnajduję numer Tabby na dużym, wbudowanym w ścianę panelu i naciskam guzik. Przez chwilę słyszę szum, a potem odzywa się jej głos.

– Hej, Eva.

– Powiedziałaś, że Dmitrij nikogo po mnie nie przysłał, choć wiedział, gdzie jestem, bo chciał mi dać trochę „przestrzeni”.

– Tak.

– To kłamstwo. On nie wierzy w takie rzeczy.

Tabby przez chwilę milczy.

– Więc jaką masz teorię? – pyta w końcu.

– Nie mam żadnej, ale na pewno chodzi o coś dobrze skalkulowanego.

– Może uznał, że... – Tabby delikatnie odchrząkuje – ...jeśli da ci trochę czasu, to po powrocie będziesz bardziej uległa.

Zamykam oczy, próbuję oddychać obolałymi płucami.

– Nigdy nie miał bardziej uległego zwierzątka ode mnie – szepczę.  
– Och, skarbie.  
Tabby głęboko wzdycha, jej głos jest niski. Doskonale wie, co mam na myśli.  
– Czy on już wie, że zniknęłam?  
– Na ile się orientujemy, nie wie. Nie kontaktował się z nami, a jego maile i ruch w internecie nie wskazują na nic podejrzanego.  
– A co z jego telefonem? Macie podsłuch?  
– Korzysta tylko z jednorazówek – odpowiada cierpko. – Goście z mafii bywają podejrzliwi.  
– Tak, wysoce podejrzliwi. I mają łeb na karku. A to prowadzi mnie do wniosku, że musiał zauważyć zmianę w zdjęciach Naza. – Tabby milczy tak wymownie, że aż krzyczy. – No nie mów, że ty też tego nie zauważyłaś...  
– Przystałam je oglądać po czwartym tygodniu operacji. Zawsze wyglądały tak samo i, szczerze mówiąc, czułam się przez nie nieswojo.  
– Bo nie masz kutasa. Włącz je sobie i obejrzyj, zwłaszcza najnowsze. Myślę, że od razu zrozumiesz, o co mi chodzi.  
– Naz cię uprzedmiotawiał? – pyta zaskoczona. – Robił zdjęcia twoich cycków i tak dalej?  
– Nie. Bardziej... Boże, jak to powiedzieć, żeby nie zabrzmieć idiotycznie?  
Tabby natychmiast łapie.  
– Bardziej... oddawał ci w nich cześć.  
– Muszę przyznać, że są dość erotyczne. – Czuję żar na policzkach. – Nie miałam pojęcia, że moje łokcie mogą być takie fascynujące.  
– Faceci – wzdycha Tabby.  
– Tak, aż dziw, że nie siedzą całymi dniami w domach i nie bawią się fujarkami.  
– Niektórzy tak robią – ponownie wzdycha. – Dobra, zerknę na te zdjęcia. Potrzebujesz czegoś? Połykam ostatnią kropelkę rumu ze szklanki.  
– Więcej rzeczy do rozwalenia. Przyślij kilka kryształowych waz.  
Tabby rechocze.  
– Connor chyba nie powinien wysyłać Naza na twoje piętro, tylko do „Cocked Pistol”.  
– On tu schodzi? – pytam, a mój puls wystrzeliwuje w kosmos.  
– Pewnie już zszedł. Zrób mi przysługę i nie postrzel go... śmiertelnie, dobrze? To jeden z moich ulubionych rekrutów.  
Chciałam odpowiedzieć, że niczego nie mogę obiecać, ale Tabby zdążyła się rozłączyć.



## ROZDZIAŁ 20

### Naz

Drzwi windy się otwierają. Wchodzę do głównego pomieszczenia i od razu przepelnia mnie rozczarowanie, bo po Evie ani śladu.

Kładę jej torbę na kanapie i idę do kuchni po szklankę wody. Opieram się o blat i piję, gdy wtem dostrzegam na stoliku po drugiej stronie pokoju butelkę rumu. W jednej trzeciej opróżnioną.

Super. Czyli jest wściekła, uzbrojona i do tego jeszcze pijana.

Kiepskie połączenie.

Gdy już mam odepchnąć się od blatu i ruszyć do jednej z sypialni, by wziąć prysznic, słyszę, że gdzieś w głębi korytarza otwierają się drzwi. Serce zaczyna łomotać mi w piersi, ale zostaję w miejscu, czekam.

Z prowadzącego do pomieszczeń sypialnych korytarza wyłania się Eva. Gdy mnie zauważy, zatrzymuje się nagle i... po prostu stoi, patrząc na moją twarz.

Ma zaciśnięte zęby. Błyszczące oczy. Przynajmniej nie trzyma broni.

Po chwili napiętej ciszy mówi:

– Czyli tamtego dnia, kiedy poznaliśmy się w tym zaułku, wcale nie kupowałeś narkotyków. – Powoli kręcąc głową. – Śledziłeś mnie.

– Tak.

Zamyka oczy i głęboko oddycha.

– Wiedziałam, że mi nie odbija.

Nie wiem, o co chodzi, ale wołę jej nie wkurzać i nie odzywać się niepytany, więc zamykam gębę na kłódkę i czekam.

Otwiera oczy i przesywa mnie wzrokiem.

– Tabby przysłała mi pliki.

– Jakie pliki?

– Twoje raporty. Wszystkie zdjęcia, które przesyłałeś Dmitrijowi i nagrania waszych rozmów.

– Czyli już wiesz! – mówię podniesiony na duchu, ale ona tylko unosi pytająco brew. – Gdy tylko powiedziałeś, że nie jesteście małżeństwem, przekazałem to Connorowi. A potem opowiedziałem mu o przemocy...

– Do tego jeszcze nie doszłam – przerywa mi bez emocji. – Byłam zbyt zajęta oglądaniem foteczek twojego autorstwa, które, z czasem, zmieniły się z zupełnie niewinnych w erotyczne.

Przypominam sobie, jak się czułem, kiedy ją fotografowałem. Jak zawsze mi stawał, gdy tylko śledziłem ją w obiektywie aparatu. Czuję ciepło na karku.

– Lubiłeś to, prawda?

– Co takiego?

– Obserwować mnie – mówi ciszej.

Kurwa mać. Przez dobrych piętnaście sekund kombinuję, jak odpowiedzieć, ale w końcu stawiam na nagą prawdę.

– Tak.

To wyznanie brzmi przenikliwie, przepelnia mnie żądzą.

Eva chyba nie wie, jak zareagować. Jej policzki nabierają kolorów, ale minę nadal ma czujną i opanowaną. Postanawiam zaryzykować i popchnąć rozmowę nieco w głąb niebezpiecznego terytorium.

– Myślałem o tobie. Cały czas. Codziennie. Myślałem o tobie bez przerwy, odkąd się poznaliśmy.

Przełyka ślinę, ale nic nie mówi, więc brnę jeszcze dalej.

– Ty o mnie nie? – pytam cicho.

Wsypa dolną wargę pomiędzy zęby, ale nie odpowiada.

Nie musi. Odpowiedź jest wymalowana na jej twarzy. Stawiam krok naprzód.

– Chciałem ci powiedzieć. Nienawidziłem siebie. Nienawidziłem całej tej sytuacji.

Kolejny krok w jej stronę, pragnę jej dotknąć.

– Naz – mów stanowczo, tętno pulsuje jej na szyi. – Naprawdę nie chcę rozwalić ci łba. Stój, gdzie stoisz.

Waham się, ale sądząc po wściekłości w jej oczach, uznaję, że nic więcej nie osiągnę. Odwracam się i wychodzę.

\*\*\*

Wysiadam z windy na głównym poziomie i maszeruję prosto do biura Connora, po drodze kiwając głową kilku napotkanym chłopakom. W firmie przez całą dobę roi się od specjalistów od wszystkiego, począwszy od informatyki, a skończywszy na taktyce partyzanckiej. To prawdziwy skarbiec twardzieli, a nasz szef jest najtwardszy ze wszystkich.

Przypuszczalnie większą twardzielką jest tylko jego żona, miłośniczka kreskówkowych kotów i cudacznych strojów.

Pukam do jego drzwi.

– Proceduj – odpowiada ze środka głęboki baryton, więc wchodzę.

Connor siedzi za swoim wielkim biurkiem, skupiony na rozłożonych na blacie przed nim teczkach. Podnosi wzrok, zauważa mnie, i patrzy jeszcze raz, dokładniej, mrużąc przy tym oczy, jakby oceniał mój wygląd.

Następnie rozpiiera się na krześle i szczyrzy od ucha do ucha.

– Brachu, mam wobec ciebie niewyobrażalny szacunek, ale nie komentuj, kurwa mać.

Odrzuca głowę do tyłu i wyje ze śmiechu. Rzuca trzymany w dłoni długopis na stertę papierzysk i wskazuje krzesło po drugiej stronie biurka.

– Zasiądź, żołnierzu. Nie chcę patrzeć, jak dorosły mężczyzna płacze, stojąc na baczność.

Siadam. Tymczasem on nadal szczyrzy się jak wariat. Po chwili śmiech przechodzi w rechot i w końcu mówi, kręcąc przy tym głową:

– Mam gdzieś w biurku chusteczki, jeśli chcesz, kochasiu.

– Dzięki, nie trzeba.

– No, dobrze wyglądasz. – Zaciska wargi, w jego czarnych oczach tańczy rozbawienie. – Wyluzowałeś się.

Patrzę w sufit i wzdycham.

– Jezus Maria, patrzysz na mnie jak moja żona – stwierdza, składając ręce na torsie.

Mierzę go przyjacielsko-zjadliwym wzrokiem.

– To cud, że oczy twojej żony nie utknęły gdzieś w potylicy, przez to, że musi przy tobie tak nimi przewracać.

– No, ona też tak mówi. Jesteście podobni jak dwie krople wody. – Macha lekceważąco ręką. – No, ale wiem, że nie przylazłeś tu gawędzić o mojej żonie.

– Nie, przyszedłem omówić plan gry.

Unosi brwi.

– Chcę to załatwić jak najszybciej. Wiem, że mam zameldować się Dmitrijowi za niemal tydzień, ale po drodze wiele może się wydarzyć.

– Na przykład co?

– Na przykład może wyskoczyć do Meksyku na spontaniczny urlop. Chuj go wie. – Connor kiwa głową i słucha mnie uważnie. – Ze słów Tabby mogłoby wynikać, że Dmitrij jest kuloodporny. Pewnie ma legion ochroniarzy, wyrafinowany system bezpieczeństwa w swojej posiadłości, kamery, psy, zasieki.

– Och, ma znacznie więcej, brachu. – Tym razem to ja unoszę pytająco brwi. – Zacznijmy od tego, że koleś zamontował na dachu swojego pałacu pociski przeciwlotnicze...

– Pałacu?!

– A co? – pyta kpiąco. – Myślałeś, że mafioso pomieszkuje w M2 na przedmieściach?  
– Kurwa mać – burczę pod nosem.  
– No, więc pociski przeciwlotnicze. Do tego bardzo czułe sensory ruchu. Stała obserwacja i w piździec ludzi. Posiadłość, która dodatkowo jest otoczona murem, ma jeszcze kontrolę dostępu. Podziemne czujniki. Mikrofalowy system wychwytywania intruzów...

– Dobra, czaję, czaję, Chryste – burczę.  
– Więc pytanie brzmi, jak najlepiej się przez to wszystko przebić?  
Connor ma spokojny wzrok i kamienną minę, ale ja już znam odpowiedź.  
– Nie da się.  
– Bingo.  
Robię się zbyt nerwowy, żeby usiedzieć na tyłku, więc wstaję, biorę się pod boki i zaczynam łązić.

– No to go wywabimy. Odbierzemy mu przewagę gry na własnym boisku. Jakies pomysły?  
Odpowiada mi cisza, więc obracam się na pięcie i patrzę na niego. Odpowiada mi nachmurzonym spojrzeniem, ma lekko opuszczoną głowę, ale jego mina mówi: no skumaj wreszcie.  
Lód ścina mi krew w żyłach.  
– Nie. Bezdyskusyjnie. Nie, za chuj, nie ma, kurwa, ja pierdolę, opcji.  
– Brachu, jeśli chcesz złapać mysz, potrzebujesz kawałeczka sera – mówi łagodnie.  
– Tak? – parskam jadowicie. – A użyłbyś Tabby w roli tego... sera? – Mina mu rzędzie. – Tak myślałem. Proszę o opcję numer dwa.  
Connor wzdycha, jakbym zachowywał się nierozsądnie.  
– Cóż... zawsze możesz do niego zadzwonić i opowiedzieć, jak się sprawy mają.  
– Sprawy?  
– Tak, sprawy. „Hej, ziomek, olałem robotę i zabrałem twoją kobietę, bo okazała się tak sexy, że nie mogłem się powstrzymać. Chcesz mnie dorwać? No to chodź”. Coś w tym guście.  
Obserwuję go zza zmrużonych powiek, zastanawiam się.  
– Ma to pewien powab, klimacik dzikiego zachodu?  
– Tak? – pyta z bananem na twarzy. – Też to czujesz?  
– Co się tak cieszysz?  
Wzrusza ramionami.  
– Dawno nie brałem udziału w fajnej burdzie. Ciągłe gapienie się w ekran po pewnym czasie zaczyna nudzić. Muszę dbać o naoliwienie biegów, jeśli wiesz, o czym mówię.  
Robię jeszcze jedną rundkę po gabinecie, próbuję ułożyć sobie to wszystko w głowie.  
– Z drugiej strony zaprzepaściłbym element zaskoczenia. No i mówiłeś, że jego ojciec nie może wiedzieć, że mamy z tym cokolwiek wspólnego.  
– Racja – odpowiada, w jego głosie słychać nutę rozczarowania.  
– Więc wracamy do punktu wyjścia. Wiemy cokolwiek o jego zwyczajach? Kiedy wyjeżdża z domu, dokąd jeździ, cokolwiek?  
– Nie. Ale znamy kogoś, kto wie. – Zerkam na niego i od razu dodaje: – Kto lepiej od niej zna jego nawyki?  
– Nie chcę jej w to wciągać.  
– A nie sądzisz, że chciałyby przyłożyć rękę do powodzenia tej misji? Pomóc się go pozbyć i równocześnie ułatwić ci zadanie? Jak się poczuje, jeżeli wkroczyłbyś tam po omacku i od razu odstrzeliliby ci łeb, podczas gdy ona znałaby informacje, które pozwoliłyby tego uniknąć? – pyta, patrząc na mnie krytycznie.  
– Szczerze mówiąc, zależałoby to od jej aktualnego nastroju – odpowiadam z zadumą.  
Connor rechocze.  
– No, pierdolone dziewczuchy. Ale tak czy owak.  
– Okej, zapytam. Mogę oberwać przy tym kulkę, ale zapytam. Czy w międzyczasie Tabby może wydobyć cokolwiek przydatnego na temat Dmitrija?  
– Poproszę ją, zobaczymy, co się uda wygrzebać.

Komputer Connor pika, przykuwając jego uwagę. Naciska klawisz, przez chwilę patrzy uważnie na ekran, po czym mówi:

– Eva przegląda w dropboxie pliki od Tabby.

Klika raz jeszcze i obraca monitor w moją stronę.

Widzę, że Eva ogląda nagranie mojej rozmowy z Connorem i Tabby. Napinam się. Pamiętam, jak się wtedy denerwowałem. Connor mówi akurat: „Jeżeli weźmiesz tę kobietę, rozpętasz wojnę. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?”. Rozlega się moja, natychmiastowa odpowiedź: „Jest tego warta. Jeżeli musicie mnie zwolnić i całkowicie się ode mnie odciąć, zrozumieć. To przywilej, że mogłem was poznać i dziękuję za okazję współpracy. Ale teraz to Eva jest dla mnie najważniejsza. Liczy się tylko jej bezpieczeństwo”.

Eva pauzuje i przewija nagranie. Gdy Connor obraca monitor do siebie i wyłącza program, Eva odsłuchuje ten fragment po raz trzeci.

– Czeka cię za to bogata nagroda, brachu. Kto wie, może wcale nie będziesz potrzebował chusteczek.

– Po prostu cieszę się, że jest bezpieczna. Ale żeby tak pozostało, muszę trochę posprzątać.

– Później, jak Tabby skończy poszukiwania, przegrupujemy szyki. A teraz wracaj do Evy – mówi, uśmiechając się półgębkiem. – I powodzenia. – Mruga do mnie, śmiejąc się.

## ROZDZIAŁ 21

### Naz

Gdy wracam na dół, Eva chodzi nerwowo po całym saloniku. Zamykam za sobą drzwi, ale trzymam się na bezpieczną odległość, bo nie wiem, co się dzieje w jej głowie.

– Wszystko okej?

– Próbowałam cię postrzelić – stwierdza cichym, nerwowym głosem.

O, kurwa. Brzmi, jakby tego żałowała. Mimo to staram się nie robić sobie nadziei, że mi wybaczy.

– Praktycznie rzecz biorąc, próbowałaś mnie zabić – mówię zupełnie neutralnym tonem. – Miło, że w twoim głosie słyszeć żal z tego powodu. Tak czy owak, nie trafiłaś, więc nic się nie stało.

Eva zatrzymuje się w pół kroku, patrzy na mnie i wyginając nadgarstki, pyta:

– W drodze do Tulum, gdy zatrzymałaś się na poboczu... chciałaś mi wtedy powiedzieć, prawda?

Zachowuję się spokojnie i cicho, jakbym miał do czynienia z wystraszoną, dzikim zwierzęciem. Kiwam tylko głową.

Eva przełyka ślinę.

– A ja ci powiedziałam, że nie jesteś mi nic winien i że powinniśmy po prostu cieszyć się swoimi towarzystwem – kontynuuje wysokim, strapionym głosem.

– Chyba wiem, do czego zmierzasz. Pozwól, że ci przerwę – mówię, unosząc dłoń. – Nie jesteś za nic odpowiedzialna, niczemu winna. Przecież i tak mogłem ci wszystko wyznać, a nie wyznałem...

– Bo powiedziałam, że jesteś dobrym człowiekiem. Przeze mnie poczułaś się winny.

Jej oczy lśnią, jest błada. Mruga szybko, jakby wstrzymywała łzy.

Wypuszczam powietrze z płuc, bo dociera do mnie, że naprawdę jest zła.

Jest zła na siebie.

Zmiana jej nastawiania przepelnia mnie taką ulgą, że aż odbiera mi dech. Bez zastanowienia pokonuję dzielący nas dystans i biorę ją w ramiona.

– Kochana – szepczę jej na ucho i mocno przytulam.

Ona drży, wtula twarz w mój tors. Zakopuję nos w jej włosach.

Gdy próbuje się odsunąć, porywam ją na ręce i zanoszę na kanapę.

– Co ty robisz? – pyta, wytrzeszczając oczy.

– Potrzebuję kontaktu naszych ciał, żeby odzyskać oddech.

Opadamy na poduszki, ona łąduje na mnie. Obejmuję jej plecy i czekam, aż usadowi się wygodnie.

Stopniowo się rozluźnia, opiera czoło o moje ramię i kładzie otwartą dłoń na mojej piersi. Głaszczę ją po plecach, ale gdy natrafiam na wystającą zza jej paska rękojeść glocka, zamieram.

– Glock zostaje na miejscu – mówi tonem wskazującym, że jeżeli spróbuję go zabrać, stracę jakąś istotną część ciała.

– Zrozumiałem. – Całuję ją czule w czoło, rozkoszuję się jej ciężarem, zapachem jej włosów, jej ciepłem. Faktem, że na to wszystko pozwala.

Leżymy i po prostu oddychamy. W końcu Eva bierze głęboki wdech i mówi:

– Nadal jestem na ciebie zła.

– Wiem.

– Ale też... to, co powiedziałaś Connorowi i Tabby... o tym, że chcesz mnie chronić... to, co miałaś wtedy w oczach... ile ryzykowałeś... Boże, nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Zacznij od tego, jak bardzo się cieszysz, że za kilka dni lecę do Rosji, żeby uczynić świat nieco lepszym miejscem – odpowiadam pośpiesznie.

– Boję się pytać, co to oznacza.

– Przed chwilą gadałem z Connorem.

– I?

– I... układamy plan.

Nie muszę dodawać nic więcej, sama pyta:

– Jak mogę pomóc?

Podziwiam, jak dynamicznie zmienia tryb działania. Ma umysł stratega, potrafi przeskakiwać z jednej rzeczywistości w inną, w mig przyswajać nowe informacje.

A może tak funkcjonują kobiety, które przetrwały piekło?

– Możesz nam o nim opowiedzieć.

– O jego codziennych zwyczajach, tak? – pyta, przełknąwszy ślinę.

– Tak, właśnie o to nam chodzi. Connor mówi, że jego dom to w zasadzie forteca, więc łatwiej będzie mi go dopaść poza nią.

Eva przez pewien czas milczy, po czym podnosi na mnie wzrok i mówi:

– Cerkiew.

– Co tydzień?

– Tak, to samo nabożeństwo, zawsze.

– Pobożny gość, jak na takiego drania.

– A skąd, to czyste interesy. W ten sposób pierze kasę. – Zaskakujące. – Nieruchomości. Cerkiew kupuje je z jego ofiary, a potem sprzedaje albo wynajmuje nieruchomości i zwraca mu pieniądze. Oczywiście odkroiwszy sobie swoją dolę.

– Ach, rozumiem.

– Wszędzie jeździ z ochroną, nawet do cerkwi. Ale do konfesjonału wchodzi sam. To w konfesjonale odbywają się spotkania i przekazanie gotówki.

– Jakże wygodnie.

– Myślał, że nie wiem, co robi. Ale jeśli wystarczająco długo masz otwarte oczy i zamkniętą buzię, możesz dowiedzieć się wszystkiego. Jeżeli musisz mieć zamkniętą buzię – poprawia się.

Staram się nie reagować na te wznuszające słowa, niestety prawa ręka, która najwidoczniej ma własny rozum, odruchowo zaciska się w pięść.

– Okej, to bardzo przydatna informacja. Dziękuję.

– Mogę powiedzieć znacznie więcej.

– Spotkamy się później z Connorem i Tabby. Wtedy wszystko nam opowiesz. – Coś przychodzi mi do głowy. – No, chyba że nie o wszystkim chcesz przy nich mówić.

– Jeżeli poczuję się... gorzej... to powiem tylko Tabby. Ona zrozumie. Czuję się przy niej swobodnie.

– To dobrze – mruczę. – Dobrze to słyszeć, kochana.

Posyła mi nieśmiały uśmiech.

– Tylko obiecaj, że nie pójdziesz z nią na zakupy.

– Według mnie wygląda zjawiskowo – odpowiada, uśmiechając się szerzej.

– No, jak na gwiazdę cyrku – rzucam cierpko. – Nie masz wrażenia, że w każdej chwili może zacząć żonglerkę piłami łańcuchowymi albo połykanie ognia?

– Mówi facet, który uważa krótkie bojówki za szczyt elegancji!

– Musiałas to wyciągnąć już przy pierwszej okazji, prawda?

Eva przechyla głowę w bok i patrzy na mnie. Chryste, te piękne oczy. Te długie rzęsy.

Te usta.

Czuję żar w kroczu. Skupiam się na jej oczach, a nie ustach, bo jestem przekonany, że nie ma teraz ochoty użerać się z moim twardym fiutem.

– Wielu próbowało go zabić, ale Dmitrij ma paskudny zwyczaj pozostawiania wśród żywych, pomimo najszerszych chęci rywali.

– To już moje zmartwienie.

– Ma świetną ochronę. Prawie nie da się do niego zbliżyć.

– To też moje zmartwienie – stwierdzam.

– Nie rozumiesz...

– Cichutko. Już o nim nie rozmawiamy. Teraz rozmawiamy o nas.

Eva na moment milknie, a potem wsuwa głowę pod mój podbródek. Zastanawia się, a to niepokojące.

– Rozmawiaj ze mną. Muszę wiedzieć, co czujesz – proszę.

– Dezorientację. Zdenerwowanie. Strach. Złość. Zmęczenie. Głód. Wdzięczność. Oszołomienie. – Przerywa tę wyliczankę. – Jestem też zdumiona, że potrafisz mówić o morderstwie i uczuciach na jednym oddechu.

– Wolałabys, żebym oddzielił te wypowiedzi nabożną pauzą? – pytam zaczepnie.

– Nie, wolałabym, żeby mniej mi się to podobało... – odpowiada szeptem. Wącha moją koszulkę, zaciska ją w garści.

Mój fiut jest w pełni wybudzony i gotowy do roboty. Gdy Eva przesuwa na mnie ciężar ciała, muszę przygryźć wargę, żeby nie jęknąć.

– Wygodne się na tobie leży.

– Zawsze do usług, kochana – wyduszam ochryple.

Zaczyna się bawić rozciągniętą na moim bicepsie końcówką rękawka, przesuwa palcem wzdłuż obszytej krawędzi. Gdy opuszkiem palca muska moją skórę, kutas podskakuje.

Przymykam oczy, kontroluję oddech.

– Naz, czemu ci tak wali serce?

– Bo jestem ćpunem, a ty moją herą.

Jej palce zamierają. Następnie zaczynają zataczać powolne okręgi na jednym z moich tatuaży.

Pobudziła i rozpałała każdy nerw w moim ciele, które jest w pełni skupione na delikatnym ślizgu jej palców po mojej skórze. Sunie wzdłuż żyły na moim przedramieniu, leniwie ją głąska, sprawia, że się napina.

– Tak – mówi bardzo, bardzo cicho.

– Co „tak”?

– Tak, myślałam o tobie.

Uspokój się, pieprzony kretynie. Oddychaj.

– Tak?

– Głównie nocami... w łóżku...

Powietrze strzela iskrami. Napinają się wszystkie moje mięśnie. Snuję wyraźne wizje, jak dotyka się w łóżku, myśląc o mnie, jak wije się w pościeli, jak wyjękuje moje imię. Kutas zaczyna pulsować.

Wsuwam nos w jej włosy i zaciągam się głęboko. Głaszczę jej plecy otwartą dłonią. Pilnuję, żeby się nie odzywać i nie poruszać, choć instynkt żąda, bym wziął się do działania.

Pragnę w nią wejść, niczym tonący chwytający się brzytwy. Pragnienie. Żądza. Desperacja.

– Za dnia zazwyczaj potrafiłam odwracać czymś uwagę, ale nocami... myślałam tylko o tobie. Wyobrażałam sobie...

– No co? – wyduszam, bo nie kontynuuje.

– Że moje palce to twój język – odpowiada ledwie słyszalnie.

Z mojej piersi wrywa się dźwięk. Biorę haust powietrza, walczę z obezwładniającą potrzebą, by przewrócić ją na plecy, rozebrać i wbić w jej wilgotne ciepło mojego pulsującego kutasa.

To od niej zależy, co się zaraz stanie. To jej wybór. Ona musi dowodzić, żeby niczego nie żałowała.

Muszę powierzyć jej kontrolę, nieważne, że wszystkie komórki w moim rozszalałym, napompowanym testosteronem organizmie domagają się czego innego.

Wodzi palcami w górę mojego bicepsa, wsuwa dłoń pod rękawek. Gdy delikatnie drapie moje ramię, cały podskakuje. Próbuje stłumić drżenie w piersi, gdy drugą dłonią przesuwa po moim brzuchu, ale na próżno. Wsuwa dłoń pod T-shirt, dotyka mojej skóry, pieści delikatny punkt tuż pod pępkiem. Wydobywa tym ze mnie kolejny jęk.

– Te mięśnie... – szepcze, rozkładając palce na moim sześciopaku, który napina się pod jej dotykiem. Eva mruczy z uznaniem. – I jakie wrażliwe...

– To w tej chwili najmniej wrażliwa część mojej anatomii, zaufaj mi, kochana.

Wsufa palce pod pasek moich dżinsów i przesuwa nimi na boki, od biodra do biodra, lekko drapiąc paznokciami, a potem przysuwa usta do mojego ucha, żeby jej ciepły oddech omiatał moją szyję.

– Naz, nigdy nie widziałam równie seksownego ciała. Przynajmniej nie w prawdziwym życiu. Długo nad nim pracowałeś? Godziny twardej pracy na siłowni?

Zaakcentowała lekko twardej. Czy ona się ze mną drażni? Czy to ma być kara?

A chuj z tym, kurwa. Jak chce, może mnie tak karać cały dzień.

– Oj tak, kurwa. Bardzo twardej – cedzę przez zęby.

– Mmm, na pewno. – Składa niezwykle delikatny pocałunek tuż pod płatkiem mojego ucha, a gdy przechodzi mnie dreszcz, śmieje się cichutko.

– Eva...

– Cicho bądź. Bardzo wiele przeszłam i jestem podpiita, a do tego mam broń w zasięgu ręki. Próbuję mentalnie pogodzić się z realiami bieżącej sytuacji, z tym, co dla mnie zrobiłeś, ze wszystkim, co się dzieje. A przy okazji chcę cię wymacać. Jakies obiekcje?

Wypuszczam z siebie powietrze.

– Jeszcze nigdy nie byłem tak szczęśliwy, gdy ktoś mnie molestował.

– To dobrze, bo miałam na to ochotę od dłuższego czasu.

Przenosi ciężar ciała na bok i odpina górny guzik moich dżinsów.

Jeszcze nigdy nie zemdlałem, ale zaraz chyba to zrobię.

Rozpina wszystkie guziki, rozchyła spodnie na bok i wbija wzrok w wybrzuszenie w moich bokserkach. Następnie podciąga moją koszulkę, odsłaniając brzuch i tors.

Po chwili gapienia się na moją nagą klatę, zaczyna mnie masować.

Jej dłonie wędrują z klatki na brzuch i z powrotem. Przesuwa otwartymi dłońmi po mięśniach torsu, a następnie znowu zjeżdża niżej, wsuwając je w dżinsy, ocierając się nimi o kutasa, muskając górne partie moich ud.

Wypuszczam powietrze przez zaciśnięte zęby i napominam się, że trzeba wziąć też wdech.

– Wydajesz się spięty – stwierdza. – Ostrzegam, będzie jeszcze gorzej.

Kładzie dłoń na moim fiucie i lekko zaciska.

Gdy jęczę pod nosem, patrzy mi w twarz. Jest zarumieniona. Ma lekko zaszkłone oczy. Obserwuje moją minę, sunąc w dół i w górę mojego kutasa, a na koniec ujmuje w dłoń jaja.

– Wielkie to.

– To?

– On. Ty. – Wraca dłonią w górę mojej erekcji, obejmuje palcami czubek.

– Wpasuję się w ciebie idealnie – charczę, patrząc jej prosto w oczy.

Ponownie zaciska palce na moim penisie. Moje biodra napinają się automatycznie, wbijając fiuta mocniej w jej dłoń. Serce wali mi jak młotem. Zaczynam się pocić. Skonam, jeśli zaraz jej nie pocałuję, ale opanowuję się, choć słyszę w głowie refren: więcej, głębiej, natychmiast.

– Jesteś bardzo grzeczny – szepcze Eva, obserwując moją wewnętrzną walkę.

– Zasłużyłem na nagrodę.

Uśmiecha się, bo zabrzałem jak napalony nastolatek. Wie, że zaraz nie wytrzymam.

– Być może tak.

Spogląda na własną rękę i zsuwa elastyczną gumkę moich bokserek, odsłaniając czubek fiuta.

A potem wsufa rękę w bokserki. Obejmuje mnie ciepłą, miękką dłonią. Masuje kciukiem pulsującą na kutasie żyłę, a potem przesuwa kciuk na rozcięcie pod czubkiem i lekko naciska.

Zaciskam pięści, powstrzymuję jęk, naprężam każde ścięgno.

– Przyjemnie... – nuci namiętnie, przesuwając dłonią w górę i w dół mojego sztywnego jak pal kutasa.

– Ja pierdolę.

– Podoba ci się?

– Wiesz, że tak – dyszę. U nasady mojego kręgosłupa wzbiera ciepło, które rozlewa się na całą miednicę. Mam wrażenie, że w pomieszczeniu jest jak w piecu. Gorąco, upalnie. Że miażdży mnie ciśnienie pożądania.



- A co jeszcze by ci się spodobało, Naz?
- Twoje usta – wyrzucam z siebie, jak bolesne, nieprzyzwoite wyznanie.
- Mnie podobały się twoje. Nigdy wcześniej tak tego nie robiłam.

Nigdy tego nie robiła? Chryste. No cóż, zakładam, że Dmitrij oczekiwał, że to jego potrzeby mają być spełniane.

– Eva, kurwa, proszę, pozwól mi popracować ustami. Pozwól mi wyciąłować cię wszędzie, tak jak prosiłaś w tych starych ruinach.

Wyrzucam z siebie potok rozpaczliwych, ledwie spójnych słów. Widzę, że jest zafascynowana i nakręcona tym, jak rozklejam się w jej rękach. Oblizuje wargi, łapie mojego fiuta nieco mocniej, pozwala, bym zaczął wykonywać nim delikatne ruchy, zgodne z rytmem wyznaczanym przez jej dłoń.

– Rany, jesteś naprawdę seksowny – jęczy z trudem, jakby ją to zaskoczyło. – Mam mokre majtki.

Wije się, ocierając się o mnie, i wtedy pękam.

Zanurzam obie ręce w jej włosach, przyciągam ją do siebie i całuję z całych sił.

Nie stawia oporu, więc częściowo się odprężam, łagodzę pocałunek, ale równocześnie go pogłębiam, dopóki nasze języki nie odnajdują wspólnego, leniwego rytmu. Aż kręci mi się w głowie od intensywności tego tańca. Zbliżam się do krawędzi.

– Przestań albo dojdę – mówię ochryple przy jej ustach.

Jej policzki nabierają mocnych barw.

– Mam nadzieję, że nie zniszczę tym nastroju, ale muszę powiedzieć, że jeszcze nigdy nie czułam się tak władczo.

Wzdycham głęboko, przechodzi mnie dreszcz.

– Jesteś taki twardy – dodaje szeptem.

– Proszę – błagam z najwyższym trudem. – Daj mi dojsć albo mnie zastrzel. Albo jeszcze lepiej, usiądź mi na twarzy i dojdziemy razem.

Jej oczy robią się wielkie jak spodki, a twarz jeszcze czerwiejsza. Zaciska wargi jak surowa nauczycielka.

I wtedy sobie przypominam.

Dmitrij wziął ją jako dziewicę i latami ją wykorzystywał. Eva ma doświadczenie seksualne, ale nie jest to dobre doświadczenie.

Jeżeli chodzi o prawdziwą namiętność, jest kompletnie niewinna.

Nigdy nie była z mężczyzną, który szczerze ją ubóstwia, który czci jej ciało i duszę, który stawia jej potrzeby przed własnymi.

Nigdy nie była kochana.

– Poczekaj. Kochana, stop. – Łapię ją za nadgarstki i z najwyższym trudem siadam. Podpieram się na łokciu i patrzę na nią, rozpaczliwie łapiąc oddech. Mój fiut utknął pomiędzy naszymi ciałami, nagle wydaje mi się to strasznie nieprzyzwoite.

Patrzymy na siebie, stykając się nosami.

– Wzięliśmy się za to od końca. To ja powinienem robić ci dobrze.

Eva spuszcza rzęsy i mówi cicho:

– Robisz.

– Ale nie tak, jak należy – stwierdzam ostrzej. – Jeszcze nie.

Wstaję, biorę ją na ręce, zanim zdąży zaprotestować, i niosę ją w stronę korytarza z sypialniami.

## ROZDZIAŁ 22

### Eva

Naz kroczy korytarzem, a ja przywieram do niego i szeroko otwartymi oczami patrzę na jego profil. Nie wiem, czy moje serce wytrzyma te wszystkie emocje, ale modlę się o to.

Nagranie, na którym tłumaczy Tabby i Connorowi, że jestem jego priorytetem, że, dowiedziawszy się, przez co przeszłam, jest skłonny zniszczyć własne życie, żeby mnie chronić, wywarło na mnie taki wpływ, że przez kilka minut siedziałam, jak skamieniała, chłostana dosłownie wszystkimi emocjami, jakie może odczuwać człowiek. W końcu zerwałam się na nogi i zaczęłam chodzić w kółko, przypominając sobie, jaki był zniesmaczony sobą w drodze do Tulum. Że zjechał wtedy na pobocze, bo chciał mi coś powiedzieć.

Przypomniałam też sobie, jak go powstrzymałam.

Powiedział, że siebie nienawidzi, a ja odparłam, że wiem, co nosi w sercu.

Przypomniałam sobie, że nie chciał się ze mną przespać, choć oboje rozpaczliwie tego pragnęliśmy.

Przypomniałam sobie, że chciałam go zabić.

Próbowałam go zabić! Niecałe pół godziny temu groziłam, że rozwalę mu łeb!

Tabby miała rację. Biczował się za to, że musiał mnie okłamać. Patrząc na to wszystko z szerszej perspektywy, w głębi duszy wiem, że Naz to honorowy mężczyzna.

I nieważne, że nasza sytuacja jest dziwna i pogmatwana, nadal pragnę go bardziej niż czegokolwiek.

Otwiera ramieniem drzwi mojej sypialni, zamyka je za nami kopniakiem i kieruje się do łóżka. Z zadziwiającą łatwością, jakby jego codzienna praca polegała na dźwiganiu głazów, stawia mnie na podłodze i się prostuje.

A potem wyciąga pistolet zza moich spodni i odkłada go na stolik nocny.

– Na wypadek gdybyś potem dalej chciała mnie zastrzelić... – burczy.

– Potem... – dukam, patrząc na niego. Nie jestem w stanie wypowiedzieć logicznego zdania, bo usta wyschły mi jak Sahara. Naz ściąga koszulkę i rzuca ją na podłogę.

– Po tym, jak o ciebie zadbam... – mówi dobitnie, z rozpalonym wzrokiem. Następnie zabiera nas oboje do łóżka.

Siada na mnie okrakiem, podpierając ręce obok mojej głowy. Góruje nade mną jego wielkie, krzepkie ciało, ten cały żar, te wszystkie mięśnie, ten płonący wzrok. Jest niczym góra, która z łatwością mogłaby mnie zgnieść. Lecz w jego oczach, obok żaru, jest też tkliwość. Wiem, że mnie nie zrani.

Zaczynam wierzyć, że wolałby znieść każde cierpienie, niż mnie skrzywdzić.

– W porządku? – pyta, analizując moją minę.

– Jeżeli rozumiesz przez to zaczątki załamania nerwowego oraz największe przerażenie i ekscytację w życiu, to tak. Jak najbardziej w porządku.

Uśmiecha się kącikiem ust.

– Masz pojęcie, jak to kocham?

– Że jestem przerażona?

– Że jesteś szczerą – mówi głosem pełnym emocji. – Zawsze mówisz, co myślisz. Przyznajesz się do uczuć, złych czy dobrych, nieważne. Nie znam równie nieustraszonej kobiety.

Ścisną mnie w gardle. Muszę kilka razy mrugnąć, żeby pozbyć się wilgoci, która zakrada się do kąciaków moich oczu.

– Wcale nie jestem nieustraszona. Boję się wszystkiego. Nawet ciebie.

– A mimo to jesteś tu ze mną.

Wypuszczam powietrze z płuc i zamykam oczy.

– Nie pozwalam, żeby strach podejmował za mnie decyzje.

Naz, z nieziemską tkliwością, muska ustami moją skroń, i szepcze mi na ucho:

– I właśnie to, moja słodka, dzielna, piękna dziewczyno, jest definicją odwagi.

Chcę wybuchnąć płaczem, ale się opanowuję, biorąc rozpaczliwe hausty powietrza i obracając twarz do jego nadgarstka.

Obniża się nade mną, aż nasze ciała zrównują się i łączą. Naz balansuje swoim ciężarem na łokciach, tak że stykamy się klatkami piersiowymi i krocami. Rozsuwam nogi, ustawiam miednicę tak, by ulokował się idealnie między moimi udami i po chwilę czuję na rozporoku jego twardość.

Zasypuje czułymi pocałunkami ścieżkę łączącą moją szczękę z obojczykiem, trzymając moją głowę w dłoniach. Na moment przystaje u nasady mojego gardła, żeby zanurzyć język w znajdującej się tam dziurce.

– Oboje mamy buty na nogach – stwierdzam rozedrgana. – Czy to nie dziwne?

– Przestań myśleć o ubraniach – odpowiada stłumionym głosem. – Za sekundkę się nimi zajmę.

Po prostu... czuj.

Liże pulsującą na mojej szyi żyłkę.

– I oddychaj – dodaje, gdy przechodzi mnie dreszcz.

Gdy otwiera usta i zaczyna delikatnie ssać moją szyję, wypełnienie tego polecenia staje się niemożliwe. Drapie moją skórę zębami, przez co natychmiast twardnieją mi sutki.

Pragnę jego ust gdzie indziej... pragnę ich wszędzie... biorę ostry wdech i wyginam się w łuk, wbijając palce w jego plecy.

– Jesteś, kurwa, boska – rzuca ochryple przy mojej skórze. – Wspaniale reagujesz.

A potem mruczy coś w nieznanym mi języku. W gardłowej, obcej mowie, pełnej trących głosek, które brzmią tak męsko i seksualnie.

Jego dłoń wślizguje się pod moją bluzkę. Jest ciepła i chropowata, jego zgrubiałe palce są równocześnie twarde i miękkie, a ich dotyk tak przyjemny, że pokrywam się gęsią skórą. Gdy dociera do mojej klatki piersiowej, wydaję z siebie cichy, niewyraźny krzyk.

Naz zamiera.

– Wszystko okej. Chyba po prostu... trochę majaczą.

Podnosi głowę i przykładą wargi do moich warg, porywając moje usta w gorący, nieśpieszny pocałunek. A potem delikatnie wsuwa dłoń pod mój stanik i łapie za pierś.

– Ej... – rechocze delikatnie, gdy cała pod nim podskakuję. – Spokojnie.

– Żadne spokojnie – dyszę, bo żądza odbiera mi dech. – Ostro. Więcej. Szybciej.

Szybko.

Opuszcza lekko powieki. Przygląda mi się z zaciśniętymi szczękami i rozdętymi nozdrzami. Oddycha nierówno, ale jego ciało znajduje się pod idealną kontrolą, ani drgnie. Patrzy mi w twarz, a następnie szczypie mój sutek, obracając go delikatnie pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Podciągam kolano do jego uda.

Okraża kciukiem mój sutek i ponownie go szczypie, tym razem mocniej, aż przeszywa mnie fala rozkoszy.

– Czego pragniesz? – pyta, spoglądając na moje usta.

– Wszystkiego. Czegokolwiek. Ciebie.

Unosi krawędź mojej bluzki, odsuwa stanik w bok i bierze mój nadwrażliwy sutek w usta.

Eksploduje we mnie ciepło.

Jego wargi są gorące, jędrne i mokre, mogłabym zatonać w tym wirze ekstazy. Zasysa mnie, w jego policzkach pojawiają się dołeczki, wbija się we mnie miednicą. Jęczę, gdy delikatnie przygryza moją skórę.

Jęczę głośno. Cholernie głośno.

Dobiera się do drugiej piersi i powtarza te same czynności, a ja zamieniam się w mokrą, drgającą w pościeli plamę. Spływam potem.

– Myślę, że mogłabyś od tego dojść... – mruczy z namysłem, omiatając językiem naprężony sutek.

– Ja jeszcze nigdy... ja... och...

Zatrzymuje się i pyta łagodnym głosem:

– Nie miałaś nigdy orgazmu?

– Nie. To znaczy miałam, ale sama. Nie z... nie podczas... – Zawstydzona zakrywam twarz dłońmi.

– Kochana, to nic złego. Dziękuję, że mi powiedziałaś. – Zaciąga się aromatem mojej skóry, muska nosem piersi, ugniata skórę na ramionach. – Muszę cię posmakować – szepcze. – Chcę, żebyś doszła mi w ustach. Powiedz, czy też tego chcesz...

Wydaję z siebie niezrozumiały odgłos aprobaty, rozpaczliwie ocieram się biodrami o jego miednicę, wpijam paznokcie w jego muskularne plecy. Podejrzewam, że oczy uciekają mi w tył głowy.

Po chwili pomaga mi pozbyć się ubrań, z typową dla siebie sprawnością zdejmuje mi bluzkę, dzinsy, buty. Zrzuca to wszystko na podłogę. Pozbywa się też stanika, a wtedy siada na piętach i po prostu patrzy.

Jego wzrok jest bardzo intensywny, nic mu nie umyka. Czuję się obnażona, wrażliwa, ale równocześnie podniecona szalejącymi w jego oczach emocjami. Jego żarem i pragnieniem.

– Jesteś taka piękna – szepcze, sunąc palcem po wnętrzu mojego uda. – Po prostu piękna.

Rozkłada dłonie na moim brzuchu, po czym sunie nimi w górę, ujmując moje piersi. Pochyla się i całuje mnie czule w usta, lekko przygryzając dolną wargę, a po chwili łagodząc delikatny ból ugryzienia językiem.

Zatapiam ręce w jego włosach i przyciągam go na kolejny pocałunek, tym razem głębszy, niecierpliwy i złakniony. Po chwili odkleja się ode mnie i mówi roześmiany:

– Dobrze już, dobrze, zachłanna dziewczynko. Zrozumiałem.

Schodzi niżej, ociera się szorstkim policzkiem o moje udo. Balansując na łokciach wsuwa dłonie pod mój tyłek i zaciska je, wydając przy tym niski, gardłowy odgłos. I wtedy rozchyła usta i zaczyna ssać, zamykając oczy tak, że jego ciemne rzęsy rzucają cień na policzki.

Nie potrafię oderwać wzroku.

Oddycham ciężko, serce łomocze mi w piersi, cała się trzęsę, ale muszę patrzeć, jak ssie i liże wnętrze mojego uda, a potem drugiego. Nie śpieszy się, ewidentnie się tym rozkoszuje, jak kot nad miską świeżego mleka.

Gdy przykłada nos do moich majtek i głęboko się zaciąga, mam ochotę krzyczeć.

Odsuwa materiał w bok, odsłaniając moje najwrażliwsze miejsce przed swoim czujnym wzrokiem. Jeszcze nikt nie patrzył na mnie tak intymnie, z tak głębokim podziwem i jeszcze głębszą namiętnością. Wygląda, jakby chciał pożreć mnie w całości.

– Naga... – szepcze i składa pocałunek na samym środku, między moimi nogami.

Delikatny, z zamkniętymi ustami, ale skacze i jęcze, jakby poraził mnie defibrylatorem.

Kładzie dłoń na moim brzuchu, jakby chciał mnie wesprzeć.

– Zawsze musiałam być wywoskowana – dyszę z najwyższym trudem. – On chciał... – Walczę o oddech. – Nie mogłam mieć żadnych włosów.

– Od teraz – odpowiada po chwili – będzie tak, jak sama zechcesz. I już nigdy nie będziemy o nim mówili w łóżku.

– O, Boże, przepraszam.

– Kochana, nie gniewam się przecież... – mruczy. – Po prostu nie ma dla niego miejsca między nami.

– Tak, masz rację. Obiecuję, że już nie będę...

Urywam, bo muszę nabrać powietrza w płuca, ponieważ Naz obniżył głowę i przyłożył swoje cudowne usta do samego centrum mojego ciała.

Sapię, wyginam się w łuk, odrzucam głowę, zaciskam powieki. Jego język omiata naprężony guziczek mojej łechtaczki, a potem ssie z niewielką siłą, aż zaczynam jęczeć i wić się na jego ustach.

– Naz... to jest... cudowne... – dyszę.

On tylko pomrukuje zadowolony i ssie mocniej.

Jest ostro, intymnie i zaciekle gorąco, zdecydowanie lepiej niż w moich najdzikszych fantazjach.

Moje ciało wyprawia rzeczy, nad którymi nie mam żadnej kontroli. Biodra naprężają się i wierzgają. Uda zaciskają się i drżą. Oddech jest chrapliwy i głośny na tle panującej w sypialni ciszy. Wydaję dźwięki, których jeszcze nigdy nie wydawałam, odgłosy zwierzęcej rozkoszy.

I wtedy, powoli, wsuwa we mnie swój gruby palec.

Jest mi tak dobrze, że mogłabym w tej chwili umrzeć.

Dotykam jego włosów i podnosi na mnie wzrok, ale nie odsuwa ust od mojego wrażliwego miejsca. Gdy zaczyna poruszać palcem do środka i na zewnątrz, z drżeniem łapię go za włosy. Widzę, że mu się to podoba, że podoba mu się, jak na mnie działa, że doprowadza mnie do szaleństwa.

– Nie przerywaj, proszę... – szepczę, wierzgając biodrami przy jego ustach.

Zamiast odpowiedzi przesuwam dłoń z mojego brzucha na pierś i lekko wykręca sutek.

Opadam na poduszkę, głośno jęcząc.

Od tego momentu ostają się już tylko doznania zmysłowe. Racjonalne myśli przepadły. Zaciskam jego włosy w garściach i ujeżdżam jego twarz, kompletnie nie przejmuję się już, jak brzmię, jak wyglądam, skupiam się wyłącznie na odczuciach. Mięśnie jego barków napinają się i pęcznią pod moimi udami, już samo to jest niewiarygodnie seksowne. W centrum mojego ciała narasta napięcie, ale także w piersi, jakby wszystkie emocje rozlewały się, by wypełnić całą przestrzeń, naprężyły się, by wyrwać się na wolność, podobnie jak moje ciało, które pragnie się wspinać na jasny, gorący szczyt, ku któremu prowadzi mnie Naz.

A potem, bez ostrzeżenia, staję na krawędzi.

Gdy uderza we mnie pierwszy skurcz, zachłystuję się powietrzem. Jest tak intensywny, że nie potrafię wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Potem wstrząsają mną konwulsje, jedna po drugiej, gromkie fale rozkoszy, które wyrrywają z mojego gardła bezradne krzyki.

Wszystko to trwa i trwa. Mam wrażenie, że wybucham od wewnątrz. Słyszę przeciągły, nierówny krzyk i dociera do mnie jak przez mgłę, że jestem jego źródłem.

Dopiero gdy Naz nachyla się nade mną i szepcze mi na ucho czułe „Ćśś, kochana, cichutko”, zdaję sobie sprawę, że płaczę.

Oplątam jego ciało rękami i nogami, zakopuję twarz w przestrzeni między jego barkiem a szyją, i ulegam łzom.

On przytula mnie bez słowa, pozwala mi płakać. Oboje drżymy od siły moich rwanych oddechów, łóżko również. Jego ramiona są silne i ciepłe. Jego serce łomocze miarowym rytmem tuż przy mojej piersi. Jest ciężki, ale ta masa mnie nie przygniata, jest niczym tarcza.

W jego ramionach czuję się jak w świątyni.

– Chyba ci wybaczę... – łkam w jego tors.

Po chwili ciszy zaczyna się delikatnie śmiać.

– Wiesz, że właśnie sobie przyswoiłem, jak wygrywać wszystkie nasze przysze kłótnie, prawda?

– Rób mi tak regularnie, a nie będzie się o co kłócić. – Naz śmieje się głośniej. – Wcale nie żartuję. – Zасыpuję drobnymi pocałunkami jego szczękę i ramiona. – Jesteś niezmierny. To było niesamowite. Proszę, powiedz, że to nie był tylko pojedynczy wyskok, żeby mnie ugłaskać, a potem, gdy już jakiś czas będziemy razem, zrobisz się leniwy, przestaniesz się starać i tak robić.

– Obiecuję – mówi, szczerząc się do mnie z góry, jego oczy jasno lśnią. – A poza tym... wow... świetnie robisz mi na ego.

– Superbohater kontratakuje – parskam.

Ponownie poddaje się śmiechowi, opuszczając głowę na moją szyję.

– Naz?

– Tak?

– Mógłbyś mnie teraz pocałować?

Podnosi głowę i patrzy na mnie rozjarzonymi oczami.

– Oczywiście... – zawiesza głos, wyczuwa, że to nie jest zwykła prośba. – Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Chcę... – Oblizuję wargi, waham się. – Posmakować tego, co ty.

– Kobieto, jesteś spełnieniem nocnych, mokrych fantazji – warczy i bierze moje usta.

Pocałunek jest długi i bardzo namiętny, a gdy w końcu go przerywamy, żeby zaczerpnąć tchu, pyta:

– No i?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Sama nie wiem, smakuje... jakby cytrusowo? Jak ten posmak na policzku, gdy wgrzysz się w pomarańczę. Ale też trochę słono. Znasz ten specyficzny ziemisty, piwniczny posmak francuskiego wina?

Jego ciało podskakuje od tłumionego śmiechu.

– No co? – pytam z irytacją.

– Jesteś urocza. – Całuje mnie delikatnie w oba policzki. – Urocza, czarująca i absolutnie nie da ci się oprzeć.

– Na mojej oko opierasz się całkiem skutecznie – utyskuję.

– Co masz na myśli?

– To, że nadal masz na sobie spodnie. I buty!

Głodzi moje policzki kciukami, patrzy na mnie wzrokiem pełnym szczerych uczuć.

Samym spojrzeniem odbiera mi dech.

– Nie mam prezerwatywy – mówi w końcu. – Ale nawet gdybym miał, to i tak powinniśmy zaczekać z następnym krokiem.

– Poczekać z następnym krokiem? – powtarzam powoli, patrząc na niego z mieszką grozy i niedowierzania.

– Nie ze względu na mnie, tylko na ciebie. Chcę, żeby to było coś wyjątkowego...

– A ja chcę, żeby to było teraz – wchodzę mu w słowo. – Masz pojęcie, ile musiałam czekać, żeby poczuć coś takiego? Dam ci wskazówkę: wieczność!

Naz bierze głęboki wdech, robi zamyśloną minę.

– Co więcej – kontynuuję, coraz bardziej zdenerwowana – nie potrzebujemy prezerwatyw, bo jestem po zastrzyku antykoncepcyjnym. Zakładam, że chodzi ci o antykoncepcję, a nie obawę przed chorobami, ale jeżeli o to drugie, to wiedz, że jestem czysta. A ty?

– Też – odpowiada bez wahania.

– Okej, no to jazda.

W odpowiedzi na moje wyzywające spojrzenie ponownie wybucha śmiechem, po czym przewraca się na plecy, ciągnąc mnie za sobą, tak, że rozpląszczam się na nim jak kołdra. Ujmuje moją twarz w dłoń.

– Mamy przed sobą całą wieczność – mruczy, patrząc mi prosto w oczy, a potem dodaje, już zupełnie innym tonem: – Czy ty właśnie zerknęłaś na pistolet?!

– Założę się, że mogłabym cię nim zmusić, żebyś się mną zajął.

– Czyżby? – Gnojek zaciska wargi, żeby znowu nie parsknąć śmiechem.

Walę go pięścią w ramię. Jakby kłębek bawełny uderzył o ceglany mur.

– Chcę uprawiać z tobą seks, do jasnej cholery!

W mgnieniu oka, jednym, błyskawicznie szybkim ruchem, wskakuje na mnie i unieruchamia mi nadgarstki nad głową.

– Popisy... – burczę.

– Posłuchaj mnie.

– Co?

– Jeżeli cię zerznę, jesteś moja. A ja twój. I już, koniec – mówi powoli, akcentując wyraźnie każde słowo i patrząc mi przy tym głęboko w oczy.

Moje serce postanawia, że czas wcielić się w stado rozszalałych mustangów, galopujących przez rozległą prerię klatki piersiowej. Przetykam ślinę, powaga, z jaką to powiedział, wzbudza we mnie mimowolną ekscytację.

– Bardzo bym nie chciał, byś pożałowała, że poszłaś na to za szybko, zanim w ogóle miałaś okazję spuścić trochę ciśnienia, odpocząć. Ja patrzę na nas długofalowo. Jasne, byłoby cudownie i, jasne, oboje tego pragniemy, ale ty potrzebujesz odrobiny czasu dla siebie, żeby wszystko sobie ułożyć

w głowie. Z kolei ja muszę wiedzieć, że gdy już postanowisz mi się oddać, będziesz na to naprawdę gotowa. Tak będzie najlepiej.

– Noż... cholera... – wyduszam drżącym głosem po chwili ciszy.

– Co się stało? – pyta, marszcząc brwi.

– To ma sens.

– Co ja poradzę, że jestem geniuszem? – rzuca z zapierającym dech uśmiechem.

– Ale czy mogę zadać jedno pytanie?

– Pewnie, dawaj.

Przygryzam wargę, patrzę na niego z wahaniem, ale w końcu mówię:

– Możemy robić inne rzeczy, które z technicznego punktu widzenia nie są seksem, prawda? No wiesz, bez penetracji. – Jego uśmiech znika, powoli wygina brwi w łuki. – Bo wiesz, bardzo podobało mi się to, co zaczęliśmy robić na kanapie... Może byśmy dokończyli?

Naz trzepocze rzęsami.

– A niech cię, kobieto – wzdycha i bierze moje usta w kolejny pełen pasji pocałunek.

Wnioskuje, że to oznacza „tak”.

## ROZDZIAŁ 23

### Eva

Ludzie, którzy potrafią nas rozśmieszyć, są bardzo niedocenianym błogosławieństwem w naszym życiu. I bynajmniej nie rosną na drzewach. Osoby, które naprawdę potrafiły podnieść mnie na duchu swoim poczuciem humoru, mogę policzyć na palcach jednej ręki. A tylko jeden człowiek jest tak zabawny, że zapominam przy nim, przynajmniej na chwilę, że byłam kiedyś ulubionym zwierzątkiem potwora.

Z drugiej strony być może chodzi po prostu o jego bicepsy i zjawiskowy tyłek, a ja gadam sentymentalne głupoty.

Naz patrzy na mnie tak, jak pewna staruszka – którą widywałam co niedzielę w kościele – patrzyła na krucyfiks. Zawsze klęczała w tej samej ławce, wznosiła twarz do góry, poruszając wargami w cichej modlitwie, i wpatrywała się w kunsztowny, złoty krzyż wiszący nad ołtarzem z taką czcią, że aż emanowała blaskiem żarliwej wiary.

Ta kobieta była naprawdę wierząca.

W oczach mężczyzny, który w tej chwili namydla mi głowę, dostrzegam to samo gorące oddanie.

– Masz w cholerę włosów – stwierdza czule, masując moją głowę wielkimi dłońmi. Świetnie mu idzie, przykłada się do tej czynności i widać, że jest zręczny, w przeciwieństwie do niektórych facetów. Z drugiej strony oznacza to zapewne, że ma spore doświadczenie.

Chcę go zapytać o żonę, ale wiem, że to dla niego źródło bólu, więc zamiast tego po prostu się uśmiecham.

– Czy to profesjonalna opinia poparta latami praktyki we fryzjerskim rzemiośle, Dudley?

Daje mi buziaka w usta.

– Ano. Jak skończymy, mogę ci zrobić trwałą. Może jakieś pasemka. Spłukujemy.

Odchylam głowę do tyłu i przymykam oczy, rozkoszując się spływającym mi po głowie strumieniem ciepłej wody.

– Litości... – mamrocze, sunąc dłonią po mojej klatce piersiowej.

Wiem, że gapi się na moje ciało. Nie wiem natomiast, dlaczego tak swobodnie czuję się przy nim nago, ale tak jest.

Kolejne błogosławieństwo. Coraz ich więcej.

Spłukawszy mi włosy, bierze mnie w ramiona i całuje. Nie wiem, czy mam zawroty głowy przez gorącą wodę, czy przez jego usta, w każdym razie łazienka nieśpiesznie wiruje. Z mojej skóry unoszą się kłęby pary.

Naz sunie dłonią w dół moich pleców i ściska mnie za tyłek. Po chwili przyciąga mnie do siebie, więc jego erekcja utyka między naszymi ciałami, na moim brzuchu. Czuję, jak bardzo jest nabrzmiały i aż zapiera mi dech w piersi.

– To już zawsze tak będzie? – pytam cicho.

– Jak? – pyta, pieszcząc moje piersi.

– Tak... Dobrze – odpowiadam, patrząc mu prosto w oczy.

Uśmiecha się czule, a jego uśmiech sięga również oczu.

– Nie... Będzie znacznie lepiej – szepcze.

Obraca mnie przodem do ściany i całuje w kark, ujmując moje piersi w obie dłonie. Podpieram się o mokre kafelki, rękoma i czołem, mam wrażenie, że temperatura podskoczyła w jednej chwili o dziesięć stopni. Gdy dociera między moje nogi i zagłębia palce w fałdki, jęczę i wyginam plecy w łuk.

Czuję na tyłku jego twardego kutasa. Sięgam do tyłu i biorę go w dłoń.

Znowu mówi coś w tym obcym języku, głosem chropowatym od pożądania.

Nasze ruchy się synchronizują. Wejście, nacisk, powrót, najwolniej, jak to możliwe. Obracam



głowę i bierze moje usta. Jego palce zaczynają poruszać się szybciej. Reaguję, przyspieszając ruchy mojej dłoni.

Naz jęczy, jego jęk odbija się echem od kafelek, to podniecający dźwięk kapitulacji i ekstazy, akcentowany moim cichutkim skamleniem.

Obejmuje mnie całą, tak, że czuję, jak napinają się mięśnie na jego torsie, a potem opuszcza czoło na moje ramię i przechodzi go dreszcz.

– Eva. Eva.

Gdy spuszcza mi się w dłoń, całe jego ciało podryguje. Szczypie moją łechtaczkę, wgryza mi się w ramię, jęcząc w skórę. Sunie przez własny orgazm rwanymi, gwałtownymi ruchami miednicy, więc teraz to ja muszę podtrzymywać nas oboje, opierając się o ścianę.

Między łopatkami czuję, jak wali mu serce. Wzdycha, trzęsie się, jest kompletnie rozłożony i kocham to.

– Cholera... – sapie ochryple. – Przepraszam.

– Za co?

– Nie powinienem finiszować pierwszy.

Chichoczę cicho, ale mój śmiech milknie, gdy obraca mnie przodem do siebie i pada przede mną na kolana.

A potem... och, co się dzieje potem... Zajmuje się mną tak, jak tylko on potrafi.

Jego wargi to istny cud.

Widok tego pięknego mężczyzny, który klęczy i z zapalem stara się mnie zaspokoić, to niezależna od talentu jego języka rozkosz sama w sobie. Ma zamknięte oczy, skupioną minę i ssie, przytrzymując mnie za pośladki obiema rękami.

Dochodzę z niepohamowanym krzykiem, moje palce wyginają się w jego mokrych włosach, pilnuję się, by nie zemdleć z rozkoszy. Wołam jego imię, opierając potylicę na kafelkach.

Naz wydaje z siebie pomruk, który niesie się przez całe moje ciało. Na moment wszystkie zegary świata przestają tykać. Czas znika, realny świat blednie.

A potem on wstaje, odnajduje moje usta i, cały w moim smaku, całuje mnie długo, z uczuciem.

Gdy w końcu odzyskuję zdolność mowy, stwierdzam:

– Chyba nawet nie musimy przechodzić do penetracji, bo to wszystko jest wystarczająco epickie.

Naz rechocze zadowolony.

– Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani.

– Dobra robota, żołnierzu. Należy ci się medal za starania.

– To dopiero wierzchołek góry lodowej, kochana – szepcze mi na ucho i delikatnie ssie płatek.

Moje westchnięcie musiało być bardzo wymowne, bo śmieje się głośniej i ścisza mnie mocniej.

– Teraz muszę cię nakarmić. Lubisz makaron? Robię diabelnie dobre spaghetti.

– Boże – mruczę zachwycona. – Chyba umarłam i poszłam do nieba.

– Moje ego z całą pewnością jest już w niebie. Niedługo wypełni sobą cały pokój i zabraknie dla nas miejsca. Chodź, piękna, wysuszymy cię.

Wyprowadza mnie ostrożnie spod prysznica, troskliwie mnie podtrzymując, bo pewnie jestem rozmiękła jak galareta. Następnie stawia mnie na środku łazienki i wyciera ręcznikiem, osusza mi włosy, uważając, aby ich nie poplątać.

– Założę się, że byłeś świetnym mężem.

Na moment zamiera, ale po chwili owija mnie ręcznikiem i zawiązuje go w supeł na środku mojej piersi. Całuje mnie w czubek nosa.

– Byłem wtedy durnym dzieciakiem, ale starałem się, jak mogłem. W kilku sprawach mogłbym się poprawić.

Muskam jego policzek dłonią i patrzę mu głęboko w oczy.

– Miała wielkie szczęście – szepczę.

Naz uśmiecha się smutno.

– Nie. To ja miałem szczęście. Dzięki tamtej miłości stałem się lepszym człowiekiem.

– Więc cieszę się, że tak ją kochałeś. I jestem pewna, że ona też kochała cię całym sercem.

Gdy ujmuję moją twarz w dłonie, jego oczy błyszczą emocjami.

– Kochała – mówi cicho, patrząc mi w oczy. – A ja byłem pewien, że już nigdy nie spotka mnie podobne szczęście. Większość ludzi nigdy nie odnajduje takiej miłości, a co dopiero dwa razy.

W mojej piersi pojawia się ucisk, którego jeszcze przed chwilą nie czułam. Ścisła mnie w gardle, nagle nie mogę oddychać.

Bierze mnie w ramiona i trzyma, pozwala przemówić ciału, bo słowa są już zbędne. Gdy biorę rozedrgany wdech, odsuwa się lekko i uśmiecha serdecznie.

– Chodź, Thelma, nakarmimy cię. Wiem, jak słonicom odbija, gdy się przegłodzą.

\*\*\*

Znajduję w szafie szlafrok – czarny, najwidoczniej wszystko tu musi być czarne – i rozczesuję włosy, podczas gdy Naz poszedł do kuchni. Czuję, że ogarnia mnie zmęczenie. Jestem fizycznie i emocjonalnie wypompowana, ciąży mi myśl o tym, co przygotowała dla mnie najbliższa przyszłość.

Wiem, że Naz jest inteligentny, silny i sprawny, ale czasami to za mało w porównaniu do przebiegłego zła, z którym wkrótce się zmierzy.

Dmitrij nie gra według zasad Naza, a wyłącznie według własnych. I zawsze chce wygrać.

Kiedy wychodzę z sypialni, wita mnie pyszny aromat. Czosnek, przyprawy, zapach podsmażanego mięsa...

– Pomyśleli o wszystkim, co? – rzucam, zauważywszy, że Naz przebrał się w świeże ubranie.

Koszulę ma o numer za małą, ale nie narzekam, bo lepiej widać jego bosko wyrzeźbione ciało.

– Connor zawsze jest o krok do przodu – stwierdza, oglądając się na mnie z uśmiechem.

Ma zarzuconą na ramię białą ścierkę, a drewnianą łyżką miesza mięso na żeliwnej patelni – wygląda jak wzorowy pan domu.

Jestem kompletnie urzeczona tym widokiem. Wielcy, krzepcy faceci uwijający się w kuchni albo trzymający w rękach małe dzieci, to jedno z najseksowniejszych widoków na świecie. Lepiej byłoby chyba tylko wtedy, gdyby gotował w samej bieliźnie.

– Czyli... byłem twoim pierwszym zleceniem w firmie, co?

– Tak. Ale nie nazwałbym cię „zleceniem”, kochana – odpowiada, puszczając mi oczko, i od razu skupia się z powrotem na patelni.

Przyglądam się, jak odcedza parujący makaron w durszlaku, a następnie wrzuca go z powrotem do garnka i dodaje hojną porcję masła. Czuje się przy kuchence swobodnie. Mógłby zostać kucharzem.

– Czy jest coś, czego nie potrafisz?

Rechocze pod nosem.

– Nie potrafię śpiewać. Nie potrafię przestrzegać ograniczeń prędkości na drodze. Za cholere nie potrafię zrozumieć ziomków, którzy lubią oglądać kręgle w telewizji.

– Ale to żadne wady. Podaj mi jakieś prawdziwe wady, żebym mogła cię strącić z piedestału, na który z powodzeniem się wspinasz.

Znowu się do mnie obraca, szeroko roześmiany.

– Nie mam wad. Jestem idealny, przykro mi.

Przewracam oczami.

– No dobrze, więc ja pierwsza. Czasami w kościele, gdy powinnam skupiać się na słowach księdza, rozmyślałam o czymś innym.

Patrzy na mnie zza przymrużonych powiek, jakby nie był pewien, czy mówię serio.

– To też nie wada, kochana. Zwykła samoobrona. Przecież kazania bywają w chuj nudne.

– W chuj – powtarzam. – Jakim cudem to jest jednostka miary?

– Po prostu – odpowiada, wzruszając ramionami.

– No dobra, mam: jestem bałaganiarą.

– Zauważyłem. Twoje mieszkanie wyglądało, jakby przeszło przez nie tornado.

Promienieję, bo odczuwam głupawą dumę, że się ze mną zgodził. Teraz też musi czymś się ze mną podzielić.

– Ale odkryłam to dopiero niedawno. Wcześniej musiałam być we wszystkim perfekcyjna...

Przerywam, przygryzam wargę.

Naz opiera się biodrem o kuchenkę i przekrzywia głowę, żeby dobrze mi się przyjrzeć.

– Będzie super – mówi w końcu.

– Co?

– Obserwowanie, jak odkrywasz rzeczy, które sama lubisz robić. – Czuję ciepło na karku. –

Wiesz, może się okazać, że lubisz zbierać skóry węży...

– Fuj!

– ...albo rzeźbić w maśle, albo przebierać się za postacie z „Gwiezdných wojen” i klócić z ludźmi na forach internetowych. Albo wypychać zwierzęta! O tak, widzę cię w domu pełnym wypchanych jamników.

– Jesteś mocno zaburzony – stwierdzam, piorunując go wzrokiem.

– Nie – odpowiada głosem niewiniątka. – To wszystko moje prawdziwe zamiłowania, z wyjątkiem tych wypchanych jamników. Nie podobają ci się?

– Nie podobają mi się – mówię, kręcąc głową i usilnie tłumiąc uśmiech, żeby nie zachęcać go do dalszych popisów. – Dziękuję ci bardzo, ale myślę, że wybiorę sobie coś normalniejszego i nudniejszego, na przykład dzierganie.

– To wcale nie jest nudne, za to praktyczne. Mogłabyś wydzierać jakieś zajebiste szaliki i rękawiczki.

– Rękawiczki? Jeżeli należysz do facetów chodzących w wełnianych rękawiczkach, to stanowczo przeszacowałam twoją męskość.

– Myślisz, że bym ich nie założył? – Otwiera słoje sosu pomidorowego i dolewa jego zawartość do podsmażonego mięsa, a potem delikatnie miesza całość. Na koniec wyciąga z szafki dwa talerze i nakłada na nie po porcji makaronu.

– Dudley, sownie bym zapłaciła za możliwość zobaczenia cię w wełnianych rękawiczkach.

– Chciałbym różowe, jeśli łaska.

– Różowe?

– To bardzo słabo reprezentowany kolor w naszym twardejskim światku. – Nalewa na oba kopczyki makaronu sosu mięsnego, wyciąga z szuflady widelce i zanosz dania na drewnianym stole przylegającym do kuchni części jadalnej.

– Siadaj – rzuca. – Otworzę butelkę wina.

Naprawdę umarłam i trafiłam do nieba. Olśniona Nazem wędruję do stołu i delikatnie opadam na krzesło.

– Pachnie cudownie.

– Nie zaczynaj beze mnie. Bo naprawdę urazisz moje uczucia.

Nie wiem, czy żartuje, bo stoi do mnie tyłem i mówi neutralnym tonem, ale postanawiam przyjąć, że nie, i posłusznie składam ręce na kolanach. Skupiam się na przyjemności patrzenia, jak wybiera wino z niewielkiego drewnianego stojaka, który stoi na blacie, a potem oddaje się rytuałowi odkorkowywania butelki. Wraca z dwoma kieliszkami caberneta.

– Naprawdę w to wszystko nie wierzę – mówię zdumiona, rozglądając się po całym poziomie i dotykając szklanej nóżki kieliszka.

– Też byłem pod wrażeniem, gdy mi to pokazali – stwierdza, siadając naprzeciwko. Łapie za widelec i oślepia mnie perlistym uśmiechem. – Smacznego.

Nabiera pełny widelec makaronu, wkłada porcję do buzi i zaczyna przeżuwać. Przyglądam się mu w ciszy.

– Co? – pyta, gdy zauważa, że się gapię.

– Ja... ja... – Zamykam oczy, nagle przytłoczona emocjami.

– Dysonans poznawczy.

Otwieram oczy i patrzę na niego. Rzucił to nonszalanckim tonem. Dołożył jeszcze równie nonszalanckie wzruszenie ramion.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy.

– Dysonans pojawia się, gdy twój umysł próbuje utrzymać dwa sprzeczne ze sobą przekonania.

Z jednej strony nadal masz ochotę mnie zabić za... sama wiesz za co. Z drugiej totalnie cię rozwalam moją męskością, cudownością i miażdżącym seksapilem. No i szalonym talentem kulinarnym. I jak makaron, skoro już przy tym jesteśmy?

– Jeszcze nie spróbowałam – odpowiadam, podczas gdy on pochłania kolejne kęsy.

– Twój mózg potrzebuje czasu, żeby ustalić, co jest czym. To zupełnie normalny stres psychologiczny.

– I stąd ten cały zakaz penetracji – stwierdzam, gdy Naz ponownie skupia się na zjadaniu.

– Otóż to. Będzie ci znacznie łatwiej rzucić moje dupsko w cholerę, jeżeli nie zwiążemy się na płaszczyźnie seksualnej. Nie żebyś naprawdę miała mnie rzucić, bo przecież jestem nieziemski, ale tak tylko mówię. Jeżeli po wszystkim postanowisz odejść samotnie ku zachodzącemu słońcu, to bez seksu wszystkim będzie lżej.

– To twój sposób na zasygnalizowanie, że jesteś niesamowity w łóżku, nie wypowiadając tych słów dosłownie, tak?

– Znowu mnie przyłapałaś – odpowiada z osłepiającym uśmiechem.

Upijam łyk wina, ciągle patrząc, jak je.

– Z twoją teorią jest jeden problem, Einsteinie.

– Ta? Jaki?

– Ja już jestem z tobą związana.

Zamiera z w połowie uniesionym widelcem i patrzy na mnie osłupiały.

Teraz moja kolej na uśmiech i spróbowanie makaronu. Jest pyszny.

– Mówisz to tylko po to, żeby zaciągnąć mnie do łóżka, prawda? – pyta ochryple.

Uśmiecham się do niego jak Mona Lisa i biorę kolejny łyk wina.

Po dłuższej chwili Naz kręci głową i rechocze.

– Z góry wiem, że pieprzenie się ze mną trafi na listę twoich ulubionych hobby.

– Zamień „ze mną” na „mnie”, wtedy zdanie będzie poprawne.

Prawie wypadł mu widelec z ręki, wybucham głośnym śmiechem. Po chwili rzuca się na mnie żartobliwie, wydając przy tym zwierzęce pochrumkiwania.

Gdy wróciliśmy do jedzenia, było już zupełnie zimne.

## ROZDZIAŁ 24

### Naz

Nie spałem tak dobrze od dwudziestu lat.

Budzę się z Evą w ramionach i sercem tak napęczniałym, że zaraz pęknie. Leżę w ciemności, wsłuchując się w jej oddech i zmawiam dziękczynną modlitwę do siły kierującej wszechświatem, czymkolwiek jest.

Pozwalam rękom, by uczyły się przebiegu krzywizn jej ciała. Mój nos zapamiętuje każdą subtelność jej zapachu. Wodzę opuszką palca po krawędzi małżowiny jej ucha, podziwiam jej delikatny kształt, delikatny puszek na jej karku, malutkie, idealne wybrzuszenia jej kręgow, ciągnące się w dół niczym kaskada pereł.

Moja skupiona uwaga w końcu ją wybudza. Rozciąga się przy mnie, wszystkie jej mięśnie napinają się i lekko drżą. Rozluźnia się z głębokim westchnięciem, a następnie obraca ku mnie uśmiechniętą twarz.

– Jesteś tu – stwierdza rozspanym głosem.

– Zawsze.

– Bałam się, że to wszystko był sen.

Całuję słodki punkcik, w którym ramię schodzi się z karkiem i przytulam ją mocniej. Znam mężczyzn, którzy szcycą się tym, że nigdy nie przytulają się z kobietami, bo uważają to za ckliwość czy słabość. Bawi mnie ich kretynizm.

Tak chcę spędzić resztę życia. Owinięty wokół słodkiego, miękkiego ciepła tej kobiety.

– Która godzina?

– Zegar mówi wpół do dziewiątej.

– Wow, nieźle pospaliśmy.

– Byliśmy zmęczeni. Głodna?

– Chyba nadal jestem pełna po spaghetti – odpowiada ze śmiechem.

Gładzę dłonią jej brzuch, jest zachwycająco odmienny od mojego. Gibki i krągły, stworzony, by stać się kolebką życia. W moich trzewiach rozlewa się pierwotna żądza, żeby wypełnić jej ciało czymś więcej, niż tylko twardym kutasem.

– Myślałaś kiedyś o dzieciach?

Nie wiem, czy cała zeszywniała z powodu pytania, czy mojego szorstkawego tonu.

– Bestyjko... – mówi ledwie słyszalnie, na nierównym wydechu.

– Bo ja chcę mieć dzieci. Tak tylko zaznaczam.

Po dłuższej chwili rzuca zduszonym głosem.

– Musisz przestać opowiadać rzeczy, przez które chce mi się ryczeć!

Przewracam ją na bok i obejmuję, wtulam jej głowę w tors. Trzymam ją mocno, zarzuciwszy udo na jej nogi, aż trudno jej oddychać.

– Dobra, wróćmy do tematu później. Zastanawiam się, czy to odpowiedni moment, żeby ogłosić, że chrapiesz.

– Wcale nie chrapię – rzuca w mój tors. Jej słowa są stłumione, ale słyszę w nich śmiech, co bardzo mnie cieszy.

– Thelma, powinnaś się usłyszeć. Jak obora pełna podekscytowanych świń, walczących o ostatnią trufkę. – Jej ramiona zaczynają podskakiwać. – Odnotowałem, że gdy wczoraj szczyliłaś się swoimi wadami, tę raczyłaś pominąć. Mam się nastawiać na kolejne niespodzianki? Odór stóp? Wzdęcia?

– Na to ostatnie kupiłam kilka par majtek z węglowymi wkładkami. – Chichocze radośnie. – Ale przypomnij mi, żebym zamówiła kolejne pudełko, bo już mi się kończą.

– Zamówimy regularne dostawy. Razem z wkładkami antyzapachowymi do butów.

Eva unosi głowę i całuje mnie w podbródek.

– Bestyjko, a ty nie zapomnij o pudrze na pchły do futerka. Widziałam, jak się drapiesz. Stykamy się nosami i uśmiechamy do siebie.

– Dzień dobry.

– I wzajemnie – odpowiada. – Zawsze jesteś taki gadatliwy po obudzeniu?

– Jak na superbohatera rzeczywiście lubię pogawędzić, prawda? Hmm. Chyba muszę popracować nad bardziej ponurą, wiecznie zamyśloną pozą. Może wtedy potraktujesz mnie poważniej.

– Wyobrażam sobie, jak bierzesz jednym skokiem rząd kubłów na śmieci, w różowych, wełnianych rękawiczkach. Obawiam się, że do tego nie da się podejść poważnie.

– No, w dużej mierze cię rozumiem. – Daję jej szybkiego buziaka i ponownie mocno przytulam. – Powinniśmy wstawać, bo mój kutas zaraz zacznie rozróbę.

– Owszem, zauważyłam, że jest odrobinę pobudzony.

– Na przyszłość, nigdy nie używaj słów typu „odrobina” w odniesieniu do penisa.

– Och, przepraszam. Zauważyłam, że jest gargantuicznie pobudzony.

– Znacznie lepiej – przyznaję z szerokim uśmiechem.

Eva przymyka oczy i kręci głową.

– Mężczyźni to bardzo proste stworzenia.

– Jeżeli przez proste rozumiesz fascynujące, to dziękuję.

– Bynajmniej, ale nie ma za co.

Eva odrzuca na bok kołdrę, wstaje i rusza do łazienki, po drodze rozciągając ręce nad głową i racząc mnie cudownym widokiem nagiego tyłka.

Zmawiam w myślach kolejną dziękczynną modlitwę, po czym wyskakuję z łóżka i ruszam za nią.

\*\*\*

Godzinę później jesteśmy w drodze na górę, do gabinetu Connora. Zastajemy go tam z Tabby, która odchyła się na krześle, z nogami opartymi o krawędź biurka, i zaciśniętymi w skupieniu ustami obraca w palcach kostkę Rubika.

Nie zdradzam się z reakcją na jej strój, choć naprawdę trudno nie wybuchnąć śmiechem. Widywałem bardziej konserwatywnie odziane clowny.

Connor podnosi wzrok znad biurka i zwraca się do nas z szerokim uśmiechem.

– Dzień dobry, dzieciaczki. Dobrzeście pospały?

Obejmuję Evę ramieniem i przyciągam ją do siebie.

– Dobrze.

Uśmiecham się do niej z góry, a jej policzki zachodzą rumieńcem. Doskonale wie, o co tak naprawdę pytał szef.

– Czas!

Tabby odkłada kostkę na biurko. Jest ułożona, każda ścianka pełna, w jednolitym kolorze.

– Dziewięćdziesiąt dwie sekundy – odczytuje z zegarka Connor.

– Na serio? – Tabby wygląda na zaniepokojoną. – Boginie słodkie, umysł mi tępieje.

– To zły wynik? – pyta Eva.

– Ech, starość – odpowiada Tabby, machając ręką z rezygnacją. – Synapsy nie strzelają już jak dawniej.

– Starość? – pryham. – Masz ledwie trzydziestkę.

– Po dwudziestych siódmym urodzinach jest już z górki. – W tym momencie posyła mężowi ciepłe spojrzenie. – Cud, że ten stary piernik pamięta jeszcze, jak ma na imię.

– Ha! – parska Connor z udawanym gniewem.

– Chodźcie, siadajcie – mówi Tabby, ściągając swoje długie nogi z biurka.

Gdy zajmujemy miejsca naprzeciwko jej męża, taksuje nas przeszywającym spojrzeniem, a potem uśmiecha się od ucha do ucha i zaczyna podskakiwać na siedzeniu.

Przewracam oczami, Connor rechocze pod nosem, a Eva pyta skwaszonym głosem:

– To aż tak oczywiste, co?

– Emanujesz blaskiem widocznym spoza układu słonecznego – stwierdza Tabby. – I tylko delikatnie przesadzam.

– Lepiej naprawdę skombinuj tę burkę, kochana – mówię, ściskając Evę za rękę. – Bo oślepiasz ludzi.

Jej policzki stają się jeszcze czerwiejsze.

– No dobrze – zwraca się Tabby do męża, już rzeczowym tonem – skoro mamy niezbity dowód, że Nasir nie został zastrzelony we śnie, możemy ruszać dalej. – Zerka na mnie z ukosa i powtarza: – Cieszę się, że nie zostałeś zastrzelony we śnie. – Na koniec uśmiecha się promiennie do Evy.

Connor posyła mi spojrzenie, które ma chyba znaczyć: „ech, pieprzone dziewczuchy”.

Kręcę głową, uśmiecham się do niego szeroko, i pytam:

– Pojawilo się od wczoraj coś nowego?

– Nic, zero. I, jak zapewne się domyślasz, brachu, to świetne nowiny.

Eva bierze głęboki wdech i zatapia się głębiej w krzesło.

Connor zauważywszy, że jej ulżyło, kiwa jej głową.

– Jestem pewien, że gdyby Dmitrij coś zwietrzył, to by się do mnie odezwał, tymczasem w jego skrzynce mailowej i ruchu w sieci nadal nie ma niczego, co świadczyłoby, że przejrzał, sytuację. W jego domu również nie odnotowaliśmy niczego niecodziennego.

– Dysponujemy przekazem satelitarnym – wyjaśnia Tabby na widok zdezorientowanej miny Evy. – Możemy oglądać dom z zewnątrz i otaczający go teren. Niestety jego system bezpieczeństwa działa w obwodzie zamkniętym, więc do środka nie zajrzemy.

– Bez tego i bez dostępu do jego komórki tak naprawdę nie wiemy, co robi, mam rację? – pyta Eva sceptycznie.

– Myślisz, że gdyby się dowiedział, że wyleciałaś z Cozumel, to siedziałby spokojnie na tyłku? – odpowiada pytaniem Connor.

Eva zastanawia się przez chwilę, przygryzając dolną wargę.

– Nie potrafi panować nad nerwami i nigdy nie uciekał się do forteli. Gdyby coś planował, wręcz ogłosiłby wam swoje zamiary, inną postawę uznałby za przejaw słabości... – zawiesza głos. – Powiedziałby dokładnie, co zamierza z wami zrobić.

Wymieniamy z Connorem porozumiewawcze spojrzenia.

– Prawdopodobnie ma dziś pilniejsze problemy – wtrąca niewinnie Tabby, przyglądając się własnym paznokciom.

– Na przykład?

Zerka na mnie z uśmiechem godnym kota z Cheshire.

– Na przykład stara się ustalić, gdzie się podziała cała jego forsa.

– Co masz na myśli?! – Eva prawie podrywa się z krzesła.

– Wydaje się, że w komputerze w jego banku wystąpił jakiś glitch. – Wesołe kurwiki w oczach Connora przeczą jego poważnemu tonowi. – Jakimś sposobem jego zasoby trafiły na konta kilkudziesięciu organizacji charytatywnych. Niestety, przelewy tak się ze sobą pogmatwały, że nie da się ich wyśledzić, ale sporo przytułków dla kobiet czeka rano miła niespodzianka.

Eva patrzy to na Connora, to na Tabby, jej gardło pracuje, jakby usilnie połykała łyzy.

– Naprawdę? Możecie to zrobić?

– Już to zrobiliśmy.

Przerywa nam dzwonek telefonu na biurku Connora. Rzuca okiem na wyświetlacz i zamiera. Gdy podnosi na mnie spojrzenie, jego czarne oczy robią się jeszcze czarniejsze, choć myślałem, że to niemożliwe.

– O wilku mowa.

Adrenalina rozsadza mi ciało. W dwie sekundy moje tętno skacze z normalnej prędkości w ponaddwukrotną.

– To on?

– Tja.

Eva zasłania usta dłońmi i kurczy się na krześle.

– O, Boże.

Krew odpływa jej z twarzy, jest blada jak trup. Łapie ją za rękę, jest lepka od potu.

– Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

– Nie znasz go... – szepcze rozedrgana.

– Wrzucamy na luz – stwierdza Connor, gdy telefon wciąż dzwoni. – Odbiorę na głosnomówiącym, więc ani słowa, rozumiemy się?

Wszyscy kiwamy głowami. Powietrze w gabinecie aż iskrzy napięciem.

Connor naciska guzik na opływowym, czarnym aparacie, który stoi na jego biurku, a potem mówi, wzorowo udając naturalny, nieco znudzony głos:

– Jak się pan miewa, panie Ivanov?

– Niedobrze.

Lodowaty, gładki głos Dmitrija wypełnia całe pomieszczenie.

– Tak? – Connor posyła Evie ostrzegawcze spojrzenie, bo wydała z siebie cichy pisk przerażenia.

– Tak. Mam nieoczekiwane problemy. Dlatego dzwonię.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Pański czas jest cenny, więc nie będę owijał w bawełnę. Bank zamroził moje konta. Zapewnili mnie, że to wynik błędu w ich systemie komputerowym, ale jak na razie nie znaleźli żadnego rozwiązania.

– Więc? – rzuca Connor po chwili ciszy.

– Nadchodzi czas zapłaty za pańskie usługi. – Connor patrzy na mnie, unosząc brwi w zaskoczeniu. Dmitrij kontynuuje, nie czekając na odpowiedź: – A jako że są kosztowne, postanowiłem z nich zrezygnować.

Następuje pauza i wszyscy wstrzymujemy oddechy. Eva wytrzeszcza oczy. Ścisza mnie za rękę tak mocno, że zaraz zmiażdży mi kości.

– Chciałby pan zrezygnować... – powtarza Connor powoli.

– Tak, ze skutkiem natychmiastowym – Dmitrij robi krótką pauzę, a gdy kontynuuje, w jego głosie słychać nutę zmęczenia. – Szczerze mówiąc, panie Hughes, dzięki rozłące z małżonką zdobyłem jakże cenny, wyraźny ogląd naszego związku. Nie sprawdzał się, dla nas obojga. W świetle niedawnych problemów zdrowotnych uznałem, że życie jest zbyt krótkie, by brnąć w ślepe uliczki.

Eva przestaje oddychać. Jej ciało jest tak napięte, jakby była w stężeniu pośmiertnym.

– Problemów zdrowotnych? – dopytuje Connor, siłąc się na maksymalną swobodę tonu.

– Cukrzyca wywołuje problemy ze wzrokiem i neuropatię. Nie będę pana zanudzał szczegółami.

– Rozumiem. Przykro mi to słyszeć. Bezwłocznie odwołam mojego człowieka.

– Proszę przysłać ostatnią fakturę, zaaranżuję transfer gotówkowy.

– To nie będzie konieczne – odpowiada Connor. – Płacił pan z góry, więc na tę chwilę jesteśmy kwita.

– Dziękuję. Dziękuję również za pańską ciężką pracę.

Po tych słowach żegnają się i rozłączają.

Patrzemy po sobie wstrząśnięci.

Connor odzywa się jako pierwszy.

– Naprawdę ma cukrzycę?

Eva przytakuje, oblizując spierzchnięte wargi.

– Musiałam mu robić zastrzyki insulinowe. Nie mogłam zostawić siniaków... – urywa i milknie, a po chwili stwierdza stanowczo: – To nie może być takie proste.

– Kochana... – Delikatnie ściskam jej dłoń, obraca się do mnie. – Brzmiał, jakby mówił szczerze?

– Nie mogę być pewna, nie widząc jego twarzy – odpowiada po namyśle.

– Mówiłaś, że nie potrafi panować nad nerwami i że nie posłużyłby się fortelem, bo uznałby to za słabość.

Eva się zastanawia, wygląda na mocno zatroskaną.



– To prawda. Zawsze zachowywał się jak taran. W jego metodach nie było cienia subtelności. Z drugiej strony zatrudnił was, żebyście mnie obserwowali przez te wszystkie miesiące, a to też do niego nie pasuje. Nadal nie rozumiem, dlaczego nie wysłał po mnie swoich ludzi, gdy tylko dowiedział się, gdzie jestem.

Próbuję, długo i usilnie, wymyślić, jak najdelikatniej ująć to, co mam do powiedzenia, ale nie potrafię.

– Może... – Oddycham głęboko. – Ma nową ulubienicę... – Eva mruga. Pochylam się nad nią i kontynuuję cichszym głosem: – Sama mówiłaś, że wytrzymałaś dłużej niż inne dziewczyny, które szybko zniknęły. Może uciekłaś w idealnym momencie. Może i tak chciał cię zastąpić. Może obserwowanie cię przez jakiś czas go bawiło, ale potem zainteresował się... czymś innym.

Mruga jeszcze szybciej, trzepotowi jej rzęs towarzyszy coraz mocniejszy zacisk dłoni wokół moich palców. Zerka na Tabby, jakby szukała u niej pomocy.

Tabby też się zastanawia, mrużąc swoje zielone oczy, ale chyba nie doszła do żadnych wniosków, bo się nie odzywa. Ciszę ponownie przerywa Connor.

– Ja to widzę tak. – Wszyscy przenosimy na niego spojrzenia. – Nie będziemy mieli pewności, dopóki Dmitrij nie wykona jakiegoś ruchu, no chyba że nigdy żadnego nie wykona. Tak czy siak, potrzebujemy planów i musimy być bardzo ostrożni. Pozostajemy w stanie wysokiego pogotowia przez siedemdziesiąt dwie godziny. Jesteśmy czujni i gotowi na wszystko.

– A potem? – pyta Eva.

– Potem ponowna ocena sytuacji. Zobaczymy, czy dowiemy się czegoś nowego.

Eva wygląda, jak żołnierze oszołomieni nawałą artyleryjską wroga.

– Nie wierzę, że dałby mi odejść ot tak. Po tylu latach. Po tym wszystkim...

Jej oczy zachodzą mgłą. Widzę, że zanurza się w złych wspomnieniach. Nie chcę, żeby to robiła. Wstaję i delikatnie podnoszę ją za sobą.

– Poziom Double Take jest jak na razie okej? – pytam Connora, ale nie odrywam wzroku od zatroskanej twarzy Ewy.

– Na razie. Poweźszymy więcej, może zauważymy coś niezwykłego. Eva? – Spogląda na Connora. – Muszę chwilę pogadać z twoim facetem. Tabby odprowadzi cię na dół, dobrze?

Eva kiwa głową i odwraca się, by odejść, ale łapię ją za rękę i mocno obejmuję.

– Nie martw się – szepczę jej na ucho. – Nie ma dla nas bezpieczniejszego miejsca.

Uśmiecha się do mnie słabo. Nie chcę wypuszczać jej z objęć, ale Tabby czeka już w progu gabinetu.

Kiedy wychodzą, wracam na krzesło. Patrzymy na siebie z Connorem.

– I tak go ściągnę. Takie chore pojeby nie powinny chodzić po świecie.

– Zgadzam się. – Connor kiwa głową niespiesznie. – Ale dzięki temu kupiliśmy sobie więcej czasu na planowanie.

– Myślisz, że mówił prawdę?

– Faceci jego pokroju rzadko wywalają wszystkie karty na stół. Nie wiem, co miałby na tym zyskać.

– Może chce uspić naszą czujność? Żeby łatwiej ją dopaść?

– Miał trzy miesiące, mógł ją dorwać w każdej chwili. W ogóle nie musiał nas zatrudniać.

Przeczesałem włosy palcami, jestem zestresowany, ale czuję drobną nadzieję.

– Wiem tyle, że nie tego oczekiwałem.

– Do cholery, brachu – wzdycha Connor, wstając – może tym razem po prostu się nam poszczęściło.

Obchodzi biurko. Niespodziewanie zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku i poklepuje po plecach. Moje barki wrzeszczą z bólu. Chyba słyszę chrzęst pękających żeber. W końcu odsuwa się ode mnie i szczerzy zęby.

– A teraz wypierdalaj i zajmij się swoją kobietą. Aha, przy okazji, cieszę się, że żyjesz. Nie zjeb tego.

– Przyjąłem, bez odbioru – rzucam w połowie drogi do drzwi.

## ROZDZIAŁ 25

Eva

Odprowadziwszy mnie na poziom Double Take, Tabby bacznie mi się przygląda.

– Chyba przyda ci się tu więcej niż jedna flaszka rumu. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Kryształowej kuli? – parskam, ale mój śmiech jest równie rozedrgany jak moje dłonie.

Tabby spogląda na mnie ze współczuciem i ściska moją rękę.

– Masz za sobą ciężkie dni. I tak, jestem królową eufemizmów.

Chciałabym się uśmiechnąć, ale na mojej twarzy pojawia się jedynie grymas. Możliwe, że znowu hiperwentyluję.

Dmitrij pozwala mi odejść.

Czy to może być prawda?

– Nie wiem, czy to coś warte, ale brzmiał szczerze – stwierdza Tabby. – No ale ty znasz go lepiej...

Wymownie zawiesza głos, jakby wiedziała, że muszę coś powiedzieć. I ma rację.

– Wiem, że jego ego nigdy nie pozwoli, by ktoś choć pomyślał, że go ograł. Dokładnie widziałam, jak funkcjonują jego wyjątkowe patologie. To nie Machiavelli, tylko Hulk. Rozwała wszystko, co go denerwuje.

– Więc czemu mu nie wierzysz? – pyta cicho.

Patrzemy sobie w oczy i zapewne dostrzegamy w swoich spojrzeniach to samo: nieufność i mrok, jątrzące się rany zadane przez barbarzyńskich mężczyzn.

Moje oczy zachodzą łzami.

– Bo nauczył mnie, że dobrzy ludzie zawsze przegrywają – dukam łamiącym się głosem.

Tabby rozkłada ramiona i bierze mnie w najdelikatniejszy uścisk, jakiego doświadczyłam.

– A jednak czasami wygrywają – stwierdza. – Na tyle często, by dawać nam nadzieję.

Stoimy w bezruchu, udzielając sobie milczącego wsparcia, dopóki do pokoju nie wchodzi Naz.

Wtedy odsuwamy się od siebie, obie wycieramy oczy.

– Och... – Staje jak wryty, zaniepokojony naszym wyglądem. – Eee...

– W porządku, Nasir, wszystko gra. – Tabby cmoka go w policzek i wychodzi, bujając kucykami.

Naz patrzy na mnie swoimi boskimi, ciemnymi oczami. Tym razem jest w nich troska.

– Mów.

Nerwowo wypuszczam powietrze z płuc.

– Z jednej strony oczekuję, że Dmitrij wkrótce wpadnie przez te drzwi, strzelając na oślep.

Z drugiej, myślę sobie... że może naprawdę... ten koszmar się skończył.

Bierze mnie w ramiona i całuje w czoło.

– Biedny ten twój mózg, dysonans poznawczy to niezły skurwiel, co?

Opieram policzek na jego torsie, znajdując pociechę w silnym, miarowym biciu jego serca.

– Tak – szepczę. – Jak wtedy, gdy zakładasz krótkie bojówki i myślisz sobie, że wyglądasz świetnie, aż tu nagle zauważasz się w lustrze i twój mózg musi podołać przerażającej rzeczywistości.

Śmiech Naza jest niczym niski łoskot, który rozbrzmiewa gdzieś pod moim uchem.

– Dobrze. Poczucie humoru na pewno pomoże.

– Z obecną sytuacją czy nieuchronną traumą, której doznam w wyniku twoich przyszłych wyborów modowych?

– Z obiema. Chyba wiem, co jeszcze mogłoby ci pomóc.

Podnoszę na niego zaintrygowane spojrzenie.

Uśmiecha się, jakby nie miał na tym świecie ani jednej troski.

– Thelma, musisz jeść. Nie chcemy, żeby to twoje wielkie dupsko zaczęło się kurczyć, prawda?

Bierze mnie na ręce i niesie do kuchni, a ja śmieję się do utraty tchu, złapana pomiędzy płaczem a szczęściem. Ciekawe, czy w końcu ziścił się cud, o który tak długo się modliłam.

Może Bóg nareszcie się nade mną zlitował.

\*\*\*

Minęły trzy dni. Funkcjonujemy z Nazem w dziwnej bańce poza zasięgiem zewnętrznego świata, zawieszeni w niebycie jak uwięzieni w bursztynie komar. Jemy, śpimy, kąpiemy się, rozmawiamy... rozmawiamy, czasami całymi godzinami... w naszej bezpiecznej twierdzy pod powierzchnią miasta. Naz wie o fascynujące życie, uwielbiam słuchać jego historii.

Ja też opowiadam mu o sobie, historii z czasów sprzed baletu. Zanim zostałam królowną numer sześć w Ognistym ptaku i przyciągnęłam uwagę bezdusznego, błękitnookiego demona, który na zawsze zmienił moje życie.

Wiem, że to durny zabobon, ale od tego czasu nienawidzę cyfry sześć.

Naz puszcza muzykę i prosi, bym dla niego zatańczyła. Odpowiadam, że nie mogę. Gdy pyta dlaczego, przyznaję, że to była ulubiona rozrywka Dmitrija. Patrzył, jak tańczę, tymczasem moje obite ciało wrzeszczało z bólu w czasie kolejnych, niekończących się *grand jeté* i *soubresaut*, podczas budzącego grozę *relevé*, w czasie którego musiałam stać na czubkach palców i trzymać ręce nad głową przez nawet dziesięć minut, w idealnym bezruchu.

Ale zakrwawione palce były niczym w porównaniu do kary, jaką mi wymierzał, gdy nie dawałam rady.

Po moich wyjaśnieniach Naz wyłącza muzykę. Długo milczy.

Raz, w środku nocy, wiedząc, że również nie mogę spać, pyta cicho:

– Jak to przetrwałaś?

Nie odpowiadam. Bo jak wyjaśnić drugiemu człowiekowi, że gdy już pogodzisz się z brakiem wyjścia, całkiem łatwo skapitulować w obliczu horroru? Przetrwanie to po prostu sztuka eleganckiego cierpienia pod ciężarem sił, pozostających poza naszą kontrolą.

Przestałam bać się śmierci, bo oczekiwałam jej w każdej chwili.

Jutro istnieje tylko w naszych umysłach.

\*\*\*

Czwartego dnia ponownie zebraliśmy się w gabinecie Connora. Miałam wrażenie, że jesteśmy z Nazem ocalonymi z nuklearnej zagłady, którzy wyłaniają się ze schronu, by zapłakać nad zgłiszczami świata.

– Wyglądacie na wypoczętych – stwierdza Connor sardonycznym tonem.

– Wypoczęliśmy, dziękujemy – odpowiada mu Naz.

– A jak przestrelone ramię, brachu?

– Boli tylko przy oddychaniu.

Uśmiechają się do siebie.

Connor zaprasza nas gestem na krzesła, więc siadamy i wszyscy patrzymy po sobie.

– Dalej nic nie mamy – przyznaje w końcu. – Dmitrij wymienia maile niemal tylko z bankiem. Z domu wyjechał raz, do lekarza. Do środka wpuścił tylko dwie osoby, hydraulika i florystkę.

Boże, kwiaty. Dostawa świeżych każdego tygodnia. Cały pałac pachniał liliami z Casablanki. Omdlewającą słodyczą, jak w zakładzie pogrzebowym.

Krzywię się na to wspomnienie, a Naz natychmiast wyciąga rękę i ściska moje ramię.

– Świetne nowiny.

– Też tak myślałem.

Wymieniają spojrzenie zawierające ukryte, zrozumiałe tylko dla nich znaczenie.

– Co? – pytam.

Connor rozpira się na krześle, przeplata palce na brzuchu.

– Niecierpliwicie się już ciutkę tam, na dole?

– Tak, skoro już o tym wspomniałeś. Nie ma okien. Trochę jak w klatce.

– Przydałaby się mała zmiana otoczonka?

– Na przykład jaka? – pytam, zerkając na Naza, który chyba wie, do czego zmierza Connor. W kąciku jego ust wisi ledwie dostrzegalny uśmiech.

– Na przykład... przenosiny do własnego lokalu – stwierdza Naz.

Przechodzi mnie dreszcz, jakieś lekkie porażenie prądem, które dociera do samych czubków palców u moich stóp.

– Byłoby tam bezpiecznie – zapewnia mnie spokojnym głosem, jego oczy lśnią. – To kryjówka, niedaleko stąd, ale zapewnia prywatność.

Prywatność. Zostalibyśmy sami. Tylko we dwoje, we własnym miejscu, bez armii uzbrojonych facetów, kręcących się po klatkach schodowych.

Jak normalni ludzie.

Jak normalna para.

– Są tam okna? – pytam i Naz wybucha śmiechem.

– Tak, są. Kuloodporne, ale okna to okna.

– Jesteście pewni, że możemy bezpiecznie stąd wyjść?

– Bezpieczeństwo to pojęcie względne – odpowiada Connor, wzruszając ramionami. – Przyszłości nie przewidzisz. Mogę oceniać to, co wiemy, czyli w tej chwili jedno: wielkie nic. Wasza decyzja, możecie zostać tu dłużej. Jak wiecie, jesteście bardzo mile widziani.

Przygryzam kciuk i zerkam na Naza.

– Co ty o tym myślisz?

– Będę szczęśliwy tam, gdzie ty będziesz szczęśliwa – odpowiada czule. – Szczerze powiedziawszy wyglądasz na mocno podminowaną tą propozycją, więc może to kiepski pomysł.

Wstaję i zaczynam chodzić po gabinecie, myślę. Reszta milczy, pozwalają mi to wszystko przyswoić, choć czuję na sobie uwagę Naza. Skupia się na mnie tak intensywnie, że mam wrażenie, że śledzą mnie dwie wiązki laserowe.

W końcu staję i patrzę na nich po kolei.

– A byłaby możliwość przeprowadzenia próby? – pytam.

– Co dokładnie masz na myśli? – docieka Connor.

– Bardzo bym chciała pójść do kościoła.

Connor mruga zaskoczony, ale to Naz odpowiada.

– Pewnie. Możemy to zaaranżować – mówi, patrząc na szefa. – Mam rację?

– Czyli chcesz stąd wyjść i wrócić, dobrze zrozumiałem?

– Tak.

– Okej, zrobi się – przytakuje.

– Muszę się wcielić w adwokata diabła – wtrąca Naz. – W kościele będziemy niechronieni.

– Nadal mam pistolet Connora – mówię. – I jestem pewna, że wam też nie brakuje broni.

– Wdałabyś się w strzelaninę w domu Pana? – rechocze Connor.

– Bóg pomaga tym, którzy potrafią pomóc samym sobie. Zrozumie, że muszę się bronić.

Panowie, zdumieni posępnym tonem, jakim wypowiedziałam te słowa, patrzą na mnie, a potem na siebie.

Zbieram w sobie odwagę, postanawiam, że najwyższy czas sprawdzić własne szczęście.

– Wiemy, że Dmitrij jest w Rosji. Ciągle się nad tym zastanawiam, ale nie potrafię wymyślić powodu, dla którego miałyby przysłać kogoś po mnie tutaj, a nie zrobił tego, gdy byłam na Cozumel. Oczywiście zakładając, że już wie, że jestem tu, a nie tam, a nic na to nie wskazuje. Więc... spróbujmy. Zabierzcie mnie do kościoła.

\*\*\*

Pomysł brzmiał bardzo prosto, ale najwyraźniej wojskowi uwielbiają we wszystkim przesadzać.

Connor i Naz wybrali kościół na podstawie jego odległości od siedziby Metrix. Na szczęście na Manhattanie nie brakuje kościołów i choć nie wybrali prawosławnej cerkwi, to nie zamierzam narzekać.

Następnie w pomieszczeniu, które Naz raczył nazwać „pokojem wojennym”, rozwiesili na

ścianie wielką mapę okolicy. Teraz razem z Connorem opracowują trasę do tego kościoła, mamrocząc między sobą poważnym tonem. Zajmuje im to mniej więcej tyle czasu, co pełna cięża słonicy afrykańskiej.

Gdy w końcu ustalili trasę, rozpoczyna się „odprawa”. Do pokoju wojennego przyczłapało ośmiu wielkich chłopów w wojskowych fryzurach, z pistoletami przy paskach, którzy stoją i zerkają na boki, gotowi zabić wszystko, co się poruszy, tymczasem Connor wdraża ich w kolejne etapy „misji”. Ciągłe padają, i to bez cienia ironii, frazy typu: „środek ciężkości”, „wrażliwość krytyczna” czy „pożądany efekt”.

Przychodzi czas nas totalnie pogmatwaną dysputę o logistycę i systemie przekazywania rozkazów. Mnie głowa już paruje.

Na koniec przynoszą kamizelki kuloodporne.

– Czy to aby odrobinę za bardzo nie rzuca się w oczy? – pytam Naza, spoglądając na czarną kewlarową kamizelkę, którą zdążył już zarzucić mi na ramiona.

– Lepiej rzucać się w oczy niż zginąć – odpowiada, zapinając jej przód.

Dziękuję bardzo za to wyjaśnienie.

Następnie, w środku falangi uzbrojonych facetów, zostaję odeskortowana do głównych drzwi budynku. Próbuję nie panikować, ale trudno się opanować, gdy w powietrzu wokół ciebie buzuje tyle testosteronu. Naprawdę trudno zachować spokój, gdy wszyscy naokoło emanują energią typu Strzelaj! Zabij! Giń!

Tabby, niezwykle rozsądnie, schowała się gdzieś na cały czas trwania operacji.

Gdy wielkie stalowe drzwi się rozsuwają, czekają na nas cztery czarne SUV-y. Z tego, co zdołałam zrozumieć, rozdzielimy się na grupki, które ruszą w różnych kierunkach. Oczywiście wynika to z „taktyki dywersyjnej”.

Nie zdołałam nawet zaczerpnąć świeżego powietrza, a Naz już pakuje mnie do jednego z pojazdów. Gdy zatrząskują się za mną drzwi, niezwykle pomocna wyobraźnia postanawia zwrócić mi uwagę, że przypominało to złowrogi odgłos zasuwanego wieka trumny.

– Te samochody są opancerzone – informuje mnie Naz. – Stal i szyby przeciwpancerne, są zdolne powstrzymać pociski niemal wszystkich kalibrów. Opony są odporne na przebicia i rozdarcia, a felgi stalowe, więc auto może uciec z wysoką prędkością, nawet gdyby ktoś rozwalił opony wybuchem. Karoseria jest z podwójnie utwardzanej stali, aluminium i tytanu. W drzwiach są dwudziestocentymetrowe płyty pancerne.

Gdy gapię się na niego, marszcząc brwi, uśmiecha się do mnie ciepło.

– Innymi słowy, jesteś tu bezpieczna. Trzeba by sporej bomby, żeby choć drasnąć tego sukinkota.

– Nawet moje śmiercionośne wzdęcia nie wystarczą?

– Nawet one – odpowiada z szerokim uśmiechem.

Dostrzegam w lusterku minę koleśka, który siedzi za kółkiem. Stara się nie reagować na mój niecodzienny komentarz, ale widzę, że zachodzi w głowę, na co choruję.

Wyjeżdżamy kawalkadą przez główną bramę. Skupiam się na regulowaniu oddechu. Naz siedzi obok i trzyma mnie za rękę.

Jedziemy ulicami Manhattanu.

Dzień jest cudowny, jak z broszury turystycznej. Słońce jasno świeci, oświetlając zielono-żółte liście drzew. Wszędzie roi się od ludzi, którzy spacerują, jeżdżą na rowerach, przeciskają wózki zatłoczonymi chodnikami, robią zakupy. Intensywność ruchu drogowego i niemilkące klaksony są przytłaczające. Nawet przed południem, w zwykły dzień tygodnia, miasto tętni nadaktywnością.

W Nowym Jorku nie obowiązuje czas z Cozumel. Tutaj wszystko toczy się z prędkością światła.

Zerkam na Naza. Mruży oczy i sokolim wzrokiem monitoruje otoczenie w poszukiwaniu zagrożeń. Zauważam w lusterku bocznym, że SUV Connora trzyma się zaraz za naszym. Po chwili samochód przed nami gwałtownie skręca i znika w przecznicy.

Serce tak wali mi w piersi, że aż boli. Jestem na adrenalinowym haju, uderza mnie świadomość, że to być może moja pierwsza samochodowa przejażdżka jako wolnej kobiety.

Wolność. Jakie to piękne słowo.

Jeżeli wszystko się ułoży, to może pewnego dnia będę jeździła po Manhattanie własnym autem. Może to ja będę niecierpliwie wciskała klakson.

– Chcę się nauczyć prowadzić – wypalam do Naza.

– Może później, kochana, bo jesteśmy teraz nieco zajęci – odpowiada natychmiast. Posyła mi krótki, łobuzerski uśmiezek i wraca do skanowania przestrzeni za oknem.

Nagle wyłania się przed nami kościół. Szare wieże przebijają niebieską kopułę bezchmurnego nieba. Dostrzegam rząd witraży i znajomą sylwetkę bazyliki. Robię na piersi znak krzyża, to wieloletni nawyk, który zdążył przerodzić się w odruch.

Zerkam w tylne lusterko i zauważam, że SUV Connora gdzieś zniknął.

– Jesteśmy – stwierdza Naz spiętym głosem. – Warujemy. – Zauważa, że nie rozumiem, o co mu chodzi, więc wyjaśnia: – Musimy zachować czujność. Uważaj na otoczenie. I nie spuszcza ręki z broni.

Kwadratowy glock Connora tkwi niewygodnie za moim paskiem, kłując mnie w kość ogonową. Jakże różni się od mojej krągłej, opływowej trzydziestki ósemki, którą, jak sobie przypominam, ma Naz.

Później się o nią upomnę. Na razie cieszę się pokrzepiającą świadomością, że w spluwie Connora jest dwa razy więcej naboii.

Zatrzymujemy się gwałtownie przed kościołem. Naz wyskakuje z auta, obiega je, otwiera drzwi po mojej stronie i pomaga mi wysiąść. Gdy tylko staję na chodniku, SUV odjeżdża, a my z Nazem szybkim krokiem wchodzimy po kamiennych schodkach pod drewniane drzwi świątyni.

– Boczne wejście – rzuca, prowadząc mnie wokół budynku. Jego głos jest niezwykle cichy. Przełączył się na tryb megatwardziela, emanuje feromonami niebezpieczeństwa tak intensywnie, że mogłabym ich dotknąć.

Otwieramy drewniane drzwi i wchodzimy do środka.

W kościele jest spokojnie, chłodno i pięknie. Sączące się przez witraże światło kładzie na posadzce z polerowanego marmuru kobierzec złotych i karmazynowych rombów. Gdy tylko zanurzam palce w mosiężnej kropielnicy przy ścianie i woda święcona muska moją skórę, ogarnia mnie wielka ulga.

Naz szepcze coś do czarnej opaski na nadgarstku, nasłuchuje odpowiedzi, a potem kiwa głową. Wszyscy biorący udział w operacji są podłączeni do systemu łączności. Nie wiem, co Naz usłyszał, ale wygląda na zadowolonego. Kiwa głową, że mogę wejść w głąb nawy.

Idę więc naprzód, gumowe podeszwy moich butów nie skrzypią na marmurze, czuję zapach kadzidel i woskowych świec, sunę dłonią po gładkim drewnie ławki.

Docieram do głównego przejścia na środku kościoła i klękam przed ołtarzem. Wstaję i ruszam w stronę małej kaplicy, gdzie we wnęce stoi mosiężny lichtarz. Biorę z tacy wąską świecę, zapalam ją i przykładam do knota świecy wotywniej. Gdy się zapala, zmawiam modlitwę, a potem dmucham i ją gaszę. Ku powale unosi się leniwa smużka błękitnego dymu.

– Mogłabym?

Szeleszczący głos obok zwraca moją uwagę.

Uśmiecha się do mnie pomarszczona starowinka. Jest maleńka, odziana cała na czarno, trzyma w poskręcanej dłoni wiekowy, srebrny różaniec. Drugą dłoń wyciąga po świeczkę.

Podaję jej ją bez słowa, jestem oszołomiona jej wyglądem. Jest znacznie starsza, a jednak niezwykle podobna do osoby, za którą właśnie się pomodliłam. Do mojej nieżyjącej matki.

Przyjmuje świecę, dziękuje kiwnięciem głowy i zapala knot na moich oczach. Ręka mocno jej drży, nie może trafić w knot świecy wotywniej, muszę się powstrzymać, żeby jej nie pomóc. W końcu staruszcze się udaje, wzdycha z ulgą.

Zapala wąską białą świecę, którą jej podałam, i, stojąc w ciszy, obserwujemy tańczący płomień.

Po kilku chwilach wykonuje znak krzyża na piersi. Kobieta wzdycha raz jeszcze, tym razem ciężiej, jakby dźwigała ciężkie brzemie.

– Za wszystko na tym świecie trzeba zapłacić – mamrocze. – Tylko łaska boska jest za darmo.

Po tych słowach odwraca się i odchodzi, zostawiając mnie samą z przenikliwymi ciarkami złych przeczuć.

Oglądam się przez ramię i odnajduję czekającego w cieniu Naza. Idę do niego szybkim krokiem,

chcę już wracać.

– Wszystko gra? – pyta, gdy do niego docieram. Ma wyciągniętą, skierowaną w dół broń.

– Tak. Możemy wracać.

Mruczy coś do urządzenia na nadgarstku, a potem bierze mnie za rękę i wyprowadza z kościoła w światło dnia. Mgnienie oka później siedzę bezpiecznie w samochodzie i gnamy przez miasto tam, skąd przyjechaliśmy. Z mijanych przecznic wjeżdżają kolejne nasze SUV-y, ruszają za nami.

Gdy zbliżamy się do siedziby firmy, niepokój wywołany słowami staruszki, znacznie się pogłębia.

– Jesteś blada – zauważa Naz.

– Bo tamta kobieta coś mi powiedziała.

– Jaka kobieta? – dziwi się.

– Staruszka, która stała obok mnie w kaplicy.

Naz patrzy na mnie dziwnie, ale moją uwagę zwraca pędzący obok nas motocykl.

Jadą na nim dwie osoby, obie ubrane na czarno. Ta z tyłu wyciąga coś z plecaka. To coś też jest czarne, ma kształt dysku, mieści się jej w dłoni. Nagle bierze zamach, jakby chciała tym rzucić...

– Uwaaagaaa! – krzyczy nasz kierowca, a chwilę później słyszę, jak coś z głuchym łupnięciem wali w bok SUV-a.

Motocykl odbija w bok, na prowadzące w górę rozwidlenie, a my wjeżdżamy do tunelu.

I wtedy uderza we mnie potężny podmuch i świat staje w ogniu.

## ROZDZIAŁ 26

**Naz**

Oślepiające białe światło. Żar jak w hutniczym piecu. Uderzenie fali i jazgot, jakby ktoś wwiercał mi w uszy szpikulce do lodu. A potem duszący dym pali płuca, wszystkie kości nabierają ciężaru ołowiu. Porażenie prądem, od którego wszystkie włosy stają dęba.

Eva.

We mgle szoku mój umysł potrafi sformułować tylko to jedno słowo. Mam świadomość, że lecę, wiruję wykatapultowany w powietrze, ale nie ma żadnego bólu.

Ból przyjdzie później.

No, chyba że już umarłem.



## ROZDZIAŁ 27

Eva

Przemieszczam się, choć nie poruszam. Wszystkie moje kończyny przestały działać. Nie mogę nawet otworzyć oczu. A jednak czuję, że moje ciało przesuwają się w przestrzeni. Przechodzi mi przez myśl, że może to moja dusza się rusza, a nie ciało, że może nie żyję, ale muszę przekreślić tę teorię, gdy ktoś kładzie mi dłoń na karku i przeszywa mnie rozdzierający ból.

Śmierć nie byłaby chyba aż tak bolesna.

– Ona żywa – mówi męski głos.

Żyje – automatycznie przekładam w myślach słowo z rosyjskiego.

– *Szczastju dlja nas* – dodaje drugi.

Mamy szczęście.

Zaczynają się klócić, czyja to wina, że bomba wyrządziła aż takie szkody. Bredzą coś o materiale wybuchowym i fali uderzeniowej, a na koniec dochodzą do konsensusu, że to wielkie szczęście, że miałam na sobie kamizelkę kuloodporną.

Wychodzi na to, że powodem ich zaniepokojenia był odłamek metalu sterzący z kamizelki na samym środku mojej piersi.

Naz. O, Boże, Naz. Gdzie jesteś?

Staram się otworzyć oczy, ale moje powieki są podmienione na ołowiowe. Ktoś kładzie mnie na jakiejś zimnej, metalowej powierzchni. Gdy jęczę z bólu, ucisza mnie cichym „ćśś”.

– Nie ruszaj się, Evalina. Wracasz do domu.

Sytuacja staje się przerażająco jasna.

Groza sama otwiera mi oczy. Jestem w środku stojącej furgonetki, leżę na plecach i spoglądam w znaną mi od wielu lat twarz. To jeden z żołnierzy Dmitrija, ten z rozplaszczonym nosem i szeroką, białą blizną, przecinającą lewą brew. Nazywają go „Wilkiem”, bo potrafi wywęszyć każdą ukrywającą się zdobycz, a potem rozszarpać ją na strzępy.

Uśmiecha się do mnie, prezentując złoty ząb.

– Cieszę się, że dobrze się bawiłaś na wakacjach w Meksyku, kurczaczku. Mnie też się podobało. Ale koniec tej zabawy. Od teraz już nigdy nie wyściubisz dzióbka z kurnika.

Natychmiast dociera do mnie, że Wilk był na Cozumel razem ze mną.

Poleciał tam za mną i cały czas mnie obserwował. Obserwował, jak Naz mnie obserwuje, jak się poznaliśmy, jak zaczęliśmy spędzać razem czas. Teraz rozumiem, dlaczego Dmitrij nic nie zrobił, choć wiedział, dokąd uciekłam. Dlaczego pozwolił mi wierzyć, że uciekłam. Dlaczego wynajął Metrix.

Dlaczego nie wspomniał ani słowem o zdjęciach Naza, zdjęciach wykonanych przez zakochującego się mężczyznę.

Kostki domina się przewracają, a ja łączę kropki, które ukazują przerażającą prawdę: Dmitrij szukał czegoś, co zagwarantuje moje posłuszeństwo, bo stracił to wraz ze śmiercią mojej matki.

Jak powiedziałam Nazowi przed tygodniami, człowiek zniesie znacznie więcej cierpienia dla ukochanych.

Groza ustępuje wściekłości.

Eksploduje we mnie furia, gorętsza niż wybuch, który rozerwał SUV-a. Patrzę w wyszczerzoną gębę Wilka i odkrywam, że ta furia daje mi siłę.

– Nigdy cię nie lubiłam – informuję go po rosyjsku.

Wbijam łufę glocka pod jego szczękę i naciskam spust.

## ROZDZIAŁ 28

### Naz

Z zamroczenia wyrywa mnie odległy wystrzał. To daje mi informację, że przynajmniej moje uszy jeszcze działają. Otwieram oczy, rozglądam się.

Leżę na asfalcie, jakieś trzydzieści metrów od wjazdu do tunelu, wtłoczony pod metalową barierę, odgradzającą pasy jezdni. Przejazd jest częściowo zatarasowany szczątkami SUV-a. Samochód leży na boku, jest rozsadzony, dymi. Za nim ciągnie się karambol innych aut, które musiały gwałtownie hamować i wpadać na siebie po detonacji. Na całej drodze walają się odłamki szkła i powykręcane kawałki metalu. Ludzie zbiegają się wokół wraku, wrzeszczą do telefonów. Kilkoro siedzi na krawężniku, są oszołomieni.

Pada kolejny strzał.

A potem, w oddali, rozlega się zawodzenie syren.

Connor wyciąga z wraku kierowcę. Sprawdza mu puls, facet się nie rusza. Zauważa mnie i wstaje. Porusza się zwinnie, chyba nie ucierpiał. Podbiega, klęka nade mną i wtedy do mnie dociera, że nie jestem w stanie usiąść.

– Eva! – wyję, wskazując na tunel.

– Nie ruszaj się. – Kładzie rozłożoną dłoń na moim torsie, unieruchamia mnie na ziemi, bo szarpie się, żeby wstać. Następnie wyrywa pasek ze swoich spodni i zapina go ciasno w górnej części mojego uda.

Patrzę, co robi. Z mojej nogi pod dziwnym kątem wystaje kawał metalu. Zbiera się pode mną kałuża krwi, ale dalej nic nie czuję. Dzwoni mi w uszach. W gardle susza jak na pustyni. Ale przy tym wszystkim tylko jedna myśl: Eva, Eva, Eva. Jej imię łomocze w moim mózgu jak młot pneumatyczny.

Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli coś jej się stało.

Miałem ją chronić, to był mój obowiązek. I zawiodłem.

Moją uwagę zwraca jakiś ruch w tunelu. Connor zauważa, że wytrzeszczam oczy i obraca głowę w tamtą stronę.

Z ciemności, spomiędzy kłębow dymu, wyłania się idąca z trudem postać.

Kobieta. Z pistoletem. Ze skołtunionymi złoto-brązowymi włosami. Z samego środka jej kamizelki kuloodpornej sterczy odłamek. Jej oczy są niczym dwa wielkie białe spodki pośrodku zakrwawionej twarzy. Rozgląda się jak oszalała, szuka czegoś, spanikowana i dzika, zatacza się jak pijana.

Zauważa mnie i zamiera. A potem upuszcza pistolet i rzuca się biegiem.

– Matko Boska – wzdycha Connor. Zrywa się na nogi, biegnie do niej sprintem i łapie ją, a gdy się potyka, bierze ją na ręce. Wraca do mnie, stawia ją na asfalcie, lecz ona od razu pada na kolana i ujmuje moją twarz w drżące dłonie.

– Żyjesz – szepcze chrapliwie. – Boże. Boże, dziękuję ci, nadal żyjesz!

Pragnę ją objąć, ale moje kończyny nie współpracują, więc po prostu się uśmiecham.

– A ty nadal jesteś paskudna i spasiona. Liczyłem, że wybuch oderwał choć kawałek tego dupska, ale nic z tego, Thelmo.

Eva wybucha spazmatycznym płaczem, rzuca się na moją pierś i leży tak aż do przyjazdu karettek, których syreny zagłuszają jej szloch.

## ROZDZIAŁ 29

### Eva

Naz od trzech godzin leży na stole operacyjnym. Usuwają metalowy odłamek, który wbił mu się w udo, i próbują naprawić szkody, jakie wyrządził.

Policja chce mnie przesłuchać, ale odmawiam. Pielęgniarki nalegają, by obejrzał mnie lekarz, ale odmawiam. Odmawiam wszystkiego. Po prostu chodzę milcząco po zatłoczonej poczekalni ostrego dyżuru, dopóki nie pojawia się chirurg, który mówi, że operacja przebiegła pomyślnie.

– Miał wielkie szczęście – informuje nas: mnie, Tabby i Connora, młody, przystojny lekarz. Jest bardzo pewny siebie, należy do tych ludzi, którzy patrzą na laików z góry. – Odrobinę dalej, a odłamek przebiłby tętnicę udową. Wtedy wykrwawiłby się w minutę, może dwie.

– Pomówmy o tym, co nastąpiło, a nie o tym, co prawie nastąpiło – mówi Connor z naganą w głosie. – Jakie szkody?

Gorące spojrzenie Connora topi arogancję lekarza, który niespokojnie przenosi ciężar ciała z nogi na nogę, odchrząkuje i wyjaśnia:

– Kość udowa nie została złamana, to bardzo dobrze. Ale ma, eee, obrzęk płuc i kilka popękanych żeber, więc oddycha przy pomocy respiratora...

– Nie oddycha? – pytam przerażona. – Przecież powiedział pan, że operacja się udała!

Doktor odpowiada po chwili namysłu.

– Urazy powybuchowe są bardzo złożone. Cierpi wiele organów wewnętrznych, choć dotkliwość uszkodzeń objawia się dopiero po czasie. Zajęliśmy się raną nogi, ale dopiero za jakiś czas dowiemy się, jak zareagowały płuca. Często dochodzi do obrzęków i krwawień pęcherzyków płucnych i naczyń krwionośnych... – zawiesza głos, zerka niepewnie na Connora. – Obawiam się, że potencjalnie śmiertelnych.

Zasłaniam usta dłonią i opadam na najbliższe krzesło, trzęsę się tak mocno, że uderzam kolaniem o kolano.

Tabby siada obok, zarzuca mi rękę na ramię, a Connor rozmawia dalej z lekarzem.

– Więc kiedy będziemy wiedzieli? – warczy mąż Tabby, a na jego szyi odznacza się gruba żyła. – W jaki sposób mu pomagacie? Muszę tu ściągać, kurwa, specjalistę, żeby się nim zajął?

– Ja jestem specjalistą – odpowiada lekarz oschle. – Jeżeli chodzi o to, jak mu pomagamy, przebywa teraz na OIOM-ie. Będzie pieczołowicie monitorowany. Zajmiemy się każdą zmianą jego stanu. Wiem, że liczyacie państwo na inne nowiny, ale w tej chwili możemy jedynie czekać i obserwować, jak jego ciało radzi sobie z urazami. Jest młody i silny. Ma spore szanse. Gdy tylko będziemy coś wiedzieli, dam państwu znać.

– Możemy go zobaczyć? – pytam, przetykając łyzy.

– Jeszcze nie – odpowiada lekarz, bacznie mi się przyglądając. – Wpuścimy państwa, gdy tylko jego stan się ustabilizuje. Tymczasem sugeruję, żeby dała się pani zbadać. Sądząc po krwi na twarzy, doznała pani urazu głowy.

– To nie moja krew.

Moja odpowiedź wyraźnie zbiła go z tropu, ale chyba uznał, że woli nie wnikać, bo obraca się na pięcie i oddala się bez słowa.

Connor kuca przed nami, podpira łokcie na kolanach. Przygląda mi się tymi swoimi czarnymi oczyma, które sprawiają wrażenie, jakby nic nie było w stanie im umknąć.

– Jesteś już gotowa, żeby o tym pogadać? – pyta ostrożnie. Kiwam głową, choć wciąż nie wyszłam z odrętwienia spowodowanego szokiem. – Dobrze. No to będzie tak. Mam w policji sporo kumpli. Jeden mi powiedział, że w furgonetce w tunelu znaleźli dwa trupy. Oba bez dokumentów. Oba z pojedynczymi ranami postrzałowymi w głowach.

– To dwaj czołowi żołnierze Dmitrija. – Mój ochrypły szept niesie się głośno w cichej poczekalni. – Gdy policja zacznie wszystko sprawdzać, dowie się, że furgonetka została wynajęta za gotówkę, przez ludzi z fałszywymi papierami. W amerykańskiej bazie danych nie znajdą ani wzmianki o tych facetach. Nie oskarżą cię, że ich zastrześliłeś. Połączą pociski z twoją bronią, ale nie będziesz miał na dłoniach śladów po prochu. Poza tym świadkowie potwierdzą, że zajmowałeś się Nazem, gdy ja wyszłam z tunelu.

Connor wymienia porozumiewawcze spojrzenie z Tabby, a potem patrzy na mnie, mam wrażenie, że przez całą wieczność.

– Nie o to mi chodziło. Zmierzałem do tego, że atak był skoordynowany. Musieli obserwować siedzibę firmy przez całą dobę. Dwóch kolesi z ładunkami wybuchowymi na motorze, dwóch przyczajonych w furgonetce, kto wie, ilu czekało w miejscu, do którego zamierzali cię zabrać. Wyczekiwali na tę okazję. Byli gotowi. Rozumiesz, o czym mówię?

Przymykam oczy i przełykam ślinę, w moim gardle pęcznieje kwaśna gula.

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś w stanie go tu chronić.

– Właśnie.

Wiedziałam o tym już wcześniej, natomiast Connor nie wie, że wcale nie musi chronić Naza.

Bo ja się tym zajmę.

Kłamie, że muszę skorzystać z toalety i idę poszukać jakiegoś telefonu.

\*\*\*

Okazuje się, że rozmowa międzynarodowa na koszt odbiorcy to zupełnie prosta rzecz.

– Daj Dmitrija – rzucam po rosyjsku, gdy odzywa się operator.

– Pomyłka – burczy opryskliwie po chwili ciszy.

Ach, no tak. Zapomniałam o haśle.

– Putin to pizda.

Tym razem operator odpowiada natychmiast.

– Proszę czekać.

Słucham, jak na drugim końcu świata ulubiony kompozytor Dmitrija, czyli Rachmaninow, grzmi na fortepianie. Następnie głos po drugiej stronie informuje mnie, że mam podać numer, z którego dzwonię.

Recytuję cyfry wytłoczone nad klawiszami aparatu na drobne, ale mam świadomość, że nawet jeśli się pomylę, to Dmitrij wyśledzi, skąd dzwonię.

Potrafi wyśledzić wszystko.

Odkładam słuchawkę. Telefon dzwoni po kilku sekundach. Zanim odbieram, muszę wziąć kilka głębszych wdechów. Mam wilgotne, drżące dłonie, zalał mnie lodowaty pot.

– *Ja zdjes<sup>2</sup>*.

– Evalina, pomówimy po angielsku. Chcę sprawdzić, jak bardzo popsuł ci się akcent, odkąd mnie opuściłaś.

Przechodzi mnie dreszcz od tego szyderczego tonu. Odbiera mi mowę, ale nie muszę mówić, bo on ciągnie dalej:

– Rozumiem, że twój przyjaciel Nasir nie jest śmiertelnie ranny. Bardzo mnie to cieszy. Zgadniesz dlaczego?

Tłumię palenie w żołądku i wyduszam z trudem:

– Środek nacisku.

Śmieje się, zachwycony, że zrozumiałam jego grę.

– Tęskniłem za twoim ostrym umysłem.

– Skąd wiedziałeś, że to podziła?

– Stąd, że cię znam. Znam twój umysł, wiem, jakie potrzeby kreuje, jakie tęsknoty. A co ważniejsze, wiem, jak wpływasz na mężczyzn. Nie zastanawiałaś się, dlaczego bez przerwy rotowałam twoimi ochroniarzami? Miałem spory ubaw, patrząc, jak silą się na obojętność. Patrząc, jak stopniowo ulegają twojemu czarowi. Mężczyzna nie może wiecznie tłumić swoich żądz, w końcu kapituluje. Twój

przyjaciel Nasir to koniec końców tylko mężczyzna.

Superbohater! Przełykam kulę furii.

– A skoro mowa o mężczyznach. Jurij przesyła pozdrowienia.

O, Boże. Jurij. Był u Dmitrija zarządcą, trzymał pieczę nad posiadłością. Kierował wszystkim, a pod nieobecność Dmitrija władał majątkiem żelazną ręką. Jak naczelnik więzienia. Jednakże w przeciwieństwie do żołnierzy Dmitrija, był lojalny wyłącznie względem siebie. Przyłapał mnie, jak próbowałam podkraść pistolet, żeby poćwiczyć w lesie strzelanie. Dogadaliśmy się, że nie piśnie ani słowa, jeśli przekonam Dmitrija, by dał mu podwyżkę.

Dostał ją. Później przymykał oko, gdy, pod nieobecność Dmitrija, regularnie wyprawiałam się do lasu.

– Co mu zrobiłeś?! – pytam ostro.

– Nic.

Nie odpowiadam, więc sam kontynuuje, pełnym samozadowolenia tonem.

– Oczywiście doskonale wiedziałem o waszej małej umowie. Jak myślisz, kto ją zaproponował? A pieniądze, które tak skrupulatnie podbierałaś z jego szuflady i moich sejfów, naprawdę myślałaś, że nie zauważę? Albo, że ochroniarze pozwolą ci się włóczyć samej po lesie? Albo, że nie monitorowałem, co robisz w internecie? – Cmoka językiem. – Te wszystkie strony o technikach przetrwania. Ktoś mógłby pomyśleć, że planujesz jakiś pucz.

Zamykam oczy, robi mi się niedobrze. Przez cały ten czas myślałam, że udało mi się opracować udaną ucieczkę, a jednak wiedział. Ciekawe, czy wiedział też o miesiącach treningów pływania na basenie olimpijskim, do upadłego. Zapewne tak.

Wiedział wszystko, od samego początku.

– Pozwoliłeś mi myśleć, że mi się uda – szepczę zrezygnowana.

Śmieje się cicho, z satysfakcją.

– Zadbalem, byś dostała na linie dość luzu i sama ukreśliła pętlę na własną szyję.

Środek nacisku. Oczywiście.

Jego ton się zmienia. Robi się niższy, intensywniejszy i bardziej ochryply.

– A teraz powiedz, z czym dzwonicz.

Słyszę wyraźnie, jak rozpina rozporek, a potem wzdycha.

Zaciskam zęby, opieram się o ścianę i przykładam czoło do zimnego tynku.

– Jeżeli skrzywdzisz Nasira, to cię zabiję.

Nie spodziewał się tego.

– Zapłacisz za tę groźbę – odpowiada zjadliwie – ale wiesz, że mam go gdzieś. Dam mu spokój, o ile będziesz grzeczną dziewczynką i przestaniesz uciekać. A teraz to powiedz.

Chce, bym błagała. Wiem, jak go to cieszy, jak go to podnieca. Lecz buntuję się przeciwko temu całą sobą. Nawet gdybym chciała, nie potrafiłabym błagać.

Wzmocniona tą samą furią, którą poczułam na widok Wilka, otwieram szeroko oczy, prostuję plecy i mówię niskim, opanowanym głosem:

– Nie jestem już tą samą, złąknioną owieczką, którą trzymałeś w zagrodzie, Dmitrij. Zdążyły mi wyrosnąć kły, odkąd się ostatnio widzieliśmy. Mam nowe, ostre szpony, które potrafią upuścić krwi.

– A ja mam przed szpitalem trzech ludzi, którzy tylko czekają na mój telefon! – ryczy, przechodząc na rosyjski.

– No i jesteś, prawdziwy ty – stwierdzam grobowo.

– Tak – syczy. – Jestem. Znasz granice mojej cierpliwości, Evalina, i wiesz, że już je przekroczyłaś. O siódmej wieczorem z doku numer osiemdziesiąt osiem wypływa do Halifax statek Silver Shadow. Jeśli na niego nie zdążysz, Nasir umrze.

– Nie.

Uśmiecham się w pełnej zdumienia ciszy. Znosiłam niewysłowione cierpienia właśnie dla tej jednej chwili. I zamierzam się nią rozkoszować, póki trwa.

A tak poza tym, to mam plan.

– Czekałeś na mnie trzy miesiące, to możesz poczekać jeszcze trochę.

Oddycha ciężko, ledwie się kontroluje. Z jego krtani wydobywają się dziwne dźwięki.

– Przecież nie ubzdurałaś sobie, że możesz ze mną wygrać. Więc na co mam czekać.

– Nie odzyskał przytomności. Potrzebuję czasu, żeby się pożegnać. Jeżeli mi go dasz, będziesz mógł ze mną zrobić, na co przyjdzie ci ochota.

– Zawsze mogę z tobą zrobić, na co mam ochotę! – warczy.

– Tylko moje ciało do ciebie należy – odpowiadam celowo gardłowym tonem. – Dusza, nigdy.

To jedyna rzecz, której pragnął i nigdy nie dostał. Byłam mu we wszystkim posłuszna, ulegałam jego chorym zachciankom i zboczeniom, ale zawsze z ziarenkiem oporu w sercu. Wiedział o tym i doprowadzało go to do szewskiej pasji.

Tak naprawdę nie zależało mu na mojej uległości. Chciał czegoś ponad zwykłą kontrolę, pożądał całkowitego panowania nad ciałem, umysłem, sercem i wolą. Chciał posiadać mnie ponad ograniczenia ciała i wytrzymałość na ból.

Chciał, żebyśmy kochała go jak boga. Bym cierpiała jak religijna pokutnica: z wdzięcznością.

Słuchając jego charkotliwego oddechu, wiem, że odda mi tę drobną przysługę w zamian za spełnienie największego pragnienia.

– Dwadzieścia cztery godziny – mówi w końcu, niemal dysząc. – Ani sekundy więcej. I, Evalina... zapłacisz za to.

Ale nie tyle, co ty.

– Wiem.

– Zadzwoń, jak będziesz gotowa. Wiesz, co się stanie, jeśli nie zadzwonisz.

Rozłącza się.

Odkładam słuchawkę. Słabo mi, niedobrze, ale pokrzepia mnie świadomość, że ocaliłam życie Naza. To ja wciągnęłam go w to bagno, więc to ja muszę go z niego wyrwać.

Wracając do Connora i Tabby, wchodzę do łazienki, żeby zmyć zaschniętą krew z twarzy. Mam we włosach jakieś stężałe farfocle. Podejrzewam, że to strzępy mózgu Wilka, ale posoka i flaki mnie nie ruszają.

Koncentruję się na tym, jak dostanę w swoje ręce kolejną broń.

## ROZDZIAŁ 30

### Naz

Mam świadomość, że śnię, a to nowość. Słyszałem o świadomych snach, ale nigdy wcześniej ich nie doświadczyłem. To pewnie przez te wszystkie leki – musiały pobudzić jakieś utajone zakamarki mojego mózgu.

Więc sen wygląda tak: Eva znajduje się w doku, przy długim, drewnianym trapie prowadzącym na pokład przysadzistego, czarnego statku. Stoi boso, ma na sobie prostą białą sukienkę. Jest zimno i wietrznie, nad nią widnieje ołowiano-szare niebo, a wiatr chłoszcze jej twarz włosami. Ja tkwię po drugiej stronie doku i biegnę do niej ile sił w nogach, przekonany do szpiku kości, że nie może przejść przez ten trap.

Eva patrzy na mnie z przedziwną mieszanką determinacji i żalu w oczach, po czym obraca się, idzie przez pomost i znika za relingiem.

Ktoś wciąga trap na pokład. Wtedy na masztach ze złowrogim łopotaniem rozwija się sześć wielkich, czarnych żagli i statek odplywa w ciemne, wzburzone morze.

– Eva!

– Jestem. Ćśś. Jestem tu.

Unoszę powieki. Obejmuję świadomością boleśnie jasną salę. Pierwsze, co dostrzegam, to dwoje niesamowicie pięknych, wpatrzonych we mnie brązowych oczu. Bogu dzięki, to ona. Ulga jest tak potężna, że zaczynam się śmiać.

A śmianie się boli jak skurwysyn.

Gdy przeradza się w zbolące rżężenie, Eva wpada w szal.

– Siostrzo! Pomocy! – wrzeszczy przez ramię. – Potrzebna pomoc!

– Nic mi nie jest... – mówię niepokojąco słabym głosem.

Co tak piekielnie dzwoni mi w uszach? W ogóle czemu tu leżę?

A, tak. Bomba. Dzięki, kurwa, Bogu za opancerzony samochód, bo teraz wachałbym kwiatki od spodu, a nie patrzył na najpiękniejszą kobietę na świecie.

– Siostrrooo!

– Thelma, przestań skrzeczeć, uszy mnie bołą.

To ją ucisza, ale w zamian zaczyna się miotać jak ćma w potrzasku i wymachiwać rękami nad głową.

– Co ci przynieść? Czego potrzebujesz? Wygodnie ci? Chce ci się pić? Jeść? Jakies leki?

Łapię ją za nadgarstek i przyciągam bliżej.

– Hiperwentylujesz – mruczę do niej z uśmiechem. Trochę kręci mi się w głowie od znieczulenia i ulgi. – Głębokie oddechy, kochana.

Bierze kilka głębokich haustów powietrza, ale po chwili przerywa i mówi z namysłem:

– Nie pomagają.

– No to chodź tu – odpowiadam, wyciągając ręce.

– Skarbie, masz połamane żebra.

Skarbie. Ogłaszam, że od dziś to moje ulubione słowo.

– Kochana, nie złość superbohatera. Bywa, że wpada w szal, gdy jest tak traktowany.

Omiata mnie ciepłym, czułym spojrzeniem.

– No dobrze – szepcze. – Ale mów, jakby bolało.

Przycupnęła na samej krawędzi materaca, przy moim biodrze. Przygryza wargę, marszczy czoło w skupieniu, a potem z najwyższą ostrożnością nachyla się i zawisa dwa centymetry nade mną, zasypując moją twarz pocałunkami.

– Traktujesz mnie protekcyjnie – zrzędzę.

– Bo nie chcę cię zgnieść moją nieziemską masą, Dudley – mówi, całując mnie pomiędzy kolejnymi słowami, jej usta są niebywale miękkie.

– Przepraszam, ale chyba zapomniałaś, jaki ze mnie twardziel.

– Moja wina, panie twardzielu – parska. – Proszę o wybaczenie.

– Jak nie chcesz na górze, to połóż się obok. Muszę cię poczuć.

Ciągnę ją za nadgarstek, wkurzony, że nie mam siły, by się zerwać i przygwoździć ją do łóżka.

– Dlaczego mam przeczucie, że jesteś koszmarnym pacjentem?

Brzmi surowo, ale jej oczy się uśmiechają, a co najważniejsze zaczęła bojaźliwie układać się na łóżku. Wtula się we mnie ostrożnie, mości pod moim ramieniem i głęboko wzdycha.

– Nie wiem, gdzie położyć dłonie.

– Dam ci wielką wskazówkę.

– Niewiarygodne. Oprzytomniałeś minutę temu, a już jesteś napalony i przechwalasz się hojnymi darami od matki natury.

– Thelma, nie udawaj, że ci się to nie podoba. – Obracam głowę i zaciągam się słodkim zapachem jej skóry.

– Nie podoba... – szepcze. – Bo to kocham. Och, Naz, tak się cieszę, że... – Przełyka ślinę tak głośno, że zagłusza maszynę brzęczącą nad moją głową. – Gdybyś tego nie przetrwał, to...

– Spasłabyś się jeszcze bardziej. Wiem. Ciarki przechodzą na samą myśl.

Próbuję rozluźnić atmosferę, bo choć widzę na pierwszy rzut oka, że ulżyło jej, że żyję i jeszcze mam werwę do przekomarzanek, to wyczuwam pod powierzchnią jej słów coś mrocznego. Na wspomnienie jej miny w tym śnie włosy stają mi dęba.

– Connor i Tabby wyskoczyli coś przekąsić – wyjaśnia. – Siedzieli tu cały czas, gdy nie kontaktowałeś.

– Czyli ile?

– Osiemnaście godzin. No, nie licząc krótkiego przebudzenia, gdy odpinali cię od respiratora i nazwałeś lekarza fajfusem. Wtedy nabraliśmy pewności, że się wyliżesz.

Nie przypominam sobie tej okoliczności, ale mam to gdzieś. Nie chroniłem Evy przez osiemnaście godzin. Cierpienie ściska mnie w klatce. Wiem, że Connor wiele potrafi, ale to moja kobieta. Odpowiadam za nią. Wstydzę się, że nie było mnie przy niej, gdy najbardziej mnie potrzebowała.

– Wszystko u ciebie dobrze? – pytam, pierwszy raz czując ukłucie paniki. Unoszę głowę, żeby poszukać na jej ciele jakichś ran lub urazów, ale Eva szybko mnie uspokaja.

– Doskonale, nie licząc kilku zadrapań i sińców. – Jej ton łagodnieje. – Ale byłoby znacznie gorzej, gdyby twoje wielkie, bestyjkowe ciało nie odgrodziło mnie od bomby.

– To chyba jednak zasługa opancerzenia pojazdu... – mówię, licząc na kolejne pochwały.

– Nie, skąd, twoja. Gdybym siedziała po drugiej stronie auta, może już bym nie żyła. Zawsze mnie chronisz, nawet nieświadomie.

Jej słowa dają mi przyjemność, są miłe i ciepłe, jak promienie słońca.

Miała rację: mężczyźni to proste stworzenia.

Przez chwilę milczymy, a potem Eva przerywa ciszę.

– Connor uważa, że... jego ludzie obserwowali nas przez cały pobyt w siedzibie firmy.

Nie wymieniła imienia Dmitrija, ale na samo wspomnienie o tym gnoju dusi mnie żółć wściekłości. Muszę się natychmiast dowiedzieć, ile zamierzają mnie tu trzymać, bo mam pewne rachunki do wyrównania.

– Kochana, miałas o nim nie mówić, gdy jesteśmy w łóżku – utyskuję.

Eva wypuszcza powietrze z płuc.

– Na zewnątrz czeka policja. I chłopaki z Metrixa. Connor szczelnie otoczył szpital ochroną.

Coś w jej tonie mówi, że wie równie dobrze jak ja, że śliska kreatura pokroju Dmitrija przepelźnie przez najwęższą szczelinę i żadna ochrona jej nie powstrzyma. Karaluchy słyną ze sprytu, ale też z tego, że niezwykle trudno je ubić.

– O to będziemy martwili się już z Connorem.

Do sali wchodzi cycata pielęgniarka w średnim wieku. Ma na sobie jasnoróżowy fartuch w króliczki, a jej twarz otacza poświata rudych włosów, które niesfornie wyrwały się z koka. Patrzy na mnie, na leżącą obok Evę, i piorunuje nas karcącym wzrokiem.

– Nie. Nie, nie, nie. Schodzimy z łóżka, no, już, już – mówi, machając rękę, jakby odganiała



wiewiórki od karmnika dla ptaków. – To nie jest hotel, szanowni państwo!

Rządzi się, ale w uroczy sposób. Matczyny. Mógłbym ją polubić, choć oddala mnie od Evy, która już zdążyła jej posłuchać i wstać. Zauważam, że gdy wyjeżdżaliśmy do kościoła, moja kobieta była inaczej ubrana. Pewnie Tabby przywiozła jej jakieś ciuchy.

Próbuję sobie wmówić, że to wcale nie jest zły omen, że ma na sobie białą sukienkę, jak we śnie.

W tym momencie do salki wchodzi Connor, Tabby i jakiś doktor, który wygląda, jakby żył w przekonaniu, że jest tak idealny, że nawet jego gówno pachnie fiołkami. Zaczyna bajdurzyć coś o respiratorach, znakomitych wynikach i sile moich płuc, ale całkowicie pierdolę jego wynurzenia, bo potrafię skupić się tylko na twarzy Evy.

Ma naprawdę dziwną minę, zaciętą i skupioną, jakby zapisywała tę chwilę w pamięci. Aż przechodzą mnie ciarki.

– Brachu, gliny chcą zamienić słowo – mówi Connor, natychmiast uciszając doktora. – Powiedziałem, żeby dali ci spokój do jutra – dodaje, zerkając na Evę, która się do niego uśmiecha.

– Kiedy stąd wyjdę? – pytam doktora ważniaka.

– Jeżeli nie wyniknie nic nieoczekiwanego, prawdopodobnie za dwa, trzy dni.

– Chcę wyjść jutro – stwierdzam sucho.

Choć czuję się jak gówno i wszystko mnie boli – naturalnie za żadne skarby się do tego nie przyznam – to nie ma niczego gorszego od beczynnego leżenia. A szpitale należą do najbardziej przygnębiających miejsc na ziemi.

– Niczego nie gwarantuję – odpowiada zarozumiale.

Zauważam, że Eva mówi bezgłośnie: „Apodyktyczny”, na co odpowiadam w ten sam sposób: „Butny”.

Szczerzymy się do siebie. Nie mogę się doczekać, kiedy wszyscy w końcu spierdolą z mojej salki.

Evie chodzi po głowie dokładnie to samo. Przykłada dłoń do mojego czoła i oświadcza z przesadną troską:

– Myślę, że powinniśmy dać mu wypocząć. Zbladł, nie sądzi pan, doktorze?

Ważniak wykorzystuje okazję, żeby się napuszyć. Jebany indor. Przygląda wychuchaną rączką lśniące blond włoski i uśmiecha się do Evy.

– Owszem.

Moja kobieta na dźwięk głębokiego pomruku dobywającego się z mojej piersi, delikatnie stuka mnie palcem w skroń, jakby chciała przekazać „zamknij się”.

Tabby zbliża się do łóżka. Rany, znowu się odstrzeliła. Jakby dla inspiracji wpisała w wyszukiwarkę: „Got, nerd z ostrym fetyszem na punkcie szpilek”. Cała mikstura jej stroju została doprawioną sporą szczyptą Pończoszanki i anime. No i oczywiście nie mogło, ja pierdolę, zabraknąć kotków.

W jej dzisiejszym wcieleniu paski do pończoch podtrzymują mikro-sukienkę pokrytą malutkimi Hello Kitty na zielonym tle, co wygląda, jakby ktoś się zrzygał.

– Dobrze się czujesz? – pyta, biorąc mnie za rękę.

– Bywało lepiej, ale będę żył.

Mój sardoniczny ton ewidentnie ją rozbawił.

– Wiem, ale napędziłeś mi stracha. A ja nigdy się nie martwię, Nasir.

– Nie łapiesz też obcych facetów za ręce, księżniczko – burczy Connor.

Tabby ignoruje go, ale się uśmiecha.

– Wkrótce będziemy cię musieli przenieść do firmy. Ten budynek jest nieszczelny.

Kiwam głową ze zrozumieniem.

– Tylko dajcie sygnał, ja jestem gotowy.

Doktorek wygląda na oburzonego sugestią, że mógłbym zostać gdzieś przeniesiony bez jego zgody, ale pod wpływem spojrzenia Connora zamyka japę, zanim zdążył się odezwać. Odrzuca więc głowę w bok i wychodzi. Pielęgniarka idzie w jego ślady.

Tabby daje mi buziaka w czoło, przez co czuję się jak dwunastolatek. Żegnają się z Connorem

i w końcu zostajemy z Evą sami.

– Spuść te żaluzje, kobieto – mówię, wbijając w nią wzrok. – I przywlecz swój wielki zad na łóżko.

– Bestyjo, twoja werwa jest godna podziwu. – Zamyka drzwi i zasłania okno. Następnie podchodzi do mnie wolnym krokiem, stale patrząc mi w oczy, lecz jej usta wykrzywia smutny uśmiech.

– Nie smuć się. Będzie dobrze, przyrzekam. – Wyciągam rękę. Chwytam ją i ponownie wdrapuje się na łóżko, uważając, by nie przesunąć żadnej z aparatur ani rurek, do których mnie podpięli.

Opera głowę na moim ramieniu i mówi:

– Wiem o tym.

Brzmi pewnie, aż robi mi się miło. Jakby nadal we mnie wierzyła, choć nie jestem w stu procentach sprawny.

To znaczy, niektóre części mojego ciała nie są. Bo jedna uznała, że bliskość Ewy oznacza, że czas rozkręcać imprezkę.

– Bestyjo, ty naprawdę jesteś zwierzęciem – prycha Eva.

Zerkam na namiot, który wyrósł w kroczu brzydkich, niebieskich szpitalnych spodni.

– Chyba dodali mi coś do znieczulenia.

– Proszę cię, jakbym cię nie znała.

W jej głosie rozbrzmiewa nuta śmiechu. Obracam jej twarz ku swojej i delikatnie całuję. Chcę, by poczuła, jak bardzo jej potrzebuję, jak bardzo się cieszę, że oboje wyszliśmy z pojedynku z Dmitrijem cało.

– Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało – szepcze, a potem zanurza twarz w mojej szyi.

Ściskam ją z całą siłą, jaka została mi w ramionach.

– Boże drogi, przecież wiem. Z trudem znoszę własną wspaniałość. Thelmo, naprawdę masz kolosalne szczęście.

Wydaje z siebie odgłos, który jest połączeniem śmiechu i szlochu, a ja przytulam ją mocniej.

– Nie opowiadałam ci, dlaczego wybrałam to imię, prawda?

Miałem zażartować, ale zadała to pytanie tak melancholijnie, że się powstrzymałem.

– Nie, dlaczego?

– Z powodu tego filmu, Thelma i Louise. Oglądałeś?

– Pewnie. Świetne kino drogi, świetnie pokazana przyjaźń dwóch kobiet. – Coś sobie przypominam. – Czy filmowa Thelma nie miała aby męża damskiego-boksera?

– Tak. I to ona powiedziała, że powinny „jechać dalej”, gdy policja dopadła je nad Wielkim Kanionem. Zachwyciła mnie ta scena. Ich szczęście się skończyło, ale zamiast się poddać, po prostu jechały dalej. Zeskoczyły z klifu, w swoim fordzie thunderbirdzie z 66. Bo śmierć była lepsza od wszystkiego, co zostawiły za sobą i co czekało je w przyszłości. Tylko dzięki niej mogły być wolne.

Gdy obracam jej twarz ku swojej, zauważam wstrząśnięty, że ma łzy w oczach.

– Hej, kochana, co się stało?

Odpowiada mi rwanym szeptem, łzy przelewają się przez jej powieki i spływają po policzkach.

– Chciałabym znać właściwe słowa, żeby opowiedzieć, na ile różnych sposobów mnie ocaliłeś. Dawniej myślałam, że śmierć oznacza wolność, ale teraz wiem, że do wolności wystarczy drugi człowiek, który wierzy w ciebie na tyle mocno, że w końcu sama też zaczniesz w siebie wierzyć.

Miażdżę jej usta swoimi i choć boli mnie każda kość, nie zamieniłbym tego bólu na żadne skarby świata.

To najprzyjemniejszy ból, jaki czułem.

Odklejamy się od siebie na chwilę, dyszymy ciężko i patrzymy sobie w oczy. Eva podpira się na łokciu, przykładając dłoń do mojej piersi i wyczuwa rytm serca.

– Zawsze takie mocne.

– Bo bije dla ciebie.

Przymyka oczy, ale jej mina przypomina grymas bólu.

– Nigdy nie zapomnę tych słów. I innych wspaniałych rzeczy, które mi opowiadałeś. Naz, nigdy nie zapomnę ani sekundy, przysięgam.

Zaczynają boleć mnie płuca, ale chyba nie przez uraz.

– Dlaczego to brzmi jak pożegnanie?

Kiedy się uśmiecha, ból w piersi nieco łagodnieje.

– Przez ten twój głupi szpitalny fartuch robię się sentymentalna, bo mi cię szkoda. Nawet nie wiesz, jak żałośnie wyglądasz.

– Żałośnie? Czyżby? – pytam, unosząc brew.

Łapię ją za nadgarstek i przesuвам jej dłoń w dół.

– Czy uważasz to za żałosne?

Gdy zaciska palce wokół mojego kutasa, oddech grzęźnie jej w gardle.

– Nie... – szepcze, pieszcząc go przez materiał fartucha. – To bynajmniej nie jest żałosne.

Ponownie się całujemy, ignorując coraz szybsze pikanie szpitalnej maszyny. Pulsują mi żebra, pulsuje mi noga, ale kutas również. Wszystkie te doznania są przytłaczające. Gdy Eva delikatnie się odsuwa i patrzy na mnie, przygryzając wargę, pikanie osiąga apogeum.

– Musimy to uciszyć – stwierdza zmysłowym szeptem.

Wyciąga rękę i naciska guzik. Salkę spowija cisza zakłócana tylko rytmem naszych oddechów i grzmiącym w moich uszach pulsem.

Eva wstaje, ściąga majtki, po czym zawisa nade mną okraciem, podpierając się dla równowagi o metalową barierkę po lewej stronie łóżka. Porusza się bardzo ostrożnie i powoli.

Patrzę, zmrózony żądzą i niedowierzaniem, jak unosi krawędź moich spodni, ponownie ujmuje twardego kutasa w dłoń i zaczyna się o niego ocierać, przesuając główką pomiędzy swoimi fałdkami.

Boże, jaka mokra, jaka gorąca, jaka, kurwa, nieziemską.

– Kochana... – wzdycham, walcząc o oddech. – Jesteś pewna? Teraz?

– Robię ci krzywdę? – pyta, zamierając w bezruchu.

Napinam biodra, sprawdzam zasięg ruchu. Ból przeszywa nogę, prawa strona mojej klatki piersiowej staje w ogniu, ale da się to znieść.

W tej chwili mógłbym znieść wszystko.

Patrzę na nią, zatapiam palce w jej biodrach i warczę:

– Nie.

– Przestań – szepcze, gdy zaczynam się poruszać. – Zdaj się na mnie.

Jeszcze nigdy nie chciałem tak chętnie słuchać czyichś rozkazów.

Układam się swobodnie na poduszce i biorę bardzo głęboki wdech. Od razu przeszywa mnie dojmujący ból, stwierdzam więc, że nie będę tego powtarzał. Eva ociera się o mojego kutasa, nawilża go, przygotowuje nas i dzięki kolejnej fali przyjemności ból słabnie. Ustawia penisa przy swoim wejściu i, gdy zaczyna się na niego opuszczać, patrzy mi w oczy.

Trwa to całą wieczność. Czuję każdy milimetr, zaciskam zęby, bo z mojego gardła chce się wyrwać głęboki, zwierzęcy ryk. Jest niesamowicie, biały żar rozkoszy pośród ciemności bólu.

Obserwuję, jak przymyka powieki i odrzuca głowę w tył. Usta ma lekko rozchylone. Napina biodra, żeby porządnie mnie dosiąść i oboje cicho jęczymy, dokładnie w tym samym momencie.

Mam wrażenie, że moja skóra płonie. Na wszystkich zakończeniach nerwowych tańczą iskry. Tworzy się we mnie wielki, burzliwy wir uczuć, który uderza potężnym falami.

Sunę dłońmi wzdłuż krzywizny jej bioder, zaciskam je na wcięciu talii. Ujmuję przez sukienkę jej pełne piersi i czuję, jak przechodzi ją dreszcz.

Głęboko w jej ciele zaciskają się wokół mnie mięśnie.

– Kurwa – chrypię. – Eva, patrz na mnie.

Leniwie otwiera oczy. Jesteśmy jak zawieszeni w wieczności, milczący, nie oddychamy, tylko na siebie patrzymy, dopóki mój fiut nie podryguje, a ona cichutko wypuszcza powietrze z płuc.

Zaczynamy się poruszać.

Drobne, idealne ruchy, tak powolne, że łóżko nawet nie drgnie. Szwy w mojej nodze trzeszczą, sporo organów w moim ciele doznaje zapewne nieodwracalnych szkód, ale mam to gdzieś. Pragnąłem tej chwili, odkąd się poznaliśmy. Idę na całość, walić, że coś sobie zniszczę.

Na piersi Evy rozlewa się czerwień rumieńca. Patrząc na mnie, rozpina górne guziczki sukienki,

a potem stanik. Jej piersi wylewają się w moje dłonie. Szczypię oba sutki, a Eva zachłystuje się powietrzem.

– Daj mi swe usta, kochana.

Natychmiast spełnia tę prośbę. Nachyla się do pocałunku, ostrożnie manewrując ciężarem ciała na wspartych o materac obok mojej głowy rękach. Pozwalam, by delikatnie mnie ujeżdżała, żeby się mną zaspokajała, równocześnie dając mi rozkosz. Gdy jej biodra zaczynają poruszać się nieco szybciej, milczenie przychodzi nam z coraz większym trudem.

– Tak przyjemnie... – wzdycha. – Boże, proszę, powiedz, że nie robię ci krzywdy.

Wbijam się w nią mocniej, żeby dowieść, że wszystko gra. Zapracowuję tym sobie na piękne, gardłowe westchnięcie. Ssę w ustach twardy sutek, zachłannie przechodzę na następny.

Wokół mojego fiuta zaciska się spirala gorąca, tężeją mi jaja, pot pokrywa mi skórę. Sapię w jej piersi, ssąc sutki, zaczynam tracić kontrolę nad biodrami, instynkt chwytą wodzę i zaczynam ją posuwać, przekraczając kolejne granice bólu.

Mam ochotę rzucić ją na plecy i zerznąć ostro, sprawić, by wykrzykiwała moje imię. Chcę poczuć, jak wbija mi paznokcie w plecy i uśmiechać się szaleńczo w jej włosach, mając świadomość, że jest już tylko moja.

Lecz chcę też tego, co właśnie trwa, każdej sekundy. Spokojnego, intymnego i niezwykle intensywnego seksu. Pełnego pasji, słodczy i piękna.

Eva zasysa powietrze przez zęby i sztywnieje. Wiem, że zaraz dojdzie.

– Daj mi to – żądam. – Daj mi to wszystko, kochana. Daj swojemu mężczyźnie wszystko, co masz.

Spomiędzy jej warg wyrywa się cichy krzyk. Jej ciało podskakuje. Czuję wokół kutasa rytmiczne, gwałtowne konwulsje. Teraz to ja zachłystuję się powietrzem.

Pękam z głośnym jęknięciem i gwałtownym wierzgnięciem, dochodzę tak mocno, że tracę oddech. A może to przez ogień w płucach. Nieważne, mam to gdzieś. Spuszczam się w nią w niekontrolowanych ruchach, wbijam się głęboko w jej idealne ciepło i miękkość. Tracę rozum, oto raz na zawsze odchodzi mężczyzna, którym byłem, zanim w pełni się jej oddałem.

Eva, Kocham cię. Tak cholernie cię Kocham.

Powiedziałbym to na głos, ale nie mogę mówić. Jeszcze nie. Jedyne, co mogę, to dać się nieść tej potężnej fali miłości, ekstazy i bólu.

Eva mruczy coś po rosyjsku. Próbuję zapamiętać brzmienie tych słów, by potem je powtórzyć i zapytać ją, co znaczą. Okazuje się, że niepotrzebnie, bo powtarza je po angielsku, bez końca, cichym, nabożnym szeptem. Jak modlitwę.

– Dla ciebie wszystko. Dla ciebie wszystko, Naz. Dla ciebie wszystko.

\*\*\*

Przez długi czas dryfujemy w tej mglistej przestrzeni pomiędzy snem a jawą, w której nie istnieją czas ani świat zewnętrzny. Jestem zmęczony jak nigdy, ale też ogromnie wdzięczny i zadziwiony.

Ta kobieta jest cudem. Moim cudem. Powodem, dla którego tak długo błąkałem się samotnie.

Życie zaprowadzi cię tam, gdzie trzeba, jeżeli tylko mu pozwolisz.

Wiem, że przyniosła mi wodę i wsuwa słomkę pomiędzy moje spieczone wargi. Wiem, że mnie myje, bo czuję jej miękkie dłonie i chłodną szmatkę, powiew zimnego powietrza przy rozpalonej skórze. Wiem, że coś mówi, ale nie wychwytyuję jej słów, bo znowu osunąłem się w gęstą mgłę skutków zabiegu i znieczulenia, wróciłem na granicę śmierci, na której stanąłem po wybuchu i po kochaniu się z kobietą, pomimo że nie byłem w nadającej się do tego formie.

A później nic już nie wiem, bo odpływam całkowicie.

Gdy ponownie mrugam i otwieram oczy, spod żaluzji sączy się jasne światło. W szpitalnej salce niesie się echo ciszy.

Z trudem podnoszę się na łokciach, szukam jej w sterylnej białej przestrzeni, ale jestem sam.

Eva zniknęła.

## PODZIĘKOWANIA

Naz, och, Naz. Ty i twoje tajemnice. Nawiedzaliście mnie od tak dawna.

Już zanim zabrałam się za pisanie tej książki, wiedziałam, że historii Naza i Evy nie da się opowiedzieć w jednym, krótkim tomie. Mamy tu pobjowisko, które trzeba posprzątać. Mamy tu oceany sekretów i bólu, które trzeba przemierzyć. Nasir to postać, której nigdy nie spuszczałam z oka, nawet podczas jego krótkich, pozornie niewinnych występów w innych książkach. Jeszcze nigdy tak bardzo nie identyfikowałam się z męskim bohaterem, którego stworzyłam. Jeszcze nigdy znoszenie cudzych losów nie przychodziło mi z takim trudem, choć przecież teoretycznie to ja jestem za nie odpowiedzialna.

Niemniej postaci mają swoje sposoby na uniezależnienie od siebie autora. Naz postąpił właśnie w ten sposób. I kocham go za to.

Mam nadzieję, że wybaczy mi to, co wkrótce go czeka.

Dziękuję mojej ekipie z Montlake Romance za ogromne wsparcie. Mario Gomez, kocham cię. Eleni Caminis – choć jesteś teraz gdzie indziej – też cię kocham. Wielkie dzięki dla redaktorów i zespołu wsparcia autorów, niesamowitej projektantki moich okładek, a także działów marketingu i sprzedaży, wykonujących tak dobrą robotę.

DZIĘKUJĘ MELODY GUY. JESTEŚ GENIUSZKĄ (musiałam napisać to wielkimi literami, bo jest zajebistą redaktorką i dzięki niej moje książki zawsze są znacznie lepsze niż na początku).

Geissinger Gang, kocham Was. Zapewniacie mi taki ubaw! Jestem wdzięczna za Wasze wsparcie i zachęty.

Czytelniczki, Wasz nieustający entuzjazm wobec światów, które tworzę, wystrzeliwuje mnie w kosmos. Uwielbiam dostawać od Was wiadomości i doceniam Wasze opinie. Gdy niemal dekadę temu rozpoczynałam tę pisarską przygodę, absolutnie się nie spodziewałam, że zdobędę tylu cudownych przyjaciół z całego świata, ale jestem bardzo szczęśliwa, że tak się stało.

Dziękuję moim rodzicom-książkoholikom, że zaszczepili mi gargantuiczną miłość do czytania. Już tylko dzięki temu moje życie było znacznie prostsze.

Na koniec, mam ogromny dług wdzięczności u Jaya Geissingera.

Skarbie, wiem, że nigdy tego nie przeczytasz, bo przysypiasz nad książkami, więc mogę napisać to zupełnie bezkarnie: jestem dzięki Tobie lepszym człowiekiem.

## O AUTORCE

J.T. Geissinger to wielokrotnie nagradzana autorka największych światowych bestsellerów z gatunku naładowanych emocjami romansów oraz powieści kobiecej. Jej książki, począwszy od zabawnych, charakternych komedii romantycznych, po mroczniejsze romanse pełne napięcia, sprzedały się w milionach egzemplarzy i zostały przełożone na kilka języków.

Jest laureatką Prism Award za najlepszy debiut książkowy i Golden Quill Award za najlepszą powieść urban fantasy, a także dwukrotną finalistką nagrody RITA przyznawanej przez Romance Writers of America. Była też finalistką nagród Booksellers' Best, National Readers' Choice i Daphne du Maurier Award.

Znajdź ją w sieci: [www.jtgeissinger.com](http://www.jtgeissinger.com).

<sup>1</sup> *Buenas noches* – (z hiszp.) Dobry wieczór (przyp. red.).

<sup>2</sup> *Si! El es muy amigable* – (z hiszp.) Tak! On jest bardzo przyjacielski (przyp. red.).

<sup>3</sup> *Я здесь (ja zdjes)* – (z ros.) – jestem tutaj (przyp. red.).